

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 15 (1463) ROK XXIX

12 KWIETNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

- Aktor — domokrażca
- Klęska czarnych koszul
- Opowiadania T. Giegiera
- „Szezurzyca” G. Grassa

Usta milczą, dusza ziewa

MAREK KOPROWSKI

Gala zaczynała się już w autobusie nr 57, który zatrzymuje się przed łódzkim Teatrem Muzycznym. Mocny zapach perfum, staranne makijaże, fryzury, uroczyste oblicza. Spod wierzchniego odzienia kokietują rąbki lub większe fragmenty kreacji na specjalne okazje. Na parkingu przed teatrem tłok: rozmaite rejestracje rozmaitych samochodów, od maluchów po japońskie Toyoty i autokary z wycieczkami. W foyer tłum, przy szatniach ścisła, ustawia się kolejka po programy i wydawnictwa okolicznościowe. Teraz dopiero ukazują się stroje pań i panów w pełni swej wytworności. Przegląd całej powojennej mody, choć tu i ówdzie dało się dostrzec „zaledwie wczoraj” lansowaną w telewizji linię. Publiczność lekko uszytwniona w swych rzadko noszonych kostiumach, łaskająca uważnie innych, prezentuje się sobie wzajemnie. Przeważają osoby w wieku średnim i jeszcze bardziej średnim. Trochę dzieci z rodzicami, młodzieży nie za dużo. Parę osób w zwykłych (zgroza!) swetrach i codziennych ubraniach. Sensacji na razie nie było.

DYSKRETNIE KUSZĄCY GŁOS

podawał przez głośniki minuty do rozpoczęcia spektaklu. Gdy już wszyscy usadowili się w swoich (i nie swoich) miejscach, poprawili i odchrząknęli, na proscenium wyszedł dyrektor Teatru Muzycznego **Rajmund Ambrosiak** i w kilku zdaniach powitał gości oraz publiczność, i oficjalnie ogłosił, że **1 Łódzkie Spotkania Operetkowe** pod patronatem Prezydenta Miasta Łodzi, uważa za otwarte. Oklaski, kurtyna w górę!

Przed nami siedem wieczorów (16–22 marca 1986) i siedem różnych spektakli muzycznych, siedmiu różnych teatrów operetkowych z siedmiu miast Polski.

Dobry początek zrobili gospodarze spotkań, czyli łódzki Teatr Muzyczny (najstarsza tego typu scena w powojennej Polsce) przygotowanym na jubileusz 40-lecia swego istnienia przedstawieniem nieśmiertelnej (jak zwykło się mówić) „Wesołej wdówki” **Franza Lehara**.



Foto: Chwałisław Zieliński

Demonowi szybkości zaprzędany...

DARIUSZ DOROZYŃSKI

Widowisko jest kapitalne... Zwykła specjalny tor lub wyznaczona, kręta trasa uliczna. Wiraże zabezpieczone stertami opon, belami słomy i tysiącami, dziesiątkami tysięcy ludzi. Spragnionych niezapomnianych wrażeń, największych emocji. I ONI — kierowcy wyścigowych motocykli. Odziani w skórzane, błyszczące reklamami kombinizony, w wysokich butach, iście kosmicznych hełmach. I te piękne, superszybkie bolidy. Drzemiące w parku maszyn, pod czujnym okiem mechaników i rozmarzonym, zachwyconym wzrokiem nastolatków. Pędzące później z szybkością przyporządkowaną o zawrót głowy. Wycie silników pracujących na najwyższych obrotach, charakterystyczny zapach spalin, niespodziewane zwycięstwa, dojmujące klęski, groźne lub groźnie wyglądające wywrotki. Atmosfera wielkich wyścigów. Atmosfera, która u przypadkowego nawet obserwatora wy-

wołać musi dreszcz emocji. Kamikadze, czy najwyższej klasy zawodowcy? Samobójcy czy ogarnięci motocyklowym amokiem „narkomani”?

Wielkie nazwiska, które przejdą do historii jak **Hailwood**, **Agostini**, renomowane firmy, prezentujące najnowsze osiągnięcia motoryzacyjnej techniki — **Honda**, **Suzuki**, **Yamaha**, **Kawasaki**, **Kreidler**. Znanne tory, tytuły mistrzów, pogoń za rekordami. Ogromne emocje, oszałamiające szybkości, wielki biznes. A my? Gdzie my w tej całej zabawie? Kraj, który aktualnie nie produkuje żadnych motocykli? Co dziś przeciętnemu użytkownikowi dwusładu mówią nazwy: **raid**, **Enduro**, **rajdy** obserwowane, **motocross**?

Byliśmy nieźli w tak zwanych „sześciu dniach”, szczytaliśmy się **Ryszardem Mankiewiczem**, uczyliśmy innych żółtego rzemiosła. Byliśmy, uczyliśmy... Czy tylko drogie-

go, importowanego sprzętu brak? A może zaangażowania działaczy? Czy wreszcie, albo — przede wszystkim — zdolnych, utalentowanych zawodników?

— Chyba wszystkiego po trosze, bo nawet najwyższej klasy motocykl sam zawodów nie wygra... — **Janusz Oskaldowicz** ma prawo mieć własne zdanie na ten temat. Załedwie 28 lat, przez siedem kolejnych sezonów — Mistrz Polski w wyścigowej klasie „dwieście pięćdziesiątek”. Czyli teoretycznie doświadczony wygoda, „wyjadacz”, brawurowo jeżdżący, „kamikadze z Łodzi”. A przede mną siedzi skromny, wręcz małowimowy blondynek, nie mający nic z mistrzowskiego zadufania, owej pewności siebie, do jakiej nobilituje tytuł najlepszego w kraju od kilku lat. I ciągnąć trzeba mistrza „za język”, bo jakoś nie lubi opowiadać o swych sukcesach ani o mroźnych krew w żyłach sytuacjach na torze.

— Panie Januszu, najpierw trochę klasyki, czyli jak to się zaczęło?

— Niestety, nie będzie zbyt oryginalnie, bowiem jako 13-letni chłopak, jak wielu w moim wieku, szalałem na motorowerze. Syna sąsiada, bo siołb pierwszy wehikul, wystawiony „Junaka”, po ogromnych perypetiach w domu dostatecznym przed szesnastymi urodzinami. Od mamy, a kosztował 2 tysiące. Za ciężki był dla mnie i po

Nikt nie rodzi się słaby

Rozmowa z przewodniczącym Rady Federacji Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych Przemysłu Lekkiego, wiceprzewodniczącym OPZZ, posłem na Sejm PRL — **PAWŁEM SZYMAŃSKIM**.

— Jak łączy pan te funkcje? Każda pochłania wiele czasu, wymaga koncentracji. Każda z osobna...

— Związki tworzył ruch oddolny — także w wymiarze krajowym. Poza tym, taką samą szansę jak ja miały tysiące działaczy związkowych. W pewnym momencie zadałem sobie pytanie: czy będąc przewodniczącym dużej federacji, stać mnie jeszcze, by wejść w strukturę OPZZ? Gdybym tego nie zrobił, za jakiś czas sami działacze naszej federacji mieliby mi to za złe. Zarzuciliby, że federacja nie jest reprezentowana w centrum związkowym, że ważne sprawy załatwiane są poza nami. A to, że zostałem posłem...? To efekt pozycji ruchu związkowego, który tak licznie reprezentowany jest w parlamencie. Nie jest ważny wybór akurat Szymańskiego, ale określony sposób reprezentacji w ogóle. Są jeszcze koszty osobiste kogoś, kto wszystko to ciągnie naraz... Duże. Zrezygnowałem z mieszkania w Warszawie, bo wszystko jedno, czy dojeżdżam z Łodzi do Warszawy, czy odwrotnie. I tak parę razy w tygodniu skracam sobie drogę dojazdami. Czasu prywatnego nie mam.

— Wśród związkowców nierzadkie są opinie negujące celowość łączenia funkcji. Jesienią 1985 roku było o tym szczególnie głośno. Czy szef organizacji jednoczącej niezależne samorządne związki zawodowe nie powinien być również niezależny? — Chętnie od uwarunkowań, jakie niesie ze sobą równoległe pełnienie funkcji...

— Myśli pan o Alfredzie Miodowiczu?

— Również o nim.

— Związki zawodowe są organizacją masową, stałym elementem funkcjonowania państwa. Dobrze się stało, że przewodniczący OPZZ zasiada w Radzie Państwa. Pozwala to na wyraźniejszą artykulację naszych problemów, umożliwia jednoznaczne określenie reakcji robotników na to, co staje się przedmiotem rozstrzygnięć podejmowanych na tak wysokim szczeblu. Twierdzenie o ograniczeniu działań Alfreda Miodowicza poprzez jego członkostwo w Radzie Państwa jest bezsensowne. Inna sprawa, że Alfred Miodowicz, to wielka indywidualność. Patrząc na problem generalnie...

Co to w ogóle znaczy łączenie funkcji? To sprawa korzeni, z jakich się wyrasta. Jeśli ktoś wyrasta z bazy — z dużej grupy ludzi — przez którą jest uznawany, to przylepia mu się funkcje. Czy można tego nie przyjmować? A kogo na to miejsce postawić? Kogoś, kto nie jest osadzony w bazie?

— Coraz częściej z różnych szczebli związkowej hierarchii słyszy się opinie o konieczności zamknięcia pierwszego, dwuletniego — organizacyjnego — etapu działań krajowych federacji. Nawołuje się do pracy merytorycznej. Wnioski takie wypłynęły również z niedawnego pańskiego spotkania z sekretarzem KŁ PZPR **Mirosławem Czesnym**. Czy oznacza to, że do

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36 52 44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80-99, publicysta: 36 77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda.

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroszewski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz Sz. Jański, Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błazewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzeminski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Małka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” — Książka — Ruch, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Książka — Ruch, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamawianych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: dla instytucji i zakładów pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa” — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa” — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratariuszy osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa” — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratariuszy osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa” — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumeratariuszy osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa” — Książka — Ruch” 3. Prenumerata ze zniżkami wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa” — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Pras i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045-139 11. Prenumerata ze zniżkami wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1013. B-2.

2 ODGŁOSY

W 1984 roku wydaliśmy z dochodów osobistych aż 651 miliardów zł na napoje alkoholowe. Na jednego mieszkańca kraju przypadało 17 634 zł. Z każdego 100 zł wydanych na dobra materialne i usługi niematerialne 14 zł przeznaczono na alkohol, to jest więcej niż na odzież, obuwie i higienę osobistą łącznie (12 zł). W ubiegłym roku statystyczny mieszkaniec Polski wypił 11,3 l wódki, 7,9 l wina oraz 29,6 l piwa. W przeliczeniu na czysty 100-procentowy alkohol spożycie w Polsce jest znacznie niższe, aniżeli w wielu innych krajach (np. Francji, Hiszpanii, Włoszech). My jednak przodujemy na świecie w picu wódki. Natomiast w społeczeństwach romańskich dominuje spożycie wina, a w krajach o kulturze germańskiej i anglosaskiej — piwa oraz rozcieńczonych napojów spirytusowych (whisky and soda). W Polsce przede wszystkim trzeba zmienić strukturę i kulturę picia, gdyż stan obecny stwarza biologiczne, ekonomiczne i moralne zagrożenie bytu narodowego.

Wspólna sprawa

Niestety, pijanstwo ma w Polsce długą tradycję. Już w 1568 r. nuncjusz papieski Juliusz Ruggieri w relacji dla Piusa V tak charakteryzował Polaków: „Upijanie jest u nich chwalonym zwyczajem, niewątpliwym dowodem szczerości, dobrego wychowania; przeciwnie trzeźwość, poczytywana za grubiaństwo, bywa czasem znakiem skrytości charakteru i podstępności”. Pila szlachty, pili chłopci, pili też duchowni. Pod koniec XVII wieku sekretarz królowej Marii Kazimierzy, agent króla Jana III Sobieskiego, Chevalier de Beaujeu, pisał: „O obyczajach Kleru można sądzić na przykładzie biskupów, którzy upijają się bez skrępowań i nieczemnie lekceważą obowiązki względem swoich owieczek, myśląc o nich tylko jak o złotym runie do złupienia”. Podaje on dalej, że w Grodnie był świadkiem, jak biskup krakowski Jan Małachowski kompletnie pijany udzielał ślubu dworskiego. Biskup zataczał się, belkotał niezrozumiałe słowa i usiłował włożyć sobie na nos pierścień zamiast okularów. Wszystko to — czytamy — „uprawiło w śmiech całe zgromadzenie, w którym obecne były ich Królewskie Mości”.

Nalaniem o poważnym stopniu szkodliwości jest również nikotynizm. W 1984 r. nasi rodacy wydali 107 miliardów zł na wyroby tytoniowe. Statystyczny Polak wypalił 2470 papierosów i stracił na ten cel 2900 zł. Nie dość że palimy najwięcej w Europie, to w dodatku mamy najgorsze papierosy, których jakość w skandalicznym stopniu odbiega od przyjętych norm międzynarodowych.

Innym groźnym zjawiskiem jest narkomania. Według różnych źródeł zażywa w Polsce środki

odurzające od 100 tys. do 500 tys. osób. W 1983 r. zmarło na skutek przedawkowania narkotyków 110 osób. W ośrodkach milicyjnych zarejestrowanych było 13 931 narkomanów, w tym 12 proc. do lat 17 oraz 54 proc. w wieku od 18 do 24 lat. Plaga ta przysięła do nas z Zachodu i szybko znalazła naśladowców w niektórych środowiskach młodzieży.

Niepokoń także wzrost przestępczości. Uczelnych obywateli szokują doniesienia o niezwykle odrażających zbrodniach, zuchwałych kradzieżach, profanacji obiektów religijnych. Poza tym — niemal na każdym kroku spotykamy się z przejawami nierobstwa i partactwa. W życiu wewnętrznym i stosunkach międzyludzkich przestają liczyć się honor, godność, poczucie odpowiedzialności. Nic więc dziwnego, że w kampanii przed X Zjazdem PZPR kryzys moralny naszego społeczeństwa stał się jednym z głównych problemów.

Ważnym wydarzeniem w Łodzi były wspólne obrady plenarne Komitetu Łódzkiego PZPR, Wojewódzkiego Komitetu ZSL i Łódzkiego Komitetu SD, w których uczestniczyli również członkowie władz Oddziałów Wojewódzkich Stowarzyszenia PAX, Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, Polskiego Związku Katolicko-Społecznego, Polskiej Rady Ekumenicznej, oraz posłowie na Sejm, radni, działacze Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, organizacji młodzieżowych. To reprezentatywne grono po długiej dyskusji postanowiło „zespolic wysiłki we wspólnej walce o odnowę moralną społeczeństwa, o rozwój społecznych preferencji dla życia godziwego”. W uchwalonym apelu wyrażono nadzieję, że walka ta spotka się z pełnym poparciem społeczeństwa.

Pod koniec wspólnego posiedzenia sekretarz KC PZPR Józef Baryla poinformował, że powstaje 5-letni plan walki o zdrowie moralne narodu. Oprócz środków prawnych potrzebny jest jednak także ruch społeczny, w którym będzie miejsce dla partyjnych i bezpartyjnych, w tym również dla Kościoła.

E. L.

Maciej Józef Kononowicz (1.II.1912 — 31.III.1986)

3 kwietnia pożegnaliśmy Macieja Józefa Kononowicza — znanego poecie, prozaika, tłumacza, aktywnego działacza katolickiego i szlachetnego człowieka. Chciałoby się przede wszystkim napisać — szlachetnego człowieka, bowiem najistotniejszym elementem Jego poetyckiego światopoglądu była nieskrywana empatia — ewangeliczna miłość bliźniego, szacunek dla Osoby ludzkiej, przeświadczenie, że w naszej wspólnocie ludzkiej dobro jest wartością najwyższą i że piękna od tego dobra nie wolno rozdzielić.

Jego twórczość literacka była nieustanną „rekonstrukcją biografii” (tytuł taki nosi tom wierszy wybranych) — budowaniem życiorysu bogatego, uwikłanego we wszystkie dramaty, jakich nie poskapiła nam historia najnowsza — życiorysu żołnierza AK i konspiracyjnego (okupacji), jeńcy wojennego, po wyzwoleniu zaś działacza społecznego (posła na Sejm z ramienia PAX w latach 1957—61) oraz animatora życia kulturalnego (Łódzka Wiosna Poetów, działalność w Klubie inteligencji katolickiej „Krag” oraz w Oddziale Łódzkim ZLP). To bagaglio przeżył i doświadczeń życiowych zostało przetworzone w twórczości literackiej z pewną powściągliwością: rzadko są tu eksponowane elementy biografii żołnierskiej (poza tomem opowiadań „Szyfr o Ojczyźnie”), istotniejsze i bardziej ważne w twórczości, poetyckiej przede wszystkim, M. J. Kononowicza są problemy o charakterze uniwersalnym: problem dobra i zła, odcieczny problem teodicy — pytanie o sens cierpienia tym bardziej dramatyczne, że dotyczy „czasów pogardy”, czasów okupacyjnej martyrologii. Bliżni z wierszy Kononowicza to „zasczuty człowiek z twarzą Chrystusa”, zbiedzany przez esesmańskie psy; zło jest gwałtem, będącym najczęściej odpowiedzią na gwałt potężniejszy i nieludzki (wiersz „Rozmowa z Matką Boską AK”), optymizm katolicki zaś nie jest możliwy bez uprzedniej aktywnej postawy „tropienia Boga” (cykl „W sitowiu niebieskim”).

Twórczość ta rekonstruuje przede wszystkim „biografię wewnętrzną” określając wartości, wobec których orientować można nasze decyzje i wybory moralne. Ten aksjologiczny układ odniesienia — rzadzący się nadrzędną zasadą miłości bliźniego — realizuje się niejako poprzez ciąg postaw: od krańcowej — rezygnacji z życia własnego dla oceny drugiego człowieka („Ojciec Kolbe”), poprzez wczucie się w psychikę drugiego człowieka, często niepokornego wobec naszych autorytarnych zachowań („Portret nieurojony”), do prezentowania w końcu aktywnego i poświadczającego społecznie działania dla innych („Biskup Michał”). Owa wspólnota ludz-



ka istnieje dzięki wzajemnej miłości i stwarza możliwość dla każdego z jej uczestników „zmiany serca swego serca”; nie asymilując egzystencji ludzkiej do ogólników Przyrody czy Idei pozwala na naturalne wydepływanie łączących ścieżek — linii porozumienia, istnienia autentycznego i niepowtarzalnego (piękny wiersz „Ścieżki”).

Twórczość poetycka M. J. Kononowicza znajduje dopełnienie w powieściach nawiązujących do czasów młodości, czasów gimnazjalnych, pierwszych miłosnych zauroczeń i ważkich wyborów światopoglądowych, którym Autor pozostawał wierny do końca życia. „Kilka imion miłości”, „Romantyczne i zielone” oraz „Wenus w małym miasteczku” stanowią spójną trylogię, którą można by nazwać „powieścią o dojrzewaniu”. Trylogię uroklawia i to ze względu na tematykę i wartości stylotwórcze i pełen ciepła humor emanujący z każdej niemal strony. Humor ten odnajdziemy też w cyklu felietonów „Prawa ręką za lewe ucho” oraz w „Zauku fraszkiobliwym” — poświadczonego środowisku literackiemu Łodzi.

Mówi się, że pisarz żyje w swoich książkach i ten konspiracyjny zwrot powtarzamy zęgnajacy naszych Kolegów. Niestety, nie ma już wśród nas Pana Macieja, który przekazywał znak pokoju nie tylko w wierszach, ale każdym swoim serdecznym niepowtarzalnym ludzkim gestem.

HENRYK PUSTKOWSKI

NA WŁASNY RACHUNEK

Obowiązek bezstronności

Nie jestem z pewnością dostatecznie kompetentny, żeby z jak najmniejszym ryzykiem błędów ocenić posunięcia polityków na arenie międzynarodowej. Ale jednak to, co głoszą oni publicznie, czyli przeznaczają dla masowego odbiorcy, jest dostępne ocenie każdego z nas — czy to pod kątem poprawnego rozumowania, zgodnego z zasadami logiki, czy też pod względem zgodności słów i czynów, czy wreszcie na tle ogólnoludzkich norm postępowania i zasad moralnych.

Ostatnia wojna, wywołana przez faszyzm, który prowadził ją z wyjątkowym okrucieństwem, a zakończona, jak pamiętamy, wyrokiem międzynarodowego trybunału na głównych przestępców wojennych, udzieliła nam niejako mandatu na podejmowanie działań zapobiegających powtórzeniu się wojny. Ci więc, którym dane było przeżyć, mają nieustanny obowiązek śledzenia zagrożeń, nazywania ich pełnym imieniem i ostrzegania przed ich nadejściem. Nie wszystkie jednak zagrożenia są jednakowo łatwo dostrzegalne.

Wystawiani jesteśmy nieustannie na działania informacyjno-propagandowe obcych rozgłośni, dotyczące spraw, do których wprawdzie brak nam nieraz danych, a pomimo tego wymagają one od nas zajęcia stanowiska, zwłaszcza gdy dadzą się wystarczająco ściśle określić w kategoriach logicznych i moralnych. To też trudno mi się z tym pogodzić, że stosunkowo dużo znajomych mi osób zachowuje obojętność wobec pewnej sprawy, do tego stopnia oburzającej, że na zdrowy rozum i na niestęplą sumienie, nie powinna ona nikogo pozostawić obojętnym.

Mam na myśli stanowisko prezydenta USA, które niejednokrotnie wzbudza dreszcz niepokoju o losy najbliższych nam osób i całej ludzkości, a mianowicie tak częste nonszalanckie pogroźki wobec Nikaragui, Libii lub innego kraju. Nie trzeba być przeciwnikiem politycznym ekspertem, żeby zdawać sobie sprawę, iż człowiek na tak odpowiedzialnym stanowisku — mający absolutną władzę konstytucyjną i wywierający — z racji potęgi swego państwa — ogromny wpływ na sytuację międzynarodową, powinien jak mało kto wykazywać rozwagę i umiar, a przynajmniej dbać w tej mierze o „zachowanie twarzy”.

Myślę, że to nie ja, skromny obywatel średniego pokojowego państwa pozwalam sobie na niestosowne „mieszanie się” w sprawy wielkiego mocarstwa, przeciwnie, to potężny polityk zakłada zbyt często moją spokojną sen i wzbudza lęk o jutro, głosząc i podniesionym głosem program działania stanowiący jaskrawe naruszenie wszelkich norm międzynarodowej współpracy.

Mam moralne prawo wypowiadać pretensję o to, że ogłasza on bezprawne restrykcje gospodarcze i ucieka się nawet do jawnej groźby, iż jego kraj nie będzie tolerować lewicowych rządów gdziekolwiek w Ameryce Łacińskiej i w razie potrzeby użyje wszystkich środków, min. wojskowych, niezbędnych do obalenia tam najzupełniej legalnych władz. Mam prawo do słów potępienia za to, że pozwala on sobie ogłaszać dowolne punkty na kuli ziemskiej, odległe o tysiące mil od wybrzeży USA, i położone tuż u cudzych granic, za strefę bezpieczeństwa USA, wbrew powszechnej opinii międzynarodowej. Wolno mi publicznie oburzać się, gdy przynależność Stanów Zjednoczonych do ONZ czy komisji UNESCO uznaje on arbitralnie za sprzeczną z interesami USA i nie skrywa lekceważenia dla idei międzynarodowej równości prawnej.

Chyba niewiele osób u nas zdaje sobie sprawę, że te przejawy imperializmu amerykańskiego nie mają sobie równych w nowszych dziejach. Nawet Niemcy za czasów Hitlera, uważali za swoją „przestrzeń życiową” (Lebensraum) obszary mniej lub bardziej bezpośrednio przylegające do III Rzeszy, a swój stosunek do organizacji międzynarodowej (Ligi Narodów) maskowali rekinowymi krzywdami doznawanymi od niektórych państw członkowskich, mającymi swoją genezę w postanowieniach Traktatu Wersalskiego, ale nie mieli czelności wysuwać tezy, że Liga Narodów powinna ich interesom przysługiwać preferencje. Ogólnie biorąc pojęcie hitlerowskiego „Nowego Ładu” (Neuordnung) nie miało aż tak szerokiego terytorialnego zasięgu, jak obecnie Pax Americana.

Rozumiem, że naszych obywateli dziela jeszcze dość poważne różnice poglądów na wiele spraw, wyrażające się też w sympatiach i antypatiach wobec konkretnych osobistości. Zdumiewa mnie jednak, że wśród osób deklarujących nieraz swoje pokojowe intencje, zdarzać się mogą zupełnie bezkrytyczni admiratorzy polityka, którego dotychczasowa działalność stanowi drastyczne zaprzeczenie zasad pokojowego współistnienia państw o odmiennych ustrojach i niesie z sobą niebezpieczeństwo zagłady ludzkości.

JERZY KWIECIŃSKI

TEATR RZECZYPOSPOLITEJ W ŁODZI

19 i 20 kwietnia 1986 r. po raz pierwszy gościmy w Łodzi Teatr Rzeczypospolitej, który zaprezentuje głośne przedstawienie Teatru Wybrzeże „Wiśniowy sad” Czesława (premiera w maju 1985 r.). Reżyserem spektaklu jest Krzysztof Babiński, scenografem Anna Rachel, autorem muzyki Andrzej Głowiński.

Poza wspaniałą kreacją Haliny Winiarskiej obejrzymy Henryka Biste, Stanisława Michalskiego, Jerzego Łapińskiego, Wandę Neumann, Joannę Bogaćką i innych aktorów.

Spektakle odbywać się będą w Teatrze im. S. Jaracza o godz. 17.00 i 20.00. Sprzedaż biletów rozpocznie się 7 kwietnia w kasie Teatru im. S. Jaracza.

Jednocześnie testomanów i młodzież zapraszamy na spektakle „Złego zachowania”, które prezentować będziemy w Teatrze Wielkim 22 i 23 kwietnia.

Przypominamy, iż spektakl ten, inscenizowany i reżyserowany przez Andrzeja Strzeleckiego, oparty na jego tekstach i muzyce Fatsa Wallera otrzymał nagrodę Grand Prix oraz nagrodę Międzynarodowego Sympozjum Krytyki Teatralnej na Festiwalu Wyższych Szkół Teatralnych w Łodzi w 1985 r., a także nagrody za reżyserię, scenografię, choreografię i aranżację wokálną na IV Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk dla Dzieci i Młodzieży w Wąbrzychu. Wykonawcy spektaklu oraz Andrzej Strzelecki otrzymali ponadto nagrody Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR „Kryształowy Kamerton” za najciekawsze osiągnięcie w dziedzinie sztuki estradowej w sezonie 1984/85.

Sprzedaż biletów w kasie Teatru Wielkiego oraz w Stowarzyszeniu Artystycznym, ul. Moniuszki 1a od 7 kwietnia br.

NR 15 (1463), XXIX, 12 KWIETNIA 1986 R.

Jedną z przyczyn polskich kryzysów było niedostosowanie sposobów sprawowania władzy do osiągniętego poziomu edukacyjnego i aspiracji społeczeństwa. W marksistowskiej krytyce błędów poprzednich kierownictw partyjnych i państwowych podkreśla się często, że budowano socjalizm w imieniu klasy robotniczej, ale przy biernym tylko jej udziale i przedmiotowym traktowaniu — niejako w „prezencje”. Przeprowadzone w latach osiemdziesiątych reformy rozszerzyły możliwości wpływu mas pracujących na politykę partii i państwa, co nie oznacza, że z tych stworzonych możliwości masy pracujące są zawsze gotowe korzystać. Dlatego Krajowa Konferencja Delegatów PZPR zobowiązała Komisję Komitetu Centralnego do spraw Opracowania Perspektywicznego Programu PZPR do skonkretyzowania głównych tendencji rozwoju państwa i socjalistycznej demokracji.

Ta problematyka stanowi przedmiot rozdziału V projektu Programu PZPR zatytułowanego: „Rozwój socjalistycznego systemu politycznego”. W rozdziale tym proklamuje się przejście od państwa dyktatury proletariatu do państwa ogólnonarodowego. Ta proklamacja jest naturalną tendencją rozwoju socjalizmu, zgodną z duchem naszych czasów. Podobne proklamacje znajdujemy w programach partii komunistycznych w innych krajach socjalistycznych. Znacznie bardziej interesujące są zapowiedzi zawarte w projekcie jak w konkretnych polskich warunkach będzie następowało przejście do wyższego etapu rozwoju państwa socjalistycznego tj. do państwa całego ludu.

Projekt wskazuje następujące polskie drogi prowadzące do tego celu: doskonalenie kierownictwa w państwie, przewodniej w społeczeństwie i służebnej wobec klasy robotniczej roli PZPR; umacnianie zwierzchniej pozycji Sejmu i rad narodowych wobec organów administracji; dalszą demokratyzację prawa wyborczego; wprowadzenie instytucji referendum ludowego; doskonalenie systemu konsultacji społecznych; zwiększenie skuteczności kontroli społecznej i zawodowej; tworzenie skutecznych gwarancji praworządności; doskonalenie metod działania administracji itp.

ZAPOWIEDZI A OCZEKIWANIA SPOŁECZNE

W badaniach empirycznych prowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) podejmowano próby zebrania danych: jak społeczeństwo wyobraża sobie dalszy rozwój polskiego systemu politycznego i socjalistycznej demokracji. Uzyskane drogą badań opinii społecznej wyniki na temat oczekiwań społecznych potwierdzają potoczną wiedzę w tym zakresie. Badani postulowali poszanowanie praw i swobód obywatelskich, rozwój samorządności i ludowladztwa, upodmiotowienie klasy robotniczej i społeczeństwa i wiele jeszcze dobrych rzeczy. Trudno jest natomiast zebrać i odtworzyć wyobrażenia społeczne jak w konkretnej polskiej rzeczywistości — rozwijać dalej samorządność i ludowladztwo oraz demokratyzować życie społeczne. Jakie formy organizacyjne byłyby najbardziej odpowiednie dla zwiększania udziału klasy robotniczej i w ogóle mas pracujących w rządzeniu państwem.

CBOS w badaniach ankietowych, na próbach ogólnopolskich, ustaliło jednak gradację oczekiwań społecznych w zakresie dalszego rozwoju socjalistycznej demokracji: 95,8 proc. badanych za bardzo ważne i ważne uznawało poszanowanie indywidualnych praw i swobód obywatelskich; 82,2 proc. — swobodę wyrażania opinii w sprawach publicznych; 80,8 proc. — wyrażanie preferencji interesów robotniczych; 85 proc. — niezależność i samorządność związków zawodowych i innych organizacji; 81—85 proc. faktyczną kontrolę przez organy przedstawicielskie i społeczeństwo administracji państwowej i gospodarczej; 83,1 proc. — dalszą demokratyzację prawa wyborczego. Badania CBOS prowadzone na wielką skalę na próbach reprezentatywnych i ogólnopolskich pozwalają jeszcze na następujące uogólnienia. Badani preferują następujące formy udziału społeczeństwa we władzy: pośrednie — Sejm i rady narodowe wybrane w autentycznych wyborach; bezpośrednie — referendum ludowe. Badania jednocześnie ujawniły duży sceptycyzm wobec instytucji konsultacji społecznych oraz ogólnonarodowych dyskusji nad projektami ustaw i reform.

Porównanie znanych wyników badań z zapowiedziami zawartymi w projekcie „Programu PZPR” prowadzi mnie osobiście do sformułowania następujących wniosków:

- 1) proponowane kierunki rozwoju państwa i socjalistycznej demokracji są zgodne z oczekiwaniami badanych;
- 2) badani nie formułują konkretnych propozycji doskonalenia systemu politycznego i raczej oczekują na takowe propozycje od sterników nawy państwowej.

Jak naprzeciw tym oczekiwaniom na konkretyzację wychodzi projekt „Programu PZPR?”.

UMACNIANIE PRAW OBYWATELSKICH

Sprawę poszanowania indywidualnych praw i swobód obywatelskich badani wysuwali na pierwsze miejsce. Również projekt „Programu PZPR” nadaje im wysoką rangę i poświęca odrębny podrozdział Projekt zapowiada, że „partia będzie tworzyć warunki ku temu, aby realizacja jednostkowych praw sprzyjała wszechstronnemu zaspokajaniu potrzeb i spełnianiu ludzkich możliwości, wzbogacaniu życia o nowe, humanistyczne treści. By wyzwała postawy twórcze, krytyczne, zaangażowane, zespalała poszczególne jednostki ze społeczeństwem, gwarantując im zarazem rozległą sferę swobód i nienaruszalny obszar prywatności”.

Projekt łączy także w organiczny związek demokrację socjalistyczną z dyscypliną społeczną. „Partia będzie przeciwstawiać się nadużywaniu praw i swobód w celach sprzecznych z Konstytucją, próbom anarchizowania życia społecznego, osłabiania więzi klasowych i tworzenia wśród ludzi pracy sztucznych politycznych podziałów”.

Jest to trafne połączenie w polskich warunkach demokracji z dyscypliną i zgodne z lenińskim ostrzeżeniem, że „demokracja bez dyscypliny, odpowiedzialności, przekształca się w anarchię i nieporządek; natomiast dyscyplina, przymus bez demokracji stałby się tyranią”. W projekcie „Programu” nie znajdujemy niestety żadnych konkretnych propozycji, które stwarzałyby gwarancje, że w przyszłości nie będzie powrotu do naruszania praw i swobód obywatelskich. Szkoda, że inicjatywa PRON powołania instytucji strażnika praw obywatelskich nie znalazła odbicia w projekcie „Programu”. Temu samemu celowi mogłaby służyć propozycja wysuwana wśród prawników konstytucjonalistów zmian w pozycji ustrojowej prokuratury oraz utworzenia instytucji sędziego śledczego.

EDWARD K. NOWAK

Demokracja i dyscyplina

Smiałe propozycje rozszerzania instytucji przez które społeczeństwo polskie może bezpośrednio wpływać na tok życia publicznego, wysunięte w projekcie zasługują na najwyższe uznanie. Również konkretne zapowiedzi znajdujemy w projekcie „Programu PZPR” w kwestii demokratyzacji prawa wyborczego.

KONSULTACJE, PUBLICZNE DISKUSJE I REFERENDUM

Konsultacja zamierzeń władzy ze społeczeństwem, publiczne dyskusje nad projektami ustaw i reform oraz referendum ludowe, to trzy formy demokracji bezpośredniej, trzy instytucje, poprzez które społeczeństwo może wpływać na bieg spraw publicznych.

Projekt „Programu PZPR” zapowiada modyfikację systemu konsultacji społecznych oraz ogólnonarodowych dyskusji nad projektem ustawy i reform. Zapowiada — wprowadzenie nowej w Polsce instytucji referendum ludowego. Zapowiedź stworzenia podstaw prawnych dla praktyki konsultacji i publicznych dyskusji świadczy o głębokim wyczuciu nastrojów społecznych i zdecydowanej woli przywrócenia blasku i znaczenia tym sprofanowanym w latach siedemdziesiątych formom demokracji bezpośredniej.

Konsultacje społeczne miały być sposobem uwzględnienia opinii głównych skupisk wielkoprzemysłowej klasy robotniczej przed podjęciem istotnych decyzji i rozstrzygnięciem ważnych kwestii z zakresu polityki społecznej. Publiczne dyskusje miały zaś być sposobem uwzględnienia odczuć społecznych w przygotowywanych projektach ustaw i reform. W praktyce ani klasa robotnicza, ani społeczeństwo, jako całość, nie miały żadnych gwarancji, że w danej sprawie władza zechce zasięgnąć opinii i zechce wziąć pod uwagę głosy krytyczne. Stąd instytucja konsultacji społecznych i publicznych dyskusji niekiedy manipulowano oraz nadużywano ich i traktowano je jako wygodne parawany dla przeprowadzenia niepopularnych decyzji. Doprowadziło to do profanacji tych instytucji. Badania CBOS wykazują katastrofalny spadek zaufania społeczeństwa do konsultacji społecznych. Z zapowiedzi stworzenia podstaw prawnych dla konsultacji społecznych i publicznych dyskusji wynika więc, że zostanie określony ich zakres oraz moc wiążąca zebranych tymi sposobami opinii. Może dobrze służyć to postulowanemu przez społeczeństwo rozwojowi ludowladztwa.

Propozycje rozszerzenia demokracji bezpośredniej i zapowiedź wprowadzenia w Polsce

głosowania ludowego w skali ogólnej i środowiskowej trafia w przyszłościową dziesiątkę. Większość badanych przez CBOS (60 proc.) uznaje, że najlepszą formą rozstrzygania w kwestiach spornych jest ogólnonarodowe referendum; 5,6 proc. badanych jest przeciw referendum; 1/4 ma wprawdzie zastrzeżenia, ale dopuszcza tę formę wpływania przez społeczeństwo na władzę państwową.

Instytucja referendum ludowego jest klasyczną formą demokracji bezpośredniej, znaną w takich państwach socjalistycznych jak: ZSRR, NRD, Jugosławia, Mongolia, Bułgaria, Albania i Węgry. Z instytucji tej korzysta się jednak nader rzadko. Wyjątkiem jest tu Jugosławia, gdzie referendum spowodowało do szczebla gminy. W Polsce przeprowadzono tylko raz referendum w 1946 r. Projekt „Programu PZPR” zapowiada korzystanie z tej instytucji w skali ogólnonarodowej i lokalnej.

PRAWO WYBORCZE

Doświadczenia wyniesione z kampanii wyborczej do rad narodowych z 1984 r. i z wyborów do Sejmu z 1985 r. spowodowały, że w projekcie „Programu PZPR” zaproponowano dalszą demokratyzację prawa wyborczego. Społeczeństwo polskie, jak wykazują badania CBOS, oczekiwało takiej zapowiedzi. Dla 83,1 proc. badanych dalsza demokratyzacja prawa wyborczego stanowiła niezmienne istotną sprawę w rozwoju demokracji socjalistycznej w Polsce. Konkretne propozycje reform prawa wyborczego wysuwali jednak nieliczni. Dotyczyły one poszerzenia kręgu podmiotów uprawnionych do zgłaszania kandydatów do rad narodowych i do Sejmu oraz techniki wyborów. Stąd zapowiedzi programowe dalszego wzrostu wpływu obywateli na zgłoszenia i wybór kandydatów, skład i działalność organów wybieralnych wychodzą naprzeciw oczekiwaniom społecznym. Skonkretyzowanie tych zapowiedzi nie jest możliwe w projekcie „Programu PZPR” i może mieć miejsce dopiero w kolejnych ordynacjach wyborczych do rad narodowych i do Sejmu.

DOSKONALENIE METOD DZIAŁANIA ADMINISTRACJI

Projekt zapowiada doskonalenie form i metod pracy administracji państwowej, redukcję jej przerostów, decentralizację uprawnień i ulepszenie polityki kadrowej wśród pracowników aparatu państwowego. Doskonalenie metod podejmowania decyzji odbywać się będzie, jak zapowiada projekt, na drodze zasięgania opinii społecznej przed podejmowaniem decyzji, korzystania z ekspertów naukowych, stosowania elektronicznej techniki zbierania i przetwarzania informacji, poprawy organizacji pracy i uproszczenia urzędowych procedur.

Projekt zapowiada także zdecydowaną walkę z deformacjami biurokratycznymi, stawianiem się ogniu administracji ponad organami wyborczymi, nieliczeniem się z opinią ludzi pracy i lekceważeniem krytyki. Zapowiedzi te są bardzo piękne, ale zbyt ogólne. Społeczeństwo ma wciąż ogromne zastrzeżenia do metod, jakimi

posługują się władze w procesie kierowania i zarządzania różnymi sferami życia społecznego. Badania CBOS prowadzone w marcu 1985 r. wykazują, że 27,3 proc. respondentów uważało, że w ich miejscu zamieszkania i pracy wciąż stosuje się stare, niedemokratyczne, przestarzałe metody; 34,3 proc. — uważało, że czasem po te metody jeszcze się sięga; 26,1 proc. — było zdania, że w działalności władz dominiują już metody zgodne z duchem odnowy i reform; pozostali mieli jeszcze inne poglądy na ten temat.

Konfrontacja zapowiedzi zawartych w projekcie „Programu PZPR” z dostępnymi mi danymi empirycznymi sugeruje potrzebę większej konkretyzacji zamierzeń niż ma to miejsce w projekcie. W moim przekonaniu zapowiadane w projekcie „Programu” umocnienie zwierzchniej pozycji rad narodowych nad organami administracji państwowej powinno zaowocować przekształceniem organów administracyjnych w organy wykonawcze rad narodowych. Pozycja rad narodowych, tak zresztą jak i Sejmu, to powtarzający się proces przypływów i odpływów ich znaczenia: w okresach kryzysów i ostrych napięć społecznych rośnie rola organów przedstawicielskich; w okresach względnej stabilizacji organy administracji dominują nad organami przedstawicielskimi. Stąd, wciąż od nowa, umacnianie pozycji organów przedstawicielskich i z tego umacniania niewiele wynika w dłuższym czasie. Może krokiem we właściwym kierunku byłoby przekształcenie organów administracji państwowej, na szczeblu terenowym, w ciała wykonawcze rad narodowych.

Projekt „Programu PZPR” poświęca sporo uwagi pracy administracji państwowej. Administrację gospodarczą i jej pracę pozostawia poniekąd w cieniu, a przecież tam właśnie kilkowieści i kumoterstwo, nadużywanie stanowisk do osiągnięcia osobistych korzyści, nieudolność i inercja ma częściej miejsce niż w administracji państwowej. W tym właśnie pionie administracji, pionie gospodarczym, od pisarzy i referentów oddziału i działu poczynając na ministrach kończąc występują dopiero przerosty i wciąż jeszcze ogólna niemocność. Tam dopiero występuje biurokratyczna mitręga. Przez pryzmat działania administracji gospodarczej ocenia się też najczęść zaawansowanie procesu odnowy.

Na pytanie: „Czy Pana(i) zdaniem zdarza się w tej chwili w Polsce, że ludzie na stanowiskach kierowniczych wykorzystują te stanowiska dla osobistych korzyści?”, postawione w badaniach CBOS prowadzonych na ogólnopolskiej próbie udziałowej z marca 1985 r. uzyskano odpowiedź: bardzo często — 19,7 proc.; często — 34,8 proc.; rzadko — 12,8 proc.; bardzo rzadko — 5,8 proc.; nigdy — 3,0 proc.; trudno powiedzieć — 23,6 proc. Pytanie to osadzone było w kontekście pytań o ocenę metod kierowania i zarządzania w miejscu zamieszkania i pracy. Celowo pytanie to postawiono w tym kontekście, aby respondent wypowiedział się w kwestii nadużywania stanowisk kierowniczych do osiągnięcia osobistych korzyści na podstawie osobistych spostrzeżeń i doświadczeń, znajomości realiów w miejscu pracy i zamieszkania. Uzyskane wyniki przemawiają za tym, aby administracji gospodarczej w projekcie „Programu” poświęcić znacznie ważniejszą uwagę niż uczyniono to w projekcie.

UWAGI KOŃCOWE

Projekt „Programu PZPR” wiele miejsca poświęca dalszemu rozwojowi demokracji socjalistycznej w Polsce. Proklamuje przejście od państwa dyktatury proletariatu do państwa ogólnonarodowego. Wskazuje kierunki przemian wiodące do tego celu. Zapowiada poszerzenie demokracji bezpośredniej i wprowadzenie instytucji referendum ludowego w skali ogólnonarodowej i lokalnej. Zawiera konkretne obietnice dalszej demokratyzacji prawa wyborczego. Niewiele jednak mówi o innych drogach prowadzących do zbudowania w Polsce „państwa całego ludu”.

Społeczeństwo polskie, jak wykazują to badania CBOS, oczekuje gwarancji przestrzegania indywidualnych praw i swobód obywatelskich, dalszego rozwoju samorządności i ludowladztwa. Nie wysuwa w zasadzie konkretnych propozycji i oczekuje, że władza coś w tej mierze zaproponuje i podda pod dyskusję. Konkretne propozycje dalszych reform polskiego systemu politycznego rodzą się w PRON i w środowiskach intelektualnych. Sygnalizują one potrzebę poddania pod ogólnonarodową dyskusję propozycji m.in. powołania instytucji strażnika praw obywatelskich, przekształcenia organów administracji państwowej w organy wykonawcze rad narodowych, stworzenia hierarchicznych struktur samorządowych i ich integrację przez utworzenie izb samorządowych w radach narodowych i drugiej izby w Sejmie; utworzenia urzędu prezydenckiego itp.

Szkoda więc, że projekt „Programu PZPR” nie uwzględnił tych propozycji i nie poddał ich pod dyskusję. Mogło przecież okazać się, że tego rodzaju zmiany nie znajdują aprobaty społecznej i środowiska intelektualne niepotrzebnie tracą czas na opracowywanie tych koncepcji. Mogło też okazać się, że te propozycje trafiają do przekonania członków PZPR, klasy robotniczej i znacznych kręgów społecznych. Wtedy można by było zobowiązać świat nauki do przedłożenia zwartych projektów do oceny kierownictwu partii i państwa i do poddania ich pod publiczną debatę „Trwa dyskusja nad projektem programu. Oczekujemy — stwierdził gen. Wojciech Jaruzelski na XXV Plenum KC PZPR — na propozycje wnikiwe i śmiałe. Różnica między obecną a ostateczną wersją będzie miarą jakości dyskusji. Dotyczy to zarówno treści jak i stylistyki dokumentu. Jego precyzyjność i nośność”.



też pory zajmowaliście się wyłącznie samymi sobą?

— Dwa i pół roku temu, dzień po naszym pierwszym zjeździe, stanąłem w tym pokoju i okazało się, że jestem sam, a przecież wyszedłem z wielkiego tłumy. Miałem dosłownie jednego pracownika. Musieliśmy zorganizować ludzi, którzy chcieliby pójść z nami dalej. Kiedy podstawowe sprawy zostały rozwiązane — kiedy miał tu kto chociażby obsługiwać teleks, a chowu zinterpretować przepis z „Dziennika Urzędowego”, czy powiedział na ksero interesującą nas informację — przeszliśmy do realizacji tego, co uchwalono na zjeździe. Jak jednak zintegrować potężną bazę federacji? Przemysł lekki jest we wszystkich czterdziestu dziedzinach województwa! Zorganizowaliśmy piętnaście zespołów środowiskowych — osadziliśmy federację w kraju. To się udało... Kiedy zaczynał się, było nas 90 tys., teraz jest 265 tys. Przyszli wreszcie trzeci rok — rok drugiego zjazdu, który musi być lepszy od poprzedniego! Oczywiście nie tylko się organizowaliśmy. Jednak — co by nie mówić — można pisać wspaniałe programy, ulepszać je na papierze, ale podstawa, to dobra organizacja.

— Co uważa pan za największy dotychczasowy sukces federacji?

— Sukces? Boję się tego słowa. To, co dziś jest dla mnie sukcesem, jutro staje się codziennością. Co to znaczy sukces? Nie chcę mówić o sukcesach.

— Jakże osiągnięcie?

— Wysoka świadomość działaczy w organizacjach zakładowych cieszy najbardziej. Nie znajduje pan w kraju drugiej takiej federacji. Proszę sobie wyobrazić, że w przemyśle lekkim mogłoby działać na przykład siedem federacji... Metalowcy mają kilka... Tylko, że interes ludzi z jednej branży jest niepodzielny. Po co komu kompetencyjne spory? To tylko szkodzi sprawie. Mieliśmy już takie spory także u siebie...

— Jakże?

— Mieliśmy mówić o „sukcesach”.

— Dla pana jest to integracja ruchu, bazy federacji, czy sądzi pan, że tego samego zdania jest większość spośród ludzi, których pan reprezentuje? Czy tak samo myślą ludzie włókienniczy, pracownicy przemysłu bawełnianego — gdzie 20 proc. maszyn wyprodukowano około 1910 roku — ludzie z przemysłu liniarskiego, którzy przeżywa po prostu regres...

— Pytanie za pytaniem! Czy możliwa jest likwidacja tego wstępu — bo to, o czym pan wspominał, to zwyczajny wstyd — bez odpo-

wiedniego zorganizowania? Nie! Czy za to wszystko rozumieć ma się tylko przewodniczący związków? Zaczynamy mówić o polityce gospodarczej kraju i z tego ma się tłumaczyć jedynie związkowców? Mogę wskazać dziesiątki ludzi odpowiedzialnych za taki stan rzeczy — kierownicy, dyrektorzy...

— Dyrektor nie zmieni od razu całego parku maszynowego.

— Niech więc odniesie pan to do szczebla centralnego. Jednak za to, że w zakładzie nie ma ciepłej wody do umycia, to kto odpowiada: minister czy dyrektor? A za to, że przemysł lekki rozwija się na zasadzie podmuchu wiatru, to kto: dyrektor czy minister? Sprowadzając

wodowych daje wam możliwość reprezentowania ogółu pracowników. Nie wszystkie organizacje potrafią przyjąć na siebie ten ciężar.

— Fakt. Jedni w tych samych warunkach gospodarczych, prawnych i politycznych potrafią skupić wokół siebie 70 proc. załogi, inni — 15 proc. Przecież nikt nie rodzi się słaby... Te różnice wynikają z różnego podejścia do swojej roli. Z ludzkiej pracowitości i zwyczajnego lenistwa. Kiedyś mówiono nam: „Wszystkiemu winna jest ustawa związkowa. Zmienieć ustawę, to się poprawi”. Sejm znówelizował ustawę. I co? Nie! Ustawa to nie katechizm. Działacz związkowy, to dla mnie powinien być robotnik! I jest mi obojętne, czy ktoś się za to

wobec którego można jedynie ponownie wyrazić sprzeciw lub zastrzeżenia. Tak było choćby z listą zakładów, w których obowiązywać ma przedłużony czas pracy.

— Znowo zahaczamy o partnerstwo! Po prostu musimy się zdecydować: czy chcemy, aby mówiono o ruchu, że „to mamy partnera”, czy chcemy z tym partnerem działać? To są różne sprawy! Sami związkowcy także przyczyniają się do tych sytuacji. Jakże uprawnienia zakładowe organizacje dają federacjom? — żadne. A federacje OPZZ — także same! Jak można być mocnym partnerem? Teraz jesteśmy czymś w rodzaju mechanizmu wczesnego ostrzegania — to nam wolno i to robimy. Mówimy o reakcjach ludzi na różne decyzje. Nie można powiedzieć, że ktoś, kto je podejmuje czyni to w stanie psychicznego komfortu.

— W kontekście tego o czym mówiliśmy, jak widzi pan przyszłość polskiego ruchu zawodowego?

— W kraju mamy 132 federacje. O ile nie nastąpi — i to szybko — integracja ruchu w skali państwa, nie uda się zrealizować bardzo dobrego programu bytomskiego. Jak określi pan postawy dwóch działaczy — powiedzmy przewodniczących różnych co do wielkości federacji — z których jeden bez przerwy wchodzi na miny, szuka guzów, a drugi zadowolony jest, że przewodzi garście ludzi i już sam ten fakt zupełnie mu wystarcza...

— Rekiny polkną więc płotki i powstanie jeden wielki związek zawodowy pracowników PRL?

— Nie ma obawy! Interesy partykularne — nie boję się tego słowa — włókiennicy i, powiedzmy, hutników są różne. Nie ulega jednak wątpliwości, że w Polsce potrzebny jest jednolity, socjalistyczny ruch związkowy. Jedność związkowa jawić się musi jednością polityczną. Integracja to siła.

— Czy zdążył już pan wejść na minę, nabliżyć się guzowi?

— Jestem robotnikiem, wyszedłem z konkretnego zakładu, nie zza biurka, czy czyjeś teści... Jest we mnie coś, jakby zapotrzebowanie na guzy. Czasem z premedytacją wchodzi na miny. Poprawia to moje samopoczucie. Największą uwagę zwracam na to, żeby nie zacząć się przygoleniu. Kiedy odejdę z tej federacji, kiedy pomysł o i jak robiłem — nie będę miał wyrzutów sumienia.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF SPYCHALSKI

Nikt nie rodzi się słaby

działacza związkowego do roli chłopca do bicia, krzywdzi się samego robotnika. Wmawia mu się, że wszystkiemu winien jest związek zawodowy, a ja twierdząc, że adres jest inny.

— Mimo wszystko, co zrobiliście, żeby parę spraw zmienić na lepsze?

— Pyta mnie pan o samopoczucie? Jasne, krew robotnika zalewa, kiedy ogląda w telewizji, jak to w „lekkim” jest dobrze. W federacji systematycznie robimy analizy problemów naszego przemysłu i nie jest prawdą, że nic z tego nie wynika. Analizę placową na przykład zrobiliśmy wcześniej niż pomyślano o tym w resorcie. Przekonałbym resort, że w obecnych warunkach — min. przy tych maszynach — prace zaczynają maleć. I co? Ktoś pomyśli, że to nic nie znaczy? W efekcie — garbarnie, wełna dostają osiem procent funduszu plac wolnego od opodatkowania od ponadnormalnych wypłat. Ciągłe jednak usiłuje się sprowadzić ruch związkowy do roli „naprawiacza” czyichś błędów, tworzy korygującego zastawę fakty. To ślepa uliczka. Ruch nie może odpowiadać za czyjeś pomyłki, ale powinien tak kreować rzeczywistość, by nie powstawały nowe! Musimy być tam, gdzie rodzą się decyzje. To jest partnerstwo. Potrzebna nam wiedza — dostęp do informacji — grono specjalistów, bo partner nie może być głupszy... Daleko nam jeszcze do takiej „modelowej” sytuacji i to jest największe niebezpieczeństwo dla ruchu.

— Federacja NSZZ PL, to 494 organizacje zakładowe. Więcej niż połowa zatrudnionych w przemyśle, to ludzie spoza związkowych organizacji. Znowelizowana ustawa o związkach za-

obrazi, czy nie! Kto inny może ciągnąć tę robotę? Socjalizm, to przede wszystkim udział, a nie konsumpcja.

— Czy nie uważa pan, że federacje związkowe — związkowe centra w ogóle — przyjmują na siebie rolę niańki. Robicie na przykład plakaty, rozsyłacie je do zakładów i — bywa — za tydzień na ładnie wydrukowanym afiszu, określającym precyzyjnie związkowe uprawnienia, wywieszają się karteczki o wczasach, sprzedają cebuli. Papier kosztuje...

— Coś panu opowiem. W jednym z zakładów związki podjęły uchwałę krytykującą zakładową administrację, powiesiły ją na tablicy... Przyszli sekretarz POP i kartkę zdarł — człowiek z tej samej partii, członek tego samego związku. Wszystko można zniszczyć, wypaczyć — także w ruchu związkowym. Nikogo nie niańczę. Powiem każdemu co mam powiedzieć i — stojąc przed ludźmi — przyjmę każdą krytykę. Plakaty, informacje... Ten papier nie da efektów dziś, ale przyniesie je jutro. Obecnie jesteśmy w trakcie kampanii wyborczej w zakładach. Ludzie, którzy zostaną wybrani nie będą musieli zajmować się organizacją, niczego robić od początku. Będą mogli zająć się działaniem merytorycznym.

— Jest pan wiceszefem OPZZ. Rola centrali jest specyficzna. Na co dzień stykać się z generalnymi problemami społeczno-zawodowymi, gospodarczymi kraju. Poznajecie je. Wyrażacie swoje opinie i — zdarza się — na tym się kończy. W pewnych sytuacjach głos poszczególnych resortów brzmi donośniej. W konsekwencji — ogłoszone zostaje rozporządzenie,

Gdy człowiek zechce niemożliwe staje się możliwe

Na początku znacznie więcej było niedowiarków niż entuzjastów, jak w każdym przypadku podejmowania inicjatywy wprost niewiarygodnej. Nie ukrywam, że ja również do nich należałem. No, bo wybudować szkołę w ciągu roku i to w czynie społecznym? Tego w Łodzi jeszcze nie było. W innych regionach kraju także. Wprawdzie z Poznania dotarła do nas wiadomość, że tam, ponoć, szkołę wybudowano w ciągu roku, ale dokonano tego przedsiębiorstwo budowlane dysponujące materiałami, fachowcami i sprzętem mechanicznym.

Na retkińskiej budowie bywałem często i mówiłem (i to na antenie ogólnopolskiej w programie „Cztery pory roku”) o postępach robót, kłopotach i trudnościach. Dopingujałem, a latem 1985 roku, kiedy finansowali, graliśmy w „Lecie z radiem” dla nich wakacyjne przeboje...

NA „RETKINI” BRAKOWAŁO SZKÓŁ

„Retkinia” to nowe 76-tysięczne osiedle mieszkaniowe w zachodniej, poleskiej dzielnicy Łodzi. Osiedle ludzi młodych, a więc są i dzieci. 76 tysięcy mieszkańców, a szkół tylko sześć. Nic więc dziwnego, że dzieci uczą się tu na dwie i pół, a nawet — jak to ma miejsce w południowych i północnych częściach „Retkini” — na trzy zmiany. Nie pomogła nawet adaptacja dla potrzeb szkolnictwa kawiarni „Oaza” i klubu osiedlowego. Szkoły pejąka w szwach. Życie zmusiło więc do działania bez czekania na „inwestycijną mannę z nieba”.

Przed dwoma laty w gronie aktywu partyjnego i PRON dzielnicy Łódź-Polesie oraz Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie” (budującej i administrującej na „Retkini”), zrodziła się inicjatywa budowy szkoły w szybkim tempie — częściowo czynami społecznymi, częściowo sposobem gospodarczym — z tradycyjnych materiałów budowlanych (cegła i drewno) nie wymagających ciężkiego sprzętu montażowego.

— Zgodnie z pierwszą koncepcją miał to być budynek parterowy w kształcie litery „L” z dosyć ograniczonym programem — dla klas nauczania początkowego (I—III) — mówi inż. Jolanta Dobrowolska, autorka projektu budowlanego. — Zakładaliśmy, że budynek będzie służył szkole tylko przez kilka lat, do chwili zakończenia na „Retkini” planowanych inwestycji szkolnych. Potem będzie to osiedlowy dom kultury. Po rozmowach w Urzędzie Miasta zdecydowaliśmy się na kształt litery „H”, jako bardziej funkcjonalny z zapleczem świetlicowo-socjalnym i małą salą gimnastyczną.

— Tę koncepcję spółdzielnia trzymała w tajemnicy do momentu zatwierdzenia planu inwestycyjnego roku 1985. A walczyliśmy wtedy o wprowadzenie do planu szkoły 113 b — mówi Zygmunt Florek, dyrektor RSM „Polesie”.

— W maju 1984 roku naszą tajemnicę zdradziłem w programie „Cztery pory roku”. Mieliście wówczas kłopoty z dokumentacją.

— Tak, ale nasi inżynierowie stanęli na wysokości zadania, a i oni pomogli. Myślę tu np. o stronie konstrukcyjnej dokumentacji, która wymagała szybkich obliczeń komputerowych. Wykonali je bezpłatnie pracownicy Spółdzielczego Ośrodka Studyjno-Projektowego „Inwest” w Łodzi.

— Na plac budowy weszliśmy w październiku 1984 roku, ale deszcze i gliniasto-bagienny teren nie pozwalał na szybkie kopanie fundamentów. Potem przyszły wczesne mrozy. Pamiętam, że kiedy 17 listopada, właśnie z wykopów, na żywo realizowaliśmy program „Cztery pory roku”, to ręce przymarzały mi do mikrofonu. I wówczas, mówiąc między nami, nie wierzyłem, że 1 września 1985 roku zadzwiczy tu dzwonek szkolny. Wiosną 1985 roku okazało się, że budynek stoi... Wtedy nagrałem taką rozmowę.

BYŁA WIOSNA 1985

— Panie dyrektorze, mam do pana żal! Jak to tak, wiecha była i radia przy tym nie było!?

— Wiechy nie było, bo nie było na nią czasu — odpowiada Zygmunt Florek. — Wiechę zrobimy po 15 sierpnia jak będzie odbiór i budynek prześlemy nauczycielom szkoły.

— Najgorzej to było zimą — mówi kierownik budowy Tadeusz Chaldeński — i gdybyśmy ją przespał, to nie byłoby jeszcze tego budynku. Praktycznie tego typu inwestycje wnosili się w trzy lata. My chcemy zrobić to w osiem miesięcy, a więc wcześniej niż myśleliśmy przed rokiem, kiedy zakładaliśmy oddanie jej w końcu grudnia 1985.

— Często trafialiśmy na różnego rodzaju bariery technologiczne — mówi inż. Aleksander Łapiński. — Elementy betonowe musiały stężeć, związać się, a wykonawcy następnych prac nie mogli czekać. W związku z tym na każdy dzień musieliśmy mieć opracowany dokładny harmonogram robót. Bez tego chodzilibyśmy sobie po głowie i szkoty by jeszcze nie było...

W którąś kwietniową sobotę wiosną 1985 roku przysłała 25-osobowa grupa pracowników administracji, zieleni i transportu RSM „Polesie”. Zabrał się do porządkowania terenu i przygotowania frontu robót pod drogę i dojścia. Na budowie równolegle prowadzono kilka prac — cieśle robili dach, a w klasach pracowali już hydraulicy i elektrycy, na zewnątrz trwały prace przygotowawcze pod przyszłą drogę i chodniki. Na „normalnych” budowach robi się to w ostatniej chwili, przed przecięciem wstęgi.

Przedstawiono mi wtedy młodą dziewczynę w roboczym kombinie, w kasce, spod którego co chwila wysypywały się nieposłuszne włosy. Okazało się, że ta dziewczyna to pani magister inżynier Krystyna Zielen z Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Śródmieście”.

— To dość nietypowa budowa. Wiele prac budowlanych prowadzonych jest równolegle z pracami wykończeniowymi. Musimy więc wzajemnie sobie pomagać i stwarzać pełny front robót.

— A czy na innych budowach nie można by tak?

— Można, ale to zależy od ludzi.

— Czy to pani pierwsza budowa?

— Nie. Pracowałam już przy budowie Centrum Zdrowia Matki Polki, ale postanowiłam i tu pomóc, bo wielu członków załogi naszego przedsiębiorstwa mieszka w osiedlu „Retkinia”. A my jesteśmy specjalistami od montażu dachów.

— Przypuszczam, że dla pani ta szkoła budowana w takim tempie z tradycyjnych materiałów, to dobre doświadczenie.

— O tak, dość duże, bo my — jak powiedziałam — jesteśmy tu wykonawcami dachu o dość wyjątkowej konstrukcji z drewnianych dźwigarów w kształcie plastikich trójkątów.

— A najczęściej układacie stropy z wielkich płyt i betonu.

— Tak, a tu drewno i dach lekko spadzisty. W sumie ta szkoła stanowić będzie przyjemny akcent w tej „betonowej pusztynie” współczesnych osiedli...

GDY LATEM PADAŁY DESZCZE

— Lato nas także nie rozpieszczało — opowiada inż. Jolanta Dobrowolska. — Wiem to dobrze, ponieważ cały czas nadzorowałam roboty jako autor projektu i inspektor nadzoru robót budowlanych. Na co dzień byłam z tym swoim dzieckiem budowlanym. W sierpniu było bardzo duże zagrożenie, jeśli chodzi o roboty zewnętrzne, a więc wszelkiego rodzaju przyłącza i drogi. Latem deszcze padały często i obficie, a teren tam gliniasto-bagienny i po opadach były przypadki, że ciężka gąsienicowa koparka topiła się aż po kabinę i przy jej wyciąganiu dwa spychacze nie poradziły. A kiedy znowu było sucho, to miejscami ziemia stawała się twarda jak skala. I wtedy dużą pomoc okazało nam Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych. Cały lipiec i sierpień pracowaliśmy nawet w niedzielę. Ludzie przychodzili pomagać w czasie urlopu.

Kiedy nagrywałem wówczas rozmowy z pracującymi na budowie, to często pytałem: „kim pan jest z zawodu?” i słyszałem: ekonomista, technik bhp, pedagogiem, planistą, księgowym... Na przykład Marek Karbaczewski powiedział wtedy:

— Robię wszystko co trzeba. Zaczynałem od układania płyt na jezdni, potem stawiałem szalunki, lałem beton...

I NADSZEDŁ WRZESIEŃ 1985 ROKU

Szybko przewijam taśmę, by trafić na fragment z 2 września 1985 r., kiedy szkoła zabrzmiiała dziecięcym gwarem. Spotkaliśmy się wówczas ze starymi znajomymi, tymi z rozmów radiowych w wykopach, przy szalunkach: Markiem Korbaczewskim, Lechem Markowskim, Marianem Bednarzem, Stefanem Ciesielskim, Lechem Skrobirandą i Markiem Chmielewskim.

— I taśma nam wyszła ta szkolna? Nie żal tych wolnych sobót tu spędzonych.

— I nie żal pęcherzy na dłoniach.

— Jest satysfakcja. Te uśmiechy dzieci wszystko nam dzisiaj wynagradzają...

— Czy już wiecie ile w sumie będzie ta szkoła kosztowała?

— Zapytałem wtedy.

— Około 96 milionów złotych, z czego 25 milionów wypracowali sami.

Jest w tej szkole 13 izb lekcyjnych, mała sala gimnastyczna z zapleczem dla „szklanki mleka”, dwa gabinety lekarskie, pokój nauczycielski, sekretariat i pokoje dyrekcji oraz biblioteka. Jest to szkoła, którą można zaadaptować do różnych warunków terenowych, zwłaszcza na wsi, bo wystarczy wymienić pomieszczenie, w którym znajduje się węzeł ciepłowniczy na kotłownię i jest już załatwiona sprawa ogrzewania. Dla potrzeb 8-latków można dodać jeszcze jeden element tworząc budynek w kształcie zamkniętej litery „H” i wówczas znajdzie się miejsce na blok żywieniowy i dużą salę gimnastyczną z zapleczem. Materiał tradycyjny, cegła i drewno pozwala na wykorzystanie zarówno istniejących w terenie surowców, jak i fachowców wiejskich.

Z listów słuchaczy, jakie przychodzi do Polskiego Radia, wiem, że wiele społecznych komitetów budowy szkół wiejskich nie może ruszyć z miejsca właśnie z braku dokumentacji budowlano-technicznej. Wtedy zrodziła się myśl uśrednienia dokumentacji technicznej retkińskiej szkoły innym środowiskom pragnącym społecznym wysiłkiem wybudować szkoły.

W październiku 1985 r. na Retkini w nowej szkole spotkali się członkowie Komisji Inwestycji i Prezydium Krajowego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole, na czele z prof. Zbigniewem Gertychem, oraz społeczne komitety budowy szkoły na Retkini i we wsi Barczew, w województwie sieradzkim. Barczew będzie pierwszy, który skorzysta z dokumentacji nieodpłatnie przekazanej Krajowemu Komitetowi NCPS przez Robotniczą Spółdzielnię Mieszkaniową „Polesie” w Łodzi.

Dla tego Barczew będzie pierwszy. To moja propozycja. Powołany tam przed trzema laty społeczny komitet budowy szkoły nie zaczął od zbiorów pieniędzy i szukania bogatych sponsorów, a od własnej pracy. Mając we wsi złoża gliny wypalili ok. 70 tysięcy cegieł, mając zlasowane wapno, na placu szkolnym mają też zgromadzone piasek, żwir i szlache. Brakowało im dokumentacji budowlano-technicznej, a bez niej nie ma mowy o rozpoczęciu budowy, a także o wszczęciu starań o dofinansowanie ze środków wojewódzkich czy funduszu NCPS. Mimo wielu terminów wyznaczanych przez architektów zamówionej dokumentacji nie ma. Piękny gest RSM „Polesie” i inż. Jolanty Dobrowolskiej, przekazania PRON dokumentacji ożywił barczewska społeczność. Od październikowego spotkania w Łodzi z prof. Zbigniewem Gertychem, w Barczewie wykonano 2.800 pustaków i zwieziono 131 przyczep gliny na wypalenie wiosną dalszych 100 tysięcy cegieł. I jak tym ludziom nie pomóc?

Niebawem Krajowa Komisja NCPS dysponować będzie większą wersją tej dokumentacji: 8 izb lekcyjnych, pełnowymiarowa sala gimnastyczna, stołówka z kuchnią, kotłownia. Inż. Jolanta Dobrowolska z zespołem inżynierów: Bronisława Przeplata, Grzegorz Wacek i Zdzisław Zrodek oraz technik Henryk Sadowski) zakończyli już prace nad adaptacją terenową dokumentacji dla potrzeb Barczewa.

Kiedy w październiku 1985 roku, w obecności prof. Zbigniewa Gertycha, zaproponowała by społeczne komitety budowy szkół na Retkini i w Barczewie spotkały się w Barczewie, społeczniczy z RSM „Polesie” podjęli moją inicjatywę. Spotkanie to odbyło się w grudniu i w Barczewie podpisano umowę o współpracy. Pierwszy to chyba przypadek rozpoczęcia współpracy miejskiego osiedla z niewielką wsią w województwie sieradzkim. Umawiające się strony zobowiązały się współpracować przy budowie szkoły w Barczewie, a potem wspólnie — na zasadzie wymiany — organizować letni i zimowy wypoczynek dzieci.

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Z matka było już źle. Opadła z sił, oddychała nierówno, choć jeszcze przytomna. Krystyna zaaplikowała nitroglicerynę, zostawiła uchylone drzwi i dopadła telefonu. Starła się spokojnie i rzeczowo wyjaśnić do słuchawki... starsza kobieta, sześćdziesiąt cztery... w grudniu, sześć tygodni temu był zawał... dobrze, czekam...

Uspokaja Maćka. Siedmiolatek wyczuwa napięcie, pyta o babcię, chce iść do niej. W końcu usypia.

Siedzi przy tapczanie, przygląda się matce. W grudniu już liczyła się z najgorszym, lekarz uprzedzał. Zawał to zawał. Ale... niby człowiek wie, a nie wie. Może tylko beznadziejnie otrzeć pot i potrzymać za rękę.

Lekarz z pogotowia bada chorą. Krystyna pokazuje wypis ze szpitala, opisuje stan i samopoczucie matki w ciągu tych sześciu tygodni. Lekarz orzeka skurcz oskrzelowy. Nie ma obaw. Damy zastrzyk, poczekamy, zobaczymy.

Matka z minuty na minutę słabnie. Nadal jest przytomna, mówi, że umiera. Jest spokojna. Żegna córkę i Maćka. Prosi tylko o pochowanie jej w rodzinnym Zamościu.

Dopiero teraz lekarz konstatuje, że chora jest w agonii, rozpoczyna akcję reanimacyjną. Objawy rozległego zawału teraz są dla niego jasne. Po dwudziestu minutach wysiłków matka umiera.

O drugiej dwadzieścia w nocy lekarz podpisuje akt zgonu i szybko odjeżdża. Krystyna patrzy na uspokojoną twarz matki, inną niż ta znana, ruchliwa, nerwowa. Trudno pojąć, że to ta sama kobieta. Nabój nieskończonej energii, niemożliwych pomysłów, przewracających godny marazm życia rodzinnego. Ku potępieniu ciotek matka daleka od ideału szlacheckiej matrony. Zawsze ja roznosiło pragnienie podróży i przygód. W nosie miała pozę francuskiej Penelopy nad garami. Zmuszała rodzinę do jakichś zawirowań wypraw, z których wracało się ubłoconym i zmordowanym jak nieboskie stworzenie. Ojciec zawsze mówił, że ożenił się tylko dlatego, żeby mieć obiadki i ciepłą żonkę pilnującą pieluch i rondli, a dostała mu się fryga, za którą fruwał rój gesich piór, kalamarzy i puderniczek. Gdyby nie wypadek przed dziesięciu laty, pewnie dalej biegałby za nią z nęcącym apaszką i zachwyconymi oczyma...

ŚRODA

Śmierć w domu, a myśli takie trzeźwe, omal bezduszne. Wstydzi się tego, ale ogarnia ją panika na samo wspomnienie tego, co trzeba będzie załatwić do pogrzebu. Krystyna chciałaby w tej chwili być gdzieś na zgnitym telefonie. Przeprowadza się parę rozmów telefonicznych z właścicielami instytucji, a już oni wszystko załatwiają jak trzeba. Łącznie z makijażem nieboszczyka, żeby się godnie przeżegnał i nie przyniósł wstydu rodzinie w czasie smutnej ceremonii.

Telefoniczne połączenie z mieszkaniem w Katowicach, gdzie właśnie śpi jej mąż, trwa blisko godzinę. Krystyna musi podnieść głos, przebijający się z trudem do zasnętego ucha Ludwika. Mąż bierze na siebie zawiadomienie reszty rodziny, niech przygotują wszystko do pogrzebu w Zamościu, w rodzinnym grobowcu. Sam przyjedzie wieczornym pociągiem o dziewiętej z groszami, tak, oczywiście nie zapomni zabrać pieniędzy...

Maciek się obudził, trzeba go uspić. Niech dopiero rano się dowie, że nie ma już babci. Nie udaje się zimowe wczasy nad morzem. Pod koniec stycznia, w siarczyste mrozy — Leba wydaje się leżeć na końcu świata. O szóstej rano jest zasypiana śniegiem po dachy. Nie kursuje PKS. Taksówki bagażowej czy osobowej ani na lekarstwo. Wraca do pensjonatu. Możliwie najlagodniej stara się docucić Maćka i powiadomić go o śmierci babci. Muszą się teraz wziąć w garść.

Przed ósmą oboje zaczynają pielgrzymkę po taksówkarzach. Żaden nie chce pojechać do Słupska w taką pogodę. Odmawiają jeden po drugim, choć Krystyna obiecuje 5000 złotych za kurs tam i z powrotem. W końcu widok zmarniełego dziecka łamie jednego. Pojedzie, nawet nie weźmie tych pięciu tysięcy. Ludzka sprawa, on rozumie.

Najpierw do Banku. Krystyna na szczęście ma pełnomocnictwo matki na jej oszczędności. Formalności trwają czterdzieści minut. Teraz Zakład Pogrzebowy. Trzeba się dowiedzieć o wszystko.

Nie do uwierzenia, ilu urzędników może zatrudniać taka instytucja. Po dwóch godzinach czekania przed kolejnymi pięcioma pokojami i wyjaśniania sprawy legionowi pań, Krystyna dowiaduje się jakie dokumenty musi posiadać do przeprowadzenia legalnego transportu i pochówku. A więc: akt zgonu, sanepidu pozwalające na transport, opłombowana trumna, zaświadczenie pisemne z Zamościa, że tam godzą się przyjąć zwłoki. Na koniec, zaspana dama komunikuje Krystynie, że potrzebne jest także zezwolenie Milicji Obywatelskiej na transport zwłok. Krystyna w panice usiłuje odgadnąć, czy to ostatnie oznacza urzędowe potwierdzenie o niekaralności i właściwym prowadzeniu się zmarłej, czy raczej potwierdzenie, że trumna nie posłuży do transportu kontrabandy...

Jeśli chodzi o koszty, to prosta trumna — około 25 tysięcy, plus dodatki — ok. 4 tysięcy. Transport samochodem zakładu pogrzebowego, pod warunkiem załatwienia wskazanych dokumentów — wyniesie, według skalkulowanych cen przedsiębiorstwa około 70 tysięcy złotych.

Krystyna rezygnuje. Za drogo. Podejmuje więc próbę namówienia na jazdę jakiegos taksówkarza bagażowego. Wszyscy odmawiają ze

względów na porę roku i warunki na drogach, a już zabobonnie spluwają pod nogi na wieść o rodzaju ładunku. Niefartowny bagaż. A poza tym, musi być specjalnie przystosowany samochód i zezwolenie na transport. Taksówkarze odsyłają jeden do drugiego, aż o dziwo, znajduje się jeden chętny. Ugađują cenę transportu na dwadzieścia tysięcy. On załatwi zezwolenie na samochód, ona — pozostałe dokumenty.

Umówiona nazajutrz z taksówkarzem Krystyna postanawia jeszcze spróbować na kolei. Może wypadnie taniej. Naczelnik stacji nie bardzo wie, jak się załatwia takie rzeczy, odsyła do dyżurnego ruchu, albo jeszcze lepiej do miejscowego przedstawiciela Dyrekcji Północnej PKP. Wędrówka od Annasza do Kajfasza trwa do końca godzin urzędowych. Właściwie, to nikt tak naprawdę nie ma pojęcia jak się do sprawy zabrać. Ale wszyscy zgodnie potwierdzają, że tego rodzaju transport wymagać będzie doczepienia do składu pociągu specjalnego wagonu. Istnieje też ryzyko, że na stacji „przeładunkowej” może nastąpić zamieszanie, a nawet zgubienie wagonu. Ponadto

JOLANTA WRÓNSKA

Spoczywaj w pokoju

bezwzględnie wymagane jest prokuratorskie zezwolenie na transport trumny z zawartością, Potwierdzenie powyższego na MO i w sanepidzie. Całość kosztów, szacunkowo wyliczona przez naczelnika stacji wahać się będzie w granicach 40—45 tysięcy złotych.

O siedemnastej Krystyna rezygnuje. Ze słaniającym się ze zmęczenia Maciekiem wraca do Leby okazją. Jest środa wieczorem.

Po drodze do pensjonatu, Krystyna zachodzi jeszcze na miejscowy cmentarz. Może choć tu przyjąć ciało matki na czas załatwiania formalności. Bez trumny nie przyją, lodówki nie mają, a to że panują mrozy niczego nie usprawiedliwia. Argument, że ciało nie może leżeć długo w ogrzewanym mieszkaniu, zostaje skwitowany wzruszeniem ramion.

Ludwik dzwoni z dworca w Słupsku, że właśnie dotarł, łapie taksówkę i powinien niedługo być.

Zmarła nadal leży w swoim pokoju. Otwarte okno wybiegło całe mieszkanie.

Maciek zasypia natychmiast, otulony mamiącym kożuchem z gorącym termoforem u stóp.

CZWARTEK

Podzielił się zadaniami, Ludwik wziął na siebie sanepid i dowie się o trumnę. Krystyna zajdzie na milicję dowiedzieć się o tajemnicze zezwolenie oraz spotka się z zamówionym taksówkarzem. Ten jednak, ku swemu i Krystyny żalowi komunikuje, że jego bagażówka jest niesprawna. Będzie ją naprawiał, ale obawia się, że nie dopełni zobowiązania. Niech Krystyna zajdzie jeszcze po południu.

Ludwik po czterech godzinach relacjonuje, że ma już pozwolenie sanitarne na transport, szczegóły załatwia zakład pogrzebowy, to znaczy właściwą trumnę i plombę. Co do tej ostatniej, nie ma pewności czy znajdują właściwy rozmiar, bo może w ogóle zabraknąć plombowanych trumien, które znajdują się w magazynie na peryferiach miasta, a zakład nie udostępnia swego transportu na wozenie osób żywych. Po pierwszej dawce realiów do przeskokowania z okazji pochówku, Ludwik sprawnie wrażenie człowieka uderzonego w głowę. Tymczasem Krystyna oznajmia, że połączyła się telefonicznie z Zamościem, tam obiecali natychmiast wysłać zawiadomienie o przyjęciu zwłok na miejscowy cmentarz, co — nawiasem mówiąc — wcale nie okazało się potrzebne. Poza tym, a Ludwika uderza podejrzenie spokojny ton żony, na milicji Krystyna dowiedziała się co następuje: przede wszystkim wywołała śmiertelne, można powiedzieć, zdumienie swoim żądaniem otrzymania pozwolenia na przewieźienie zmarłej na drugi kraniec Polski. Jeszcze nigdy w życiu nikt się do nich z czymś takim nie zwracał. Ale, dyżurny sierżant przyznał lojalnie, że zbyt krótko tu pracuje i może po prostu nie wie o czymś takim. Najlepiej, niech się Krystyna dostanie do komendanta. Tamże, sytuacja i odpowiedź powtarza się najdokładniej. Przy okazji, zadziwiająca prośba obywatelki wywołuje niejako poruszenie w Urzędzie. Krzyżują się sprzeczne opinie, co do tego, kto właściwie i w jaki sposób ma zadośćuczynić prośbie. Po przejściu kilku pokoi Krystyna dowiaduje się, że tu nikt nie czuje się kompetentny, nigdy nie wydawali żadnych zezwoleń na transportowanie zwłok, to nie ich parafia. Skoro jednak najbardziej fachowa instytucja w tej sytuacji, czyli zakład pogrzebowy, stanowczo domaga się zezwolenia od milicji, to widać jednak oni powinni takowe wydać.

Wreszcie ktoś wpada na pomysł, żeby odebrać Krystynę do Urzędu Miasta do Wydziału Gospodarki Komunalnej. Tamże, po wielu zachodach, trafia wreszcie petentka przed oblicze jednego z wiceprezydentów. Ten zadaje tylko jedno pytanie. A po co właściwie takie zezwolenie zakładowi pogrzebowemu? Co więcej, wi-

dując umęczenie na twarzy Krystyny, podejmuje się sam podzwonić gdzie trzeba. Poczęstowana herbata Krystynę przysłuchuje się kolejnym rozmowom z MO, naczelnikiem stacji kolejowej, sanepidem i wreszcie z zakładem pogrzebowym. Wszędzie słychać rozbrajającą odpowiedź, że oni nigdy przedtem nie mieli takiego zadania do wykonania, nie wiedzą, jak się do niego zabrać, coś słyszeli, ale dokładnie nie wiedzą gdzie i od kogo. I niestety nie mają akurat pod ręką odpowiednich przepisów regulujących tę kwestię, a szczerze powiedziawszy nie mają nawet pewności, czy takie przepisy istnieją.

Postawiony na baczność telefonem wiceprezydenta miasta, zakład pogrzebowy słyszał, owszem, że zezwolenie od milicji jest potrzebne przy transporcie zwłok, ale też nie wiedzą na pewno, bowiem nigdy przedtem nie mieli z tym do czynienia. Kiedy chowano w Polsce kogoś zmarłego poza granicami państwa, zajmowały się tym firmy zagraniczne, a zakład potwierdzał tylko zgodność dokumentów. Przy-

wolany do telefonu kierownik żałobnej firmy ustala tylko jeden pozytywny. Mianowicie — jakie dokumenty wymagane są u nich przed pogrzebem. Tylko akt zgonu i zgoda sanepidu na transport. Więc chyba oni powinni kontrolować trumnę i plombę?

Ustaliwszy wspólnie, że posiadają już w ręku wymagane dokumenty uprawniające do transportu i pochowania zmarłej, czyli akt zgonu i zezwolenie sanepidu, który niczego — jak się okazało — nie kontroluje w trumnie, albowiem regulują to ogólne przepisy zakładów pogrzebowych, które muszą zaopatrzyć klientów w wymagane trumny, Krystyna i Ludwik postanawiają się skupić na zorganizowaniu przewozu do Zamościa.

Przy tej okazji, Ludwik wpada na pomysł, że skoro żona obszła już taksówkarzy i PKP, można, do kompletu, sprawdzić jak się mają rzeczy w firmie LOT. Słupskie przedstawicielstwo okazuje się być jedynym sprawiedliwym w Sodomie.

Owszem, LOT może przewieźć trumnę. Wymaga się wyłącznie: metalowego „wsadu” do trumny, który to wsad mają w swej dyspozycji normalne zakłady pogrzebowe, przynajmniej powinny mieć. Trumna powinna być zalutowana, co także należy do obowiązków wymienionego przedsiębiorstwa. Ponadto potrzebny będzie tylko duży plastikowy worek dla owinięcia trumny. Ale to ze względu na zrumniałą chęć oszczędzenia pasażerom rejsowego samolotu, niepotrzebnych, a nieprzyjemnych wrażeń. I tyle. LOT nie potrzebuje żadnych zezwoleń, plomb i temu podobnych ułatwień. Wystarczy opłacić koszt transportu do Warszawy oraz ceny biletów dla osób towarzyszących. Transport zaś będzie kosztował według cennika 6800 złotych (sześć tysięcy osiemset). Wysokość kwoty na chwilę poraża oboje klientów. Przy 70 tysiącach jakie im zaproponował zakład pogrzebowy i 45 tysiącach w PKP, LOT wydaje się być firmą totalnie deficytową. Nadto uprzejmość i takt personelu przedstawicielstwa pomagają nieco odzyskać równowagę po poprzednich przejściach. Co więcej, LOT, za kilkusetzłotową opłatą godzi się przechować trumnę w lodowni na Okęciu do czasu zorganizowania dalszego transportu. Firma rezerwuje na sobotę bilety i przechowanie. Po uiszczeniu opłat, Krystyna i Ludwik mają do załatwienia już drobiazgi.

Należy nabyć odpowiednią trumnę. Przewieźć ją ze Słupska do Leby (prywatnie, bo zakład pogrzebowy nie przewozi) następnie przewieźć trumnę do Słupska na lotnisko z odpowiednim wyprzedzeniem, by załadunek do samolotu odbył się przed wpuszczeniem pasażerów.

Niestety jest już po godzinie piętnastej. Firma pogrzebowa zamknięta. Trzeba poczekać do jutra.

Ciało matki nadal leży w mieszkaniu, jakie nie ma technicznej możliwości przewiezienia zwłok „bez opakowania” do Słupska i złożenia ich w szpitalnej lub cmentarnej kostnicy.

PIĄTEK

Od samego rana awaria elektryczna w niepojęty sposób uniemożliwia pracę zakładowi pogrzebowemu. Telefony są przyjmowane nad wyraz niechętnie, informacje udzielane skąpo, a jeśli chodzi o zakup trumny, to trzeba przyjechać osobiście do Słupska, pofatygować się do magazynów na peryferiach i tam dowiedzieć się, czy są na składzie metalowe „wsady”. Pytanie, czy „centrala” nie może się telefonicznie dowiedzieć w magazynie o co trzeba, by ewentualnie zwrócić się do innej firmy, wywołuje niebotyczne zdumienie funkcjonariuszki pogrzebowej. Ona nie jest od tego. A poza tym z godnością komunikuje, że ich zakład jest jedynym w mieście. No chyba, że ktoś chce w Łęborku albo w Bytowie.

Pogoda sprzyjsięgła się przeciw ludziom. Połtwna śnieżnica niemal do zera ogranicza ruch

na drogach, autobus PKS dociera jednak do Słupska, choć z dużym opóźnieniem.

Dotarcie do magazynu zajmuje kolejną godzinę. Jest już po trzynastej. Na miejscu znajduje godna dama administracyjna. Owszem, posiada „na stanie” metalowy wkład do trumny, akurat ostatni. Wypisując rachunek powiadamia, że opłatę należy uiścić w kasie, w głównej siedzibie przedsiębiorstwa. Następnie należy rachunek potwierdzony przywieźć jej z powrotem, wtedy wyda zakupioną trumnę. I do piętnas!.. bo potem zamyka i nie ma zamiaru sterczeć tu po godzinach. Nie płać jej za to. Jeśli klienci nie zdążyli do tego czasu, ich sprawa. Niech się zgłoszą w poniedziałek, bo jest wolna sobota.

Krystyna na myśl o tym, że mogłoby nie zdążyć, dostaje drgawek. Trzeba by odwoływać lot do Warszawy, rezerwować inny termin. A poza tym — jak długo ciało może jeszcze leżeć w pensjonacie? Cierpliwość zaprzyjaźnionych właścicieli też się kończy.

Szczęśliwie łapia taksówkę, obracając do „centrali” i z powrotem i po czterastej mają już trumnę. Teoretycznie. Należy bowiem jeszcze zlapać bagażówkę chętną do przewiezienia trumny pustej. Następnie trzeba przekonać kierowcę, by zechciał wrócić do Słupska z trumną pełną oraz towarzyszącą rodziną i zawięzić wszystkich do miejskiej kostnicy, która zgłosiła się przewieźć trumnę do soboty.

Krystyna biegnie łapać bagażówkę co na peryferiach miasta jest niejaka sztuka i ma szczęście. Kierowca godzi się na wszystko, choć ustala opłatę na pięć tysięcy. Tymczasem Ludwik odbiera od spoglądającej wciąż na zegarek jeźdźcy zakupioną trumnę z metalowym wkładem. Dama spokojnie wręcza mu lutikwas z propozycją by sam sobie zalutował trumnę. Dodatkowo informuje, że jeśli metalowy wkład okaże się nie pasować do nieboszczki, to ona nie przyjmie reklamacji, bo towar dotychczas uważa się za sprzedany. Innych wkładów na razie nie ma, nie wiadomo kiedy będą. Jeśli więc mamusia okaże się zbyt gruba, to trumna może się nie domknąć. Ale za to już ona nie bierze odpowiedzialności, tylko uprzedza na wszelki wypadek. Jakby co, muszą wrócić przed piętnastą, żeby zamówić szerszą trumnę na poniedziałek.

Z obiedem w oczach kierowca bagażówki pokonuje trzydziestokilometrową trasę do Leby, wysłuchując po drodze opisu zmagających pogrzebowych. Najbardziej obraża go wiadomość, że do rachunku za trumnę firma doliczyła koszt robocizny, to jest zalutowania metalowego wkładu, w kwocie około 600 złotych.

Na miejscu okazuje się, że trumna nie mieści się w drzwiach budynku. Trzeba zmarłą owinąć, w koc, znieść na dół i ułożyć w trumnie na platformie bagażówki. Tu jednak kierowcy nerwy zawodzą, stanowczo odmawia transportowania zwłok w kocach. Zawięzić zawięzić gdzie trzeba, ale do rąk nie weźmie za żadne skarby. Krystyna słodziutkim głosem zachwala, że mamusia nieduża, szczupła, przystojna kobieta i bać się nie ma czego. Czaję się na dnie tej słodczy mord przekonuje kierowcę. Znoszą ciało do trumny ustawionej na platformie bagażówki i solidarnie parzą palce przy łutowaniu.

Powrót do Słupska i odwiezienie trumny do kostnicy zajmuje przeszło godzinę. Do sobotniego ranka można spokojnie przespacerować się w hotelu. Zaprzyjaźniony już kierowca obiecuje przewieźć rodzinę i trumnę rano na lotnisko.

SOBOTA

Taktowne i uprzejme stewardesy w samolocie starannie opiekują się nieutuloną w żalu rodziną. Nawet Maciek się rozchmurza i cieszy się, że dzięki babci cała rodzina pierwszy raz w życiu leci samolotem, a on przy okazji pierwszy raz zobaczy Warszawę.

Okęcie, zgodnie z obietnicą przyjmuje trumnę do przechowania, a rodzina musi teraz załatwić dalszy transport. Telefony do kolejnych przedsiębiorstw pogrzebowych skłaniają do wniosku, że ich pracownicy jedynie przyrzekli zmuszeni są pracować w tej branży, bo tak naprawdę powinni prowadzić kabarety satyryczne. Dopiero czwarta firma przyjmuje pytanie o transport zwłok, jako rzecz normalną. Owszem, mogą to wykonać.

Nieprawdopodobnie wytworne wnętrze zakładu pogrzebowego każe Krystynie szybko przeliczyć pozostałe jeszcze pieniądze, bowiem dotychczasowe zabiegi kosztowały już blisko 80 tysięcy i niewiele pozostało. Tymczasem niezwykle uprzejma obsługa zakładu wymienia za transport trumny i rodziny do Zamościa fiatem-combi, kwotę — 12 tysięcy złotych. Nie wspominając już o chęci pomocy zaferowanej przy organizacji pogrzebu na miejscu.

Droga w śnieżnej zamięci i w zaspach przebiega spokojnie, głównie za sprawą znakomitego kierowcy, który w międzyczasie opowiada o licznych i urozmaiconych przygodach z pochówkiem zmarłych, jakich bywał świadkiem.

Rodzina w Zamościu przygotowała wszystko jak należy do poniedziałkowego pogrzebu. Jest zamówiona lodówka dla trumny i nawet zaprzyjaźniony z rodziną ksiądz przybył z Lublina.

Na cmentarzu kapłan, wspominając niezwykłą żywotność zmarłej, pożegnał ją... „niech odpoczywa w spokoju”...

P.S. Wszystkie imiona i nazwy miejscowości ze zrozumiałych względów zostały zmienione.

kilku miesiącach mama dała się przebić: kupiła mi nową „WSK”. W życiu nikt nie zrobił mi piękniejszego prezentu!

— O wyczynowym uprawianiu sportu młody chłopak rzecz jasna nie myślał...

— Oczywiście, chociaż sąsiad, pracujący w LOK, namówił mnie kilka razy na różne turystyczne imprezy, jakieś zloty, pierwsze próby sprawności, slalomu. Jazda na czas, punktacja, rywalizacja — to już była namiastka „prawdziwego” sportu. Ale przełomowy był rok 1975...

— Miał pan wówczas 17 lat...
— I przypadkiem, w czasie wakacji, poznałem jednego z zawodników gdańskiego klubu „Transbud” — dzisiejsi „Budowlani”. Trenował cross i dał mi na krótko do ręki swój klubową „CZ”-tkę. Długo będę pamiętał to spotkanie z prawdziwym, wyczynowym motocyklem, jak również pierwszą wyprawę i awanturę ze strony trenera, pana Zdanowicza.

— Ale później była i propozycja współpracy?
— Tak, bo jednak czymś musiałem go zafascynować, może ambicją? Dość, że nie tylko pozwolił mi w czasie wakacji trenować ze swoimi zawodnikami na torze w Kamiennym Poloku, ale nawet sugerował przeprowadzkę do Gdańska, nie kryjąc, iż chętnie by mnie wziął w swój zespół.

— A jednak — i na szczęście — pozostał pan w Łodzi...
— Tak, szkoła i rodzina — to były przeszkody nie do pokonania wówczas, ale jestem nadal z nimi w stałym kontakcie, lubimy się, przyjaźnimy...

— Co spowodowało, że zdecydował się pan jeździć wyczynowo, kiedy w ogóle zdał pan sobie z tego nalogu sprawę?

— Trudno określić precyzyjnie taki moment, ale chyba po tych pierwszych spotkaniach z rajdowym motocyklem w Gdańsku. To jest rzeczywiście jak narkotyk. Jeden kocha pić, inny szaleje za wędkowaniem, ja wiedziałem, że muszę jeździć, szybko jeździć, porwał mnie ten nieuchwytny element ryzyka, zmagania z czasem, własnymi słabościami, ze strachem...

— Na tej W — jak wiosna, S — jak Skarszewy?

— No nie. Ukończenie kilkunastu imprez turystycznych i zdanie egzaminu umożliwiło mi zdobycie licencji M, która upoważniała do startu w eliminacjach mistrzostw kraju w każdej, motocyklowej branży. Po wakacjach, 1976 roku, spędziłem znowu w Gdańsku, na crossowym torze, wybiłam do domu kolejną, bezwrotną pożyczkę. Pojechałem do Gliwic i kupiłem wystrojoną, ale już wysięgową WSK-125 cm.

— W tym samym roku po raz pierwszy odczuł pan smak sukcesu w poważnej imprezie...

— Wystartowałem między innymi w eliminacjach do Mistrzostw Warszawy i te pierwsze wyścigi najdłużej się pamięta. Trasa wiodła wokół Stadionu X-lecia, jako nikomu nie znany zawodnik, zółtodziób, upatrzyłem sobie kilku średniej klasy ścigantów i postanowiłem ich się trzymać. Po kilku okrążeniach stwierdziłem, że przychodzi mi to bez większych trudności, co więcej, odniosłem wrażenie, że jadą dzwonić wolno, jakby asekuracyjnie... Przyspieszyłem, zacząłem pocić jakiegoś zawodnika, który wydawało mi się, jechał najbardziej płynnie i szybko. Starłem się go dośc, ale facet z charakterem „wymachał” koniec biegu. Zjechałem do parku maszyn lekkim okantantem, nie bardzo wiedząc, na którym miejscu się uplasowałem. A tu inni zawodnicy dzwonią mi się jakoś przypatrują, przysiadają koledzy, skaczą na szyję i krzyczą, że jestem drugi, że goniliłem samego Urbańskiego! Myślałem, że kpią ze mnie, poleciałem do sędziego. To była prawda, a punkty z tej drugiej eliminacji wystarczyły do zdobycia tytułu drugiego wice-mistrza Warszawy.

— A w eliminacjach do Mistrzostw Polski w klasie „sto dwadzieścia pięć”?

— Byłem ostatecznie siódmy, a udało mi się nawet wygrać jedną z eliminacji, w Bydgoszczy.

— Obyło się bez upadków?

— Bez. To znaczy na treningach zdarzały się wielokrotnie, wie pan, ja uważam, że aby dobrze poznać trasę, to czasem trzeba trochę skóry zderzać z kombinizonem, a bywało, że z pleców i dłoni również. Ale to się przydaje w czasie zawodów. W czasie wyścigu pierw-

szy upadek miałem bodaj dopiero w 1983 roku...

— Ale na razie przyszła zima, przeznaczona, o ile wiem, na przywracanie do życia starym motocyklom i niesmiśle marzenia o zmianie kategorii?

— Jeszcze na początku 1977 roku wystartowałem w klasie „125”, jeszcze raz byłem drugi, ale miałem coraz większe kłopoty z motocyklem, awarie sygnaliły się jedna za drugą. Miedzy nami mówiąc, w tej klasie jeździło się dla mnie trochę za wolno...

— To ile „wyciągała” ta pańska zajeżdżona maszyna?

— Gdzieś do 140 kilometrów na godzinę, ale to już było mało ciekawe, to było takie „morozenie się”, a mnie upajała prędkość.

cie na jakimś innym, z domieszkami, mocniejszym?

— Ależ nie! Normalna etylina, 94-oktanowa, zmieszana z olejem „Castrol”. Tu nie może być żadnych odstępstw.

— No i jak się ten rok w nowej klasie zakończył?

— Jeszcze dwa razy byłem drugi, raz wygrałem, raz chyba byłem czwarty, a ostatniej eliminacji nie ukończyłem. W sumie — pierwszy wice mistrz Polski...

— Te wszystkie wyścigi rozgrywane są na ulicach?

— Większość. Teoretycznie mamy w kraju jeszcze trzy torry wyścigowe, ale na dobrą sprawę dziś nadaje się do jazdy tylko ten w Poznaniu. Tor w Toruniu, ma już tak wybitnie stary lotniskowy, że tam naprawdę niemiłosiernie

prawdę! Wiosną Anno Domini 1979 splunął trzy razy przez lewe ramię i zacząłem wyrzucać, jak to koledzy określali — „po złości”. I przez siedem sezonów nie oddałem mistrzowskiego tytułu w tej klasie.

— Podziwu godna. I wciąż na tym samym „Promocie”?

— Teoretycznie, bo silników zmieniałem już kilka. To czasem trudno zrozumieć przeciętnemu użytkownikowi jednostad, ale w wysięgowym motocyklu muszę zmieniać tłok i cylinder co 3-4 eliminacje, po 4-5 — wał jest do wymiany, maksymalnie dwie eliminacje wytrzymuje sprzęgło. To ciągły proces przeróbek i regeneracji...

— To nie lepiej wsiąść na „Yamahe”?

groźny wypadek, sam tam zresztą leżałem, bowiem na wyrażenie przywrócić koło straciło przyczepność — właśnie na jakiejś wyprawie. A nasza chłuba — tor w Miedzianej Górze koło Kielc też nie bardzo nadaje się do jazdy.

— Przecież nie jest taki stary...

— Nie o to chodzi. Znaczny fragment trasy biegnie normalną, na co dzień uczęszczaną drogą publiczną. I na tym odcinku jest on zniszczony, po-faldowany kołami ciężarówek, a przede wszystkim — zalejęny. A to dla motocyklisty szalenie niebezpieczne. Został tor w Poznaniu i dlatego wyścigi znowu wracają na ulice.

— Co jest bardzo widowiskowe...

— Ale i wymaga nienagannej techniki jazdy. Nawiasem mówiąc, dwie z tegorocznych ośmiu eliminacji do Mistrzostw Polski rozegrane zostaną na trasie ulicznej w Piotrkowie, a dwie — w Łodzi.

— Ale wróćmy jeszcze na chwilę do historii pańskich startów. Od 1978 roku to już nieprzerwane pasmo zwycięstw...

— O nie, właśnie ten wspomniany, 78 rok był całkiem nieudany. Najpierw wypadek w Łodzi, przed „Złotym Kaskiem” — olej na jeździ, koziółkuje z motocyklem, tracę przytomność. Ciężko poobijany uparłem się startować następnego dnia, czego dziś bym już nie zrobił. Z zaciśniętymi z bólu zębami dojechałem jako czwarty. Potem na jakimś treningu na torze crossowym zerwałem torkękę stawową w lokciu. I w sumie — byłem po sezonie dopiero piąty.

— Dlaczego „dopiero”?

— Bo mnie tak odległo miejsce nie satysfakcjonują, na-

— Tego mi nie wolno. W eliminacjach krajowych muszę posiadać motocykla wyposażonego w silnik produkcji krajowej RWP, jednocylindrowy, chłodzony powietrzem. Japońska „Yamaha 250” posiada silnik dwucylindrowy, chłodzony wodą i mogę na niej startować wyłącznie w wyścigach międzynarodowych i w konkurencji krajowej socjalistycznej. W Pucharze Pokoju i Przyjaźni. Ale ona już tego nie wytrzyma...

— Przeszary model?

— Dostałem ją w 1979 roku, po słynnym Manikiewicz, jeszcze trochę jeździł na niej mój znajomy — Wiśniewski. Ona ma już za sobą tyle lat wyścigowej eksploatacji, że od „staruszek” nie ma co wymagać błyskotliwych zwycięstw.

— Ale startował pan na niej na zagranicznych torach.

— Wielokrotnie, ale głównie nie kończyłem biegów z powodów awarii. Przecież nie ma do niej części, Japończyk robią już nowsze modele, a ja po każdej eliminacji po wymienieniu wymieniałbym choćby tłoki. Raz, czy dwa razy byłem bodaj trzeci, ale trudno uważać starty na niej za udane...

— Był pan też zawieszony na pół roku. Jak doszło do tej nieprzyjemnej historii?

— Stare dzieje, ale jeśli pan chce... Zbudowałem się przeciw bezsensownym startom w myśl zasady przysięgającej wielu działaczom: byle dojechać. Cóż to za przyjemność jeździć na starym, słabym „kapciu”, a obok śmigają faceci na najnowszych Hondach czy Yamahach, z szybkościami od których z motocykla spaść można. Ja nie uznaję takiej jazdy na siłę. No i odmówiłem kiedyś startu, na i pauzowałem pół roku.

— Kto jest najsilniejszy w Pucharze?

— Zdecydowanie Węgrzy. Jak ja mogłem walczyć z ich najlepszym zawodnikiem, Drapalem, skoro on co roku dostawał najnowszy model Yamahy! Zmieniał je jak rękawiczki, a te „stare” przekazywał kolegom z kadry. Już z nim zresztą nie powalczę, niestety. Zginął w ubiegłym sezonie, na torze, gdzie wiraże zabezpieczono oponami wypełnionymi betonem. I prawdę powiedziawszy, gdy Drapala zabrakło, Węgrzy nie będą już tak mocni.

— A pana najgroźniejsi konkurenci?

— Świetny technicznie, odważny Tadek Galański z ekipy Związku Radzieckiego. Jeździ na „Wichurze” z silnikiem „Rotaxa”, a w klasie państw socjalistycznych, bo trzeba dodać, że została taka, w ramach rozgrywek pucharowych, w 1984 roku stworzona i tu mamy choć jakieś szanse z naszymi „Promotami” — szaleje na podobnej maszynie wyposażonej w silnik „CZ”. Jest jeszcze jego kompan z ekipy — Rando. No i bezwzględnie powiem — innych nie widzę.

— Tak, a Kubańczyk Moreno?

— Rzeczywiście, jest dobry, ale w ubiegłym roku ciężko się polamał na torze w NRD, zabilił zresztą sędziego, nie wiadomo czy wystartuje w tym sezonie.

— Wiem, że w klasie państw socjalistycznych był pan w ubiegłym sezonie piąty...

— Ale układ był taki, że gdybym nie grzmotnął na eliminacji we Froburgu, miałem szansę nawet na zdobycie Pucharu.

— Niech pan opowie, jakie to jest uczucie, gdy wali się pan na beton przy szybkości rzędu 100 kilometrów na godzinę. Dla laika wyjście z takiej opresji zakrawa na cud niemożliwy.

— Każdy upadek jest indywidualny i — jeśli tylko to możliwe — trzeba „umieć upaść”. Podstawowa zasada — to odsunąć się jak najdalej od motocykla, choć nie zawsze to możliwe, bo często koziółkuje się wraz z nim. A wrażenia? Mnie się zawsze wydaje, że strasznie długo to trwa; lecę po tym asfalcie, na plecach czy na ostatniej krzywej, robi się coraz bardziej gorąco, bo zdarza się skóra kombinizonu, rękawice, a miałem już wypadki, że i bielizna prześwitowała i z rękawiczek tylko wierzchołki zostawały...

— A jak to było w tym Froburgu?

— Pechowo. Startowałem z pierwszej linii, po pierwszym okrążeniu byłem chyba trzeci, po drugim — „tylko” czwarty. Węgra. Wszystko było na dobrej drodze, a wiedziałem, że wystartuję mi trzecie miejsce w tej eliminacji i Puchar mam w kieszeni. I nagle, na prostej, gdy idę ostro, pękają w moim „Promocie” sprężyny trzymające rurę wydechową. Probuję podciągnąć rurę ręką, bo drze po betonie, zaczynają się palne rękawiczki. Dwa słowa wyjaśnienia: tłumik w motocyklu wysięgowym jest tak skonstruowany, że część spalin wykorzystuje się na podniesienie stopnia sprężania. Po urwaniu rury mój „Promot” kręci już tylko połowę obrotów, czyli około 5-5,5 tysiąca... Za wszelką cenę chcę dojechać do „depo”, gdzie czeka mechanik. Ale spadam obrotów, zaczyna się przegrzewać silnik. Ostro zakręci w lewo, redukcja, od połowy dać „gaz” — i w tym momencie blokuje silnik, pisk tylnego koła i siła odśrodkowa wyrzuca nas na zewnątrz. Lecę obok motocykla, na brzuchu, rekoma ostaniam głowę i nie mogę sobie przypomnieć, czy jeździł ktoś koło czy nie. Zabił czy nie? I straszna ulga...

— Nie było krawężnika ani opon z betonem...

— Nie, wałę w stół, koziółkuje jak w pierzynie. Ale to nie koniec emocji. Odwracam się, usiłuję wstać i widzę, że sunie na mnie, wraz z motocyklem, Niemiec, który jadąc z tyłu, nieopatrznie wcisnął hamulce na tym nieszczęśliwym wirażu. Niedobrze, razem leca. Zdażyłem wyciągnąć rękę, pechowicie zatrzymał się dośrodkowo 20 centymetrów od mnie, a z tyłu zwała się na niego koziółkująca maszyna. Mnie nie, lekko potłuczony, zdarła skóra z palca, on — połamany, obojętny, żebra, ustrząsł mózgu...

— Wyścigi motocyklowe to zabawa droga szalenie nie tylko ze względu na możliwości takich jak opisany upadek...

— Niestety, najtańszy motocykl wysięgowy w mojej klasie, właśnie Yamaha, kosztuje ponad 22 tysiące marek RPN, a najdroższa, choć dostępna w sklepie, Honda 500 — ponad 80 tysięcy marek. A nie są to jeszcze maszyny jakoś specjalnie przez fabryki przystosowane. No i trzeba pamiętać, że co najmniej połowę takiej kwoty trzeba jeszcze przeznaczyć na podstawowe części i podzespoły. Czy pan wie, że porządna opona typu „slick”, czyli twarda, bez bieżnika, niezbędna na suche, szybkie nawierzchnie kosztuje ponad 200 dolarów? A teoretycznie, po jednym wyścigu, stanowiącym się zawodnikowi powinnością gminy zmienić na nową... Zdarsza się, że choćby Austriacy, po zawołaniu sprzedawcy nam takie, już jeżdżone opony, za grosze, no bo on już na nie nie wsiądz...

— A oficjalnie, PZMot, nie może zakupić większej partii niezbędnych opon?

— Pan zupełnie jak dziecko; owszem, kupuje, ale minimalną ilość, bo to spore wydatki dewizowe, a branża motocyklowa wiele i wszyscy chcą mieć dobre opony. Jak nie kupujemy kompletów gum, na różne warunki atmosferyczne i w dużych ilościach, to dla firm typu Dunlop czy Michelin nie jesteśmy partnerami...

— Wnoszę, że raczej czarno widzi pan przyszłość krajowych wyścigów motocyklowych?

— No, niebyle różowa, po-wiedziemy. Są jednak pewne nadzieje. W ubiegłym roku PZMot zakupił dla mnie i dla Władka Kwasa dwa wyczynowe silniki „Rotax”. Czekamy na zamontowanie ich w radzieckie podwozia w zakładach doświadczalnych — „Wienur” w Tallinie i może wtedy, a nam nadzieję, że nastąpi to już w najbliższym sezonie, będę mógł powalczyć w Pucharze. To będzie pewna odmiana, wie pan — dwucylindrowy, chłodzony wodą, z obrotową przepustnicą, około 65 koni mocy, to już się będzie jechało 220-240 na godzinę...

— Jak długo jeszcze?

— Jak długo będę jeździł? Dopóki będę dobry. Gdy nie będzie wyników — wycofam się. Ale myślę, że jeszcze parę lat będą — bez fałszywej skromności. Choć powiem szczerze, że rywalizacja krajowa już mnie nie interesuje, tu może mnie wyeliminować chyba wyłącznie awaria. Naprawdę „X” Pucharze — to co innego, tam jeszcze są emocje, jest frajda.

— I naprawdę nie lekka się pan — tak z ręką na sercu — jazdy z szybkością 200 kilometrów na godzinę?

— Wie pan, są sytuacje, że czuję kłopoty włosy pod nacięciem dęba stoją, ale bez tej dawki ryzyka, niebezpieczeństwa nie istniałoby wiele dyscyplin sportu. A tak na marginesie: jazda na uprzednie nie budzi większych emocji, bardzo trudno natomiast złożyć się przy tych szybkościach w zakręt. Po prostu manewer pochylania maszyny trzeba wykonywać z dużym wyprzedzeniem, a to bardzo dziwne, czasem trudne do przewidzenia uczucie...

— Ze też żona pozwala panu na uprawianie tak niebezpiecznej dyscypliny?

— Oj, nasłucham się często, delikatnie mówiąc — wyrozumieć. Ale wie, że nie ma siły, która od motocykla mnie odciągnie. Podobnie jak zyna Igora, który mimo niełatwych trzech lat, bez przerwy przy swoim motocyklu, na razie plastikowym, coś naprawia.

— Najciekawsze trasy?

— Poznań i Indrzychów Hradec w Czechosłowacji.

— A choćby słynny Sachsenring?

— Nie dla nas. Długie, smętne długie proste, na których nasze „Promoty” nie wytrzymują. Jedzie pan i czeka kiedyś eksplozja. Ja wolę krótkie, kręte trasy, szybkie, ale wymagające nienagannej techniki.

— Najcenniejsza nagroda?

— Bodaj w 1984 roku, w wyścigu handicapowym w Kielcach wygrałem maszynkę do golienia i praktycznie „Franka”. Zwykle jest dyplom i puchar.

— Tych ostatnich sporo się nabywało?

— No, będzie ponad 40 sztuk, coraz większe problemy z rozlokowaniem ich w mieszkaniu.

— Życze tylko takich problemów nadal i jak najmniej sytuacji, gdy „wios się sezy pod hełmem”.

— Dziękuję i do zobaczenia w Łodzi, chyba w czerwcu, na relikwijnach trasy.

— Przyjść...

— Dziękuję i do zobaczenia w Łodzi, chyba w czerwcu, na relikwijnach trasy.

— Przyjść...

— Dziękuję i do zobaczenia w Łodzi, chyba w czerwcu, na relikwijnach trasy.

— Przyjść...

— Dziękuję i do zobaczenia w Łodzi, chyba w czerwcu, na relikwijnach trasy.

— Przyjść...

— Dziękuję i do zobaczenia w Łodzi, chyba w czerwcu, na relikwijnach trasy.

— Przyjść...

Demonowi szybkości zaprzędany...

— Kamikadze...

— Dlaczego? Po prostu chciałem jeździć nieco szybciej, i w tymże roku, już wtedy byłem zawodnikiem MKM-Dąbrowa, zjawiliem się na eliminacji w Gliwicach z „dwieściecztery-siątką”.

— Cóż to było za cudo?

— „Promot” wyposażony w adaptowany z crossowej „CZ” silnik o mocy około 40 koni, i jechało to-to w granicach 180-200 kilometrów na godzinę.

— Jeden, wielki strach...

— Nie, czemu? Chciałem na początku jechać dość ostrożnie. W połowie dystansu zacząłem przepychać się do przodu, czując, że jeszcze mam trochę „gazu”. No i raptem zorientowałem się, że jadę... pierwszy. Naprawdę też mi się w oku zakręciła, tego się nie da opisać, jakie to jest uczucie, satysfakcja...

— Wygrał pan ten wyścig?

— Na tej W — jak wiosna, S — jak Skarszewy?

— No nie. Ukończenie kilkunastu imprez turystycznych i zdanie egzaminu umożliwiło mi zdobycie licencji M, która upoważniała do startu w eliminacjach mistrzostw kraju w każdej, motocyklowej branży. Po wakacjach, 1976 roku, spędziłem znowu w Gdańsku, na crossowym torze, wybiłam do domu kolejną, bezwrotną pożyczkę. Pojechałem do Gliwic i kupiłem wystrojoną, ale już wysięgową WSK-125 cm.

— W tym samym roku po raz pierwszy odczuł pan smak sukcesu w poważnej imprezie...

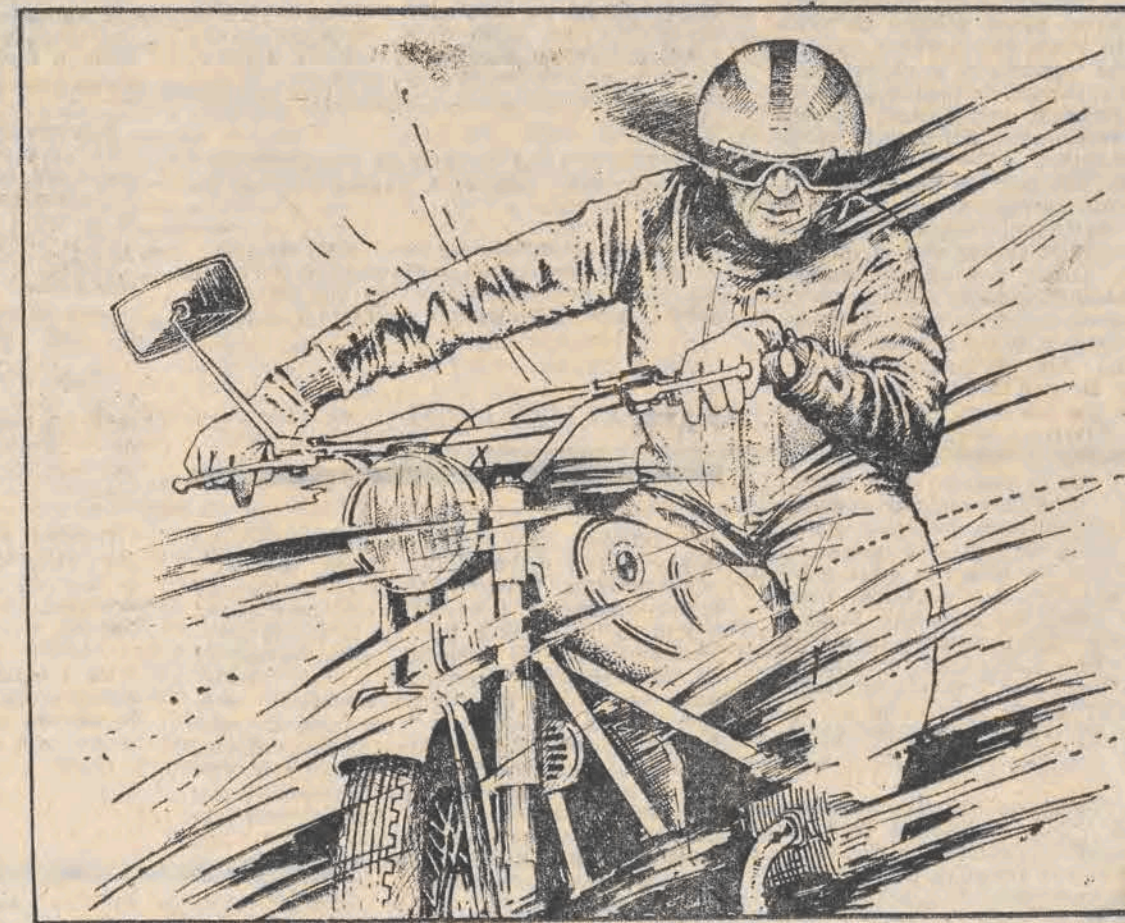
— Wystartowałem między innymi w eliminacjach do Mistrzostw Warszawy i te pierwsze wyścigi najdłużej się pamięta. Trasa wiodła wokół Stadionu X-lecia, jako nikomu nie znany zawodnik, zółtodziób, upatrzyłem sobie kilku średniej klasy ścigantów i postanowiłem ich się trzymać. Po kilku okrążeniach stwierdziłem, że przychodzi mi to bez większych trudności, co więcej, odniosłem wrażenie, że jadą dzwonić wolno, jakby asekuracyjnie... Przyspieszyłem, zacząłem pocić jakiegoś zawodnika, który wydawało mi się, jechał najbardziej płynnie i szybko. Starłem się go dośc, ale facet z charakterem „wymachał” koniec biegu. Zjechałem do parku maszyn lekkim okantantem, nie bardzo wiedząc, na którym miejscu się uplasowałem. A tu inni zawodnicy dzwonią mi się jakoś przypatrują, przysiadają koledzy, skaczą na szyję i krzyczą, że jestem drugi, że goniliłem samego Urbańskiego! Myślałem, że kpią ze mnie, poleciałem do sędziego. To była prawda, a punkty z tej drugiej eliminacji wystarczyły do zdobycia tytułu drugiego wice-mistrza Warszawy.

— A w eliminacjach do Mistrzostw Polski w klasie „sto dwadzieścia pięć”?

— Byłem ostatecznie siódmy, a udało mi się nawet wygrać jedną z eliminacji, w Bydgoszczy.

— Obyło się bez upadków?

— Bez. To znaczy na treningach zdarzały się wielokrotnie, wie pan, ja uważam, że aby dobrze poznać trasę, to czasem trzeba trochę skóry zderzać z kombinizonem, a bywało, że z pleców i dłoni również. Ale to się przydaje w czasie zawodów. W czasie wyścigu pierw-



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Przedstawienie aż lśniło jubileuszem (premiera odbyła się dzień wcześniej). Czuło się, że reżyser Andrzej Zarnecki i kierujący muzyczną stroną spektaklu Rajmund Ambroziak, na próbach wyskakiwali z aktorów siódme poty. Nie tylko bowiem role główne, ale drugo-i dalszoplanowe potraktowane zostały poważnie, co łatwo dało się zauważyć. Nikt nie grał na pół oddechu, nikt roli „nie puścił”. Przedstawienie toczy się wartko, ma dobre tempo od początku do końca.

Małgorzata Wilk w partii tytułowej świetnie prezentowała się aktorsko i wokalnie, brylując na scenie, wśród partnerów, którzy dostroili się do poziomu uroczej „wdówki”. (Artystka ta również świetnie prezentowała się najazutrz na widowni). Z uznaniem trzeba wymienić Teresę Mulawę-Pabisia, Andrzeja Orzechowicza i Ireneusza Jakubowskiego. To dobre głosy i dobre role.

A balet? No cóż, o jubilatce albo dobrze, albo wcale. Piękne kostiumy Liliany Jankowskiej okraszały przedstawienie i autentycznie radowały oko nawykłe do ulicznej szarzyzny. To też mocna strona łódzkiego przedstawienia. Aż dziw, że publiczność nie nagrodziła oklaskami początku II aktu, gdy cały zespół pojawił się na scenie właśnie w tych pięknych szatach. Był to gustowny przepych. Widownia rozgrzewała się powoli, gdyż z biegiem przedstawień zaczęła bić brawa, co tu kryć, dużo gorszym propozycjom kostiumowym i nie tylko kostiumowym. Sprawdziła się jednak, zmuszając męską część zespołu do bisowania brawurowo wykonanego „Marsza kobiet”.

Gdyby łódzki teatr występował jako ostatni, pewny jestem, oklaskom nie byłoby końca. Ale jako gospodarz, ciężar „inicjacji” wziął na siebie. A mimo to pobili (w mojej opinii) inne teatry na głowę, przerastając niektóre z nich o klasę (poza Teatrem Muzycznym z Gdyni — dlaczego, o tym później). I proszę nie traktować tej oceny jako zdawkowo-jubileuszowych komplementów. Nie zachodzi tutaj również dewiacja pod nazwą „patriotyzm lokalny” i wynikająca z niego nieelegancja w postrzeczaniu go. Tak to widział i słyszał Wasz sprawozdawca własnymi oczami i uszami.

WIECZÓR DRUGI

wypełnił Teatr Muzyczny z Poznania przedstawieniem „Madame Sans-Gene” A. Marianowicza i J. Minkiewicza wg. Sardou, z muzyką Stefana Kisielewskiego, w reżyserii Bogusławy Czosnowskiej. Trochę starsi widzowie pamiętają (bo nie można takich wydarzeń nie pamiętać) tę komedię wystawioną przez teatr telewizji, z niezapomnianą rolą Kazimierza Rudzkiego jako Fouché, gdzie Napoleonem był Wiesław Michnikowski, a w tytułowej roli wystąpiła Barbara Rylska. Jest to świetna, lekka, dowcipna rzecz, pod warunkiem, że się ją tak samo wystawia. Ale cóż, najlepsza nawet dramażmo „położyć” niestannie dobierając wykonawców. Tak też się stało. Właściwie, poza rubaszną, plebejską Teresą Bogdanowicz w roli Katarzyny Sans-Gene (i też nierówną), nie ma na kim pióra zaczepić. Nikt nie wybił się ponad przeciętność. A (przepraszam), sepieniący aktorzy, to nawet w operetce nie uchodzi. I do tego wszystkiego kiepski balet. Najmniejsza była parodia opery, czyli wampuka. Tu aktorzy błądzili do woli, w dobrym znaczeniu tego słowa. Może w tej konwencji należało wystawić całość? Pośmiać się trochę z operetki, z siebie? I pomyśleć, że kiedyś, dawno, w roli „słynnej praczki” występowała Mira Zimińska, a Napoleona kreował Stefan Jaracz... Najbardziej podobala mi się okładka programu, projektu Jakuba Erola.

Na trzech ogień poszedł lubelski Teatr Muzyczny z operetką „Targ na dziewczęta”. Muzyka Jana Tomaszewskiego, na motywach Victora Jacobiego, reżyseria nieżyjącej już Beaty Artemskiej. Typowa to operetka: lekka i dość prosta intryga. Łatwo wpadające w ucho melodie, wszystko, jak zawsze, dobrze się kończy, tylko... wykonanie. Znow, niestety, słabe. Niektóre role

NA GRANICY KICZU

mała sprawność aktorska (co, w przeciwieństwie do opery, gdzie głos przede wszystkim w operetce ma znaczenie równie ważne), nie najlepsze głosy. I jakby znudzenie grą, nawet dowcip nie jest dowcipny. Jedną tylko aktorką, Krystyną Szydłowską-Górką w roli sprytniej pokojówki Bessy, zachowała świeżość i wdzięk, bawiąc się swoją sytuacją sceniczną. A przy tym i głos dobry. To chyba jednak za mało, jak na duży zespół teatralny. A balet? — znow bardzo słaby poziom baletu. Czyżby nie było młodych zdolnych ludzi chcących tańczyć w operetkach? Publiczność jednak nie szczędziła braw — wyraźnie coraz bardziej rozgrzana atmosfera. Tyle że podobalo jej się nawet to, co nikomu podobać się nie powinno. W każdym razie, o brak gościnności pomówić widowni nie sposób.

W antrakcie rewia mody. Są panie, chyba większość, które na każde przedstawienie przychodzą w innej kreacji, a to już trzeci wieczór! Tak będzie do końca. Szczególnie dwie niewiasty: jedna ognista „Hiszpanka”, a druga wprost przeciwnie, zachwyli bogactwem swoich szaf. Panowie natomiast, prezentowali skromnie, przywiązanie do niezmienności swych kostiumów. W buforie ruch i nadymione, że aż niebiesko. Część publiczności parzy się kawą, pijąc ją pośpiesznie, bo miły głos zapowiada rychły koniec przerwy. Bufet proponował bogatą różnorodność słodyczy, nie mniejszą, niż różnorodność stylów i mód u kupujących pań.

Po każdym przedstawieniu dyr. Rajmund Ambroziak wręczał przy otwartej kurtynie, na fcie zespołu, dyrektorowi zaproszonego teatru dyplom uczestnictwa w Spotkaniach i medal pamiątkowy. Ceremonia ta wywoływała każdorazowo aplauz coraz bardziej gorącej publiczności.

Kolejnego wieczoru (czwartego) zaprezentowała się Operetka Wrocławska rewia w dwóch częściach Stanisława Renza pt. „Dziękuję ci Ewo”. To taka współczesna „Tosca” — męczyzna przebrany za kobietę i różne z tym związane perypetie, temat stary jak pieć. Rewia, czyli większe pole do popisu dla baletu. A muzyka amerykańizująca, jakieś echa z Gershwinem, z „Amerykaninem w Paryżu”, nutki jakby z „West Side Story” Bernstein. Te wielkie porównania nie mają nic wspólnego z małostką omawianej rewii. Na sympozjum, które odbyło się pod koniec Spotkań (szerzej — dalej) z udziałem fachowców, padło zdanie: — „Dziękuję ci Ewo — przerażający spektakl i muzycznie, i teatralnie”. Co do tego dodać? Aż przykro, że w takim tonie trzeba pisać to sprawozdanie. Ale ostrzejsze i bardziej dramatyczne oceny dopiero padną. Jedyna jaśniejsza plama w tej „plamie” to rola Daniela Kustosika — owego przebranego Ewy, który wg oceny Marii Foltyn był bardzo dobry aktorsko i śpiewaczko. To wszystko. A balet, który mógłby mieć popisowe „numery”, wypełnił dno operetkowego piekła. Amatorszczyzna — to komplement.

Następnego dnia, w czasie przerwy, usłyszałem opinię akurat odwrotną. Pewna pani relacjonowała dwójku znajomym wrażenia z tej rewii. Oni spektaklu nie widzieli, gdyż mają taką pracę, że nawet na Bérjarcie w czasie Spotkań Baletowych nie mogli być. Owa pani, zaciągając się dystyngowaniem papierosem, w kłóbach wypuszczonego dymu, na to: „Och, muszę państwu powiedzieć, balet Bérjarta był słaby, wczoraj natomiast, muszę państwu powiedzieć, to było prawdziwe wydarzenie. To, muszę państwu powiedzieć, najlepszy teatr w Polsce”. To już nie jest kwestia gustu. To już nie jest niereagowanie, to jest zachwycać się szmirem, złym smakiem, złym teatrem wreszcie. To jest pochwała kiczu, a w konsekwencji wzorowanie się na nim. Czy ta pani jest jedyna? Nie. Świadczy o tym huczący od braw teatr. Ten teatr, A przecież rewia ta kroczy po scenach blisko 20 lat. Iu ludziom kształtuje gust, iu utwierdza w ich kiczowatych sympatiach? To jest problem wcale niemały.

No, ale ogólniejsze wrażenia oddamy na koniec, bo oto zjawia się „Dama z portretu” Robert Stolza w wykonaniu zespołu Ope-

retki Śląskiej w Gliwicach, w reżyserii i inscenizacji Janusza Rzeszewskiego. I co dobrego dałoby się powiedzieć o tym przedstawieniu? Że ładnie i czysto wykonana muzyka (to już staje się wartością godną pochwały w teatrze muzycznym?), poza jedną wpadką skrzypiec w solówce, że ładnie i czysto brzmiały chór. Tyle, że chór zaglusał solistów, bo zbyt słabe mają głosy.

BALET BLOND-CYGANÓW

niestety, znow słaby. Trudno kogokolwiek wyróżnić. A przecież Operetka gliwicka to teatr o bogatej i chwalebnej przeszłości, świetnej tradycji i głośnych (niegdys) przedstawieniach. Czyżby kryzys, może zmierzch, czy wreszcie upadek sztuki operetkowej? Jeszcze trochę cierpliwości — dojdziemy i do tego.

Usta milczą, dusza ziewa

Tymczasem nastąpił wieczór szósty — i, jak się okazało, wieczór prawdziwego wydarzenia, również z powodów pozateatralnych. Teatr Muzyczny z Gdyni, kierowany przez Jerzego Gruzę, zaatakował publiczność „Kompotem” Jonasza Kofty i Bene Rychtera, w reżyserii Andrzeja Pieczyńskiego, który grał też jedną z ról (znany tego aktora ze świetnej roli taksówkarza w filmie „Wielki Szu”). Jest to musical, czy też rock-opera, czy też poemat rockowy o narkomanach. Na scenę przywołane są cienie młodych narkomanów, zmarłych tragicznie w różnych okolicznościach, zawsze jednak w związku z nalogiem. Przechywiają jeszcze raz swój dramat, trudną do opisaną tragedię.

SPEKTAKL BYŁ WSTRZĄSAJĄCY

I dla większości widzów okazał się szokiem. Z różnych powodów. Muzyka w wykonaniu Sekcji „Z”, to muzyka rockowa, głośna, gwałtowna, agresywna i dramatyczna, jak tematyczna spektaklu. Inna być nie może. Jest muzyką pokolenia, a więc i tych biednych, tragicznie chorych ludzi. Jako integralna część spektaklu musi działać wstrząsowo, właśnie atakować, przy pomocy uszu otwierać oczy na problem narkomanii w Polsce tym, który nie albo mało o tym wie. Bądź wiedzieć nie chce. Bądź nie wiedzieć im wygodnie. Taka jest rola spektaklu i rolę swoją moim zdaniem spełnia. Gdy dodać do tego właściwe (bo trudno powiedzieć „dobre” ze względów emocjonalnych) i zaangażowane wykonanie przez młodych zdolnych aktorów (aż do utraty głosu u jednego z nich — podobno), to wypełniają się zamierzenia autorów i realizatorów. Do formuły spektaklu należy każdorazowo dyskusja z widzami i na Spotkaniach łódzkich dyr. Jerzy Gruza postanowił nie rezygnować z tej tradycji. Zaprosił więc (wraz z Andrzejem Pieczyńskim i resztą zespołu) widzów do rozmowy. Wtedy wstał starszy pan z pierwszego rzędu i wyraził zaskoczenie i oburzenie z powodu wrzasków (tak! to nazwał) i straszliwego hałasu. On przyszedł na operetkę i gdyby wiedział, że to coś takiego, darowałby sobie ten wieczór. Część widowni poparła go oklaskami, ale rozległy się i gwizdy. Jerzy Gruza przyznał, że ten spektakl nie przystaje do treści Spotkań Operetkowych i niak nie może być z operetką porównywalny. Mógł wprowadzić w błąd niezorientowanych. Być może jednak, sporo osób właśnie dlatego po raz pierwszy mogło zetknąć się z tym szokującym pokazanym zagrożeniem. Warto więc może zburzyć starszemu panu (i nie tylko jemu) operetkowy spokój duszy i ukazać mu brudną stronę naszego współczesnego życia, tak dalekiego od problemów „lekkiej muzy”. Starszy pan nie dał się przekonać, to już jego nie dotyczy. Pani (również z pierwszego rzędu) pytała, dla kogo właściwie jest ten spektakl: bo muzyka młodzieżowa, a w sumie adresatem są rodzice, inne pokolenie, nie rozumiejące tych „dzikich wrzasków”. Na to Jerzy Gruza słusznie i dość nerwowo zripostował, że przecież nie można mówić o pokazanej tragedii przy melodii „Brunetki, blondynki”, co zostało przyjęte z aplauzem przez salę. Zdumiewające, jak często trzeba objaśniać, motywować i usprawiedliwiać podjęcie działań prostych i oczywistych (i to osobom z „pierwszych rzędów”).

Jerzy Gruza ujawnił również rozterkę ducha: grać to przedstawienie, czy nie, z obawy, czy jakiś małolat nie zechce wzorować się na bohaterach „Kompotu”. Sala uznała, że powinien grać, a inna pani pod wpływem przeżytego szoku, publicznie obiecała zlikwidować swoje prywatne poletko makowe, nie mając wcześniej pojęcia o skali zjawiska. Sala oświadczenie to, jak i cały spektakl przyjęła z entuzjazmem, dając przy tym dowód otwarcia na inne, niż tylko klasyczna operetka, propozycje w teatrze muzycznym.

Celowo tyle miejsca poświęciłem „Kompotowi”, gdyż pomaga on ujawnić istotny problem. Mianowicie, i nie jest to tylko moje zdanie, operetka tradycyjna, z całym swoim staroświeckim sztafżerem, mocno spróchniała i zwiędziała. Taka operetka nie służy do teatru młodzieży. A, jak powiedziała Maria Foltyn: „sukces jest wtedy, gdy jest natłok młodego widza”. Należałoby więc szukać nowych formuł, innych koncepcji, nowoczesnych inscenizacji, nowoczesnej muzyki. Im wcześniej dyrektorzy zdadzą sobie z tego sprawę, tym lepiej dla ich teatrów. Ta widownia wykryczy się przecież, kto przyjdzie po nich? Już teraz trzeba szukać przyszłego widza. Tymczasem, gdy wracając autobusem po spektaklu, kilku młodych chłopaków, gdy zorientowali się, że tłok spowodowali widowie z operetki, zaczęli drwić niemiłosiernie, śmiejąc się do siebie: pełne masz oczy, Cyganie, i siedemnasty wiek, siedemnasty wiek, zarykując się przy tym z uciechy. Taka operetka nie dla tej młodzieży. To dla nich skostniały przeżytek, wykopaliśko. Tym jest dla młodych, czym dla starych muzyka rockowa.

Wróćmy jednak na widownię. Nadszedł wieczór siódmy — ostatni. Spotkania zamykała Operetka Warszawska pod dyktando Ryszarda Pietruskiego przedstawieniem „Balu w Savoyu” Paula Abraham. Przekład libretta: Leopold Beck (zmarły niedawno znany dziennikarz łódzki i znawca operetki) i Michał Śląski.

OPERETKĘ TĘ WYSTAWIONO, MOŻNA POWIEDZIEĆ, Z PRZEPYCHEM

Stroje, dekoracje, wielki zespół i... tylko jedna rola godna uwagi. Grażyna Brodzińska w roli Daisy: świetna aktorsko i wokalnie, duża swoboda i fantazja sceniczna i do tego wybornie tańczyła. Wraz z Jerzym Jeszką, również solistą śpiewakiem, tańczyli stopa lepiej, niż wszyscy soliści tancerze z pozostałych teatrów razem tańczący. Pozostali dysponowali słabymi głosami, lub nie dysponowali wcale, a główny solista śpiewał dokładnie tak, jak parodiuje artystów operetkowych Bogdan Łazuka. Oglądanie przez kilka wieczorów nieporadności tancerzy i wysłuchiwanie słabych głosów mizdrzących się do siebie i widowni solistów przestało wreszcie nudzić i stało się denerwujące. Ale wiedziana publiczność długotrwale owacyjowała na cześć.

Rajmund Ambroziak po raz szósty (sobie nie dał wręczyć pamiątki, pani kierownik literacki Halina Dolata (jedna z najpiękniejszych kobiet tych Spotkań — ukłony i podziękowania za pomoc) wręczyła kwiaty. Dyrektor podziękował publiczności za wierność, władzom miasta za pomoc i patronat, teatrom i artystom za udział, przyrzekł spotkanie za dwa lata (Spotkania odbywać się mają w cyklu dwuletnim) i uroczystie uznał imprezę za zakończoną. Pełna wrażeń publiczność rozjechała się do swych domów.

Dzień wcześniej, przed południem, odbyło się sympozjum pt. „Społeczna rola współczesnego teatru muzycznego w świetle problemów repertuarowych”, z udziałem czynników oficjalnych, dyrektorów teatrów (nie wszystkich), ludzi związanych z operetką, twórców i dziennikarzy. Wydarzenie to, jak i całe Spotkania filmowała telewizja z niestrudżonym mistrzem kamery, Wojciechem Królem, codziennym przekazem z imprezy zasilając Łódzkie Wiadomości Dnia.

Wprowadzenie do dyskusji wygłosił Henryk Czyż, cytując na początek Boy'a (jako motto?):

„TA STARA, SKRETYNIAŁA OPERETKA”

Wszyscy — powiedział — z troskami są o los teatru muzycznego. Ale jak ktoś coś napisze dla tego teatru, huzia na kompozytora. Tu padło kilka przykładów z własnego życiorysu artystycznego. Odczuwa się — mówił — brak polskiego repertuaru i dotyczy to nie tylko operetki, ale także opery i baletu.

Następnie zostaliśmy poinformowani, że od 1908 roku daje się zauważyć kryzys światowej kultury i sztuki. Ponieważ Sztuka przez duże „S” upada, odbija się to i na operetce, która bogato czerpie z jej zasobów. Tendencje współczesnej sztuki to horror, przemoc, bandytyzm, krew. A operetka tego nie lubi. Operetka to tęsknota za salonowymi formami, czystą miłością, która zawsze zwycięży, liryzmem, pięknocią, itp. Tymczasem następuje bunt za buntem kolejnych młodych, którzy odrzucają wszystko, co było dotychczas. „Precz z pięknem”, „precz ze wszystkim”, „dezynfekcja uczuć” — to ich hasła. Gdzie tu miejsce dla starej, śmiesznej operetki?

Po krótkiej wymianie zdań, głos zabrał przedstawiciel władz naszego miasta, dyr. Stanisław Dyzbardis. Mówił o nieprawdopodobnym powodzeniu, jakim cieszy się łódzki Teatr Muzyczny na tle innych łódzkich teatrów, gdyż — jak mniema — odbiór operetki jest to najłatwiejszy odbiór intelektualny. Praktycznie w ogóle nie wymaga myślenia. W świetle tych faktów „skazani jesteśmy na tego rodzaju preferencję”. Jest wielka sztuka i jest operetka — kontynuował — a co pomiedzy? Nie robimy wszystkiego, by wypełnić tę lukę. Jeżeli nie można dać nic w zamian za ten tani rodzaj sztuki — dajmy ją w najlepszym wydaniu. A tymczasem były spektakle żenujące. Przecież one żyją i działają w społeczeństwie, tworząc zły gust. Nie ma żadnej alternatywy, nie ma polskiego repertuaru. Na 7 prezentowanych sztuk, 3 były polskie, w tym „Kompot”, nie będący przecież operetką. Co będzie za dwa lata, na następnych Spotkaniach? — pytanie zabrzmiało retorycznie.

Maria Foltyn stwierdziła z nieukrywaniem przygnębieniem, że „teatr muzyczny dzisiaj jest na poziomie więcej niż słabym”, przy czym stwierdzenie to opiera na podstawie szerszego przeglądu sytuacji, niż łódzkie Spotkania.

Przytoczył? Oto one. Kadra operetkowa nie ma podstawy, nie ma bowiem szkolenia. Trzeba o to zadbać. Zniknęły śpiewaczki operetkowe, primadonny, tylko że nie ma nikogo na ich miejsce. Dyrektorzy nie wiedzą, co to jest emisja głosu. Tak śpiewającego, jak i mówiącego. „Ja cierpiałam, byłam ciężko chora, słysząc, jak oni mówią tekst”. Dlaczego Teresa Budzisz-Krzyżanowska lepiej śpiewa songi Brechta od śpiewaczek operetkowych? Bo się uczy śpiewać. Aby być solistką w operetce, więcej trzeba umieć niż w operze. Trzeba grać, śpiewać, mówić. Przecież to, co się robi. „Dopóki nie będzie przejęcia na spektaklu, to będzie teatr prostytucji”. Publiczność trzeba karmić dobrym smakiem. Trzeba układać repertuar wreszcie, trzeba uczyć wreszcie. W tej chwili czuje się brak nobilitacji teatru muzycznego, opery również. „Przeżyłam zgon trzech teatrów operowych, teraz, z powodu braku solistów, chórzystów, muzyków” — ta dramatyczna w istocie informacja, kończy Maria Foltyn swoją wypowiedź.

Następny mówca stwierdził, że klasyczna operetka pokazuje problemy ważne dla tamtych, jej współczesnych ludzi. Dział nas to nie interesuje. „Nora” Ibsena też jest dziś już zwiędziała. Nas interesuje „Kompot” — to są nasze problemy. Tego typu spektakle powinno się dziś pokazywać.

H. Czyż ripostuje: ponieważ młodzież nasza nie uczy się w szkole solfeżu (w przeciwieństwie do francuskiej, która się uczy), poza tym otepiała ją dezybel muzyki młodzieżowej, stąd bierze się śmiech z bel canta, stąd śmiech na „Normie”.

Panowie dyrektorzy obecni na sympozjum mieli podzielone opinie na temat polskiego repertuaru. Trudno namówić kompozytora, by pisał operetki. A są pieniądze i jest mecenas: Ministerstwo Kultury i Sztuki. Dyr. Langer z Wrocławia podał przykład, że na konkurs na spektakl muzyczny przysłało jedną pracę kompletną i jeden konspekt z uwagą: „...na piątą część nie mam pomysłu”. Kompozytorzy obiegują, potem wykręcają się, niedostarczają terminów, itp. Dyr. Ambroziak opowiedział wtedy, jak to zamknął w teatrze kompozytora, grożąc niewypuszczeniem dotąd, dopóki nie dopisze brakujących melodii do będącej już w próbach operetki. I co? Napisał.

Padły również prowokacyjne pytania pod adresem dyrektorów: dlaczego tolerujecie taki brak smaku w kostiumach, makijażu, fryzurach? Czy wyszedłby któryś z panów na ulicę z tak wyglądającą żoną bądź przyjaciółką?

DLACZEGO OPERETKA TO MUSI BYĆ KICZ?

Dlaczego scenograf robiący w operetce tandentą dekorację, nie zrobi niczego podobnego w operze czy teatrze dramatycznym? Wstydziłby się pewnie. Czy operetka zawsze będzie się nam rymować ze szmirem? Czy nie ma na to sposobu? Dyrektorzy przemilczeli. Odpowiedzi nie padły.

Dyr. Izabela Bojkowska z Ministerstwa Kultury i Sztuki niejako podsumowując stwierdziła, że teatry działają w odizolowaniu od siebie: nie ma spotkań dyrektorów, zespołów, podglądania metod pracy, uczenia się i wzajemnego uzupełniania. Spotkania łódzkie są pierwszą taką imprezą po wojnie. Ministerstwo przewiduje spotkanie dyrektorów oper i operetek. Ministerstwo uruchamia twórców. „Ale bez dyrektorów sami niczego nie zrobią, dyrektorzy bez nas też nie”. Trzeba więc wspólnie, dla dobra, dla ratowania gatunku.

Na koniec dyr. S. Dyzbardis w imieniu władz miasta podziękował zainteresowanym, organizatorom, ministerstwu i zadał sobie pytanie, czy będą następne spotkania. Odpowiedział od razu, że będzie to uwarunkowane szeregiem czynników: między innymi proponowanym repertuarem (zmierzając o ma w kierunku polskich spektakli muzycznych) i możliwościami finansowymi. Jednym słowem: zobaczmy.

I to już koniec. Nagród nie przyznawano, bowiem nie miało być konkursu, a przegląd, spotkanie, konfrontacja. Może to i lepiej? Niewdzięczne zadanie stanęłoby przed jury. Miejsmy nadzieję, że pierwsze spotkania nie będą ostatnimi. że za dwa lata spotkamy się na drugich, miejmy nadzieję, że będzie lepiej. że w tym czasie ludzie oddani „lekkomyślnie siostrze opery” spróbują coś zmienić na lepsze, miejmy nadzieję, że „podkaszana muza” przestanie straszyć złym smakiem, miejmy nadzieję, że władze rzeczywiście pomogą, że coś się ruszy. Miejsmy nadzieję...

MAREK KOPROWSKI

Oni

Czekaj, czekaj jeszcze tylko parę lat
a potem kto ci poda
no kto
tak ci się wydaje
że do końca tak będą latać
i zostanie sama jak palec
po śmierci się okaże kto miał rację

ach gdyby wiedzieli mój kciuku
z zastrzałem, co pierwszym przejawem AIDS
podobno

Jak się jeszcze garniesz do wskazywania
nowych dróg

tym co się w twoich bliznach nie dopatrują
kary

lecz barw przeszłości
jak się jeszcze w tajemnym porozumieniu
rozdzielasz w wau z twoim sąsiadem
by zaprzysięgać nowym wiarom
drząc z gorączki i bólu
lecz wycelowany
w ciągle tak samo świecące nad tobą słońce

Tylko jeden raz

dla czego to aż do śmierci
to na zawsze uczynili zasadą moralną
czyż nie można tak w biegu
podarować komuś uśmiechu
tak w przelecie uściśnąć czyjąś rękę
a w przedziale położyć głowę na ramieniu
sąsiada

a niechby i nawet rozchylił nogi
gdy coś się między nie dobiła
twardo, lecz przyjacielsko
na przecieciu dwóch górskich szlaków w
upalne lato

przecież właśnie to
je nigdy więcej
że tylko jeden raz
powinno nas w jednej chwili przenieść do
nieba

pragnienie

dalabym wszystko
żeby się przesłaniać
na tamten świat
jak przez luźną sztachetę
cudzego ogrodu
jakoś tak za darmo
żeby się dało
bez trwogi
pał szyć istnienie autentyczne
to część pierwsza recepty
potem należałoby zbagatelizować poprzeczki
które oddzielały tych co u góry
ode mnie
a ambicje zminimalizować
do pełnej płynności na zimę

moi kochani

kolejno wracałam do was
gdy czas zatoczył kolo po raz pierwszy
zamieniliśmy się rolami
teraz ja byłam zwyciężcą
a wasza noc bezsenności
w takt mojego spokojnego oddechu

czy trzeba było aż tylu lat
by móc się przejrzeć w sobie wzajemnie
zamiast daremnej walki
kto kogo, kto komu, kto lepiej
czy trzeba było aż tylu niepotrzebnych słów
na to mgławicowe zderzenie się losów
pod przyziemną cielesną powłoką
któremu zabrakło nawet o świecie
suchych oczu by dobrze przyjrzeć się
zeganemu

przeciw depresji

jak uchronić się od zimowego snu
miałaby zapatrzona w ogień kominka
palaszując spieczoną parówkę z musztardą
może w tym roku ujdzie mi na sucho
trzeba tylko przegonić złą pogodę
jeszcze trochę lata zacerpać
jedną nogą zawsze na wylocie szosy

laska chaosu

też nie znam
choć też jest ładna
mimo że przywykłam
w tym co po raz któryś
odnajdować pełnię
co radością jest rytmu znajomego

czyżby więc muzyka
miała być nauką
jak trwanie przeciekać
z wzruszeniem powrotów
a nigdy znudzeniem
bo jeśli rytm zapalasz
to już jest ratunek
i radość z porządku
twoim przebudzeniem

Przed kaliskimi
spotkaniami

Co roku o tej porze, od wie-
lu już lat, łódzkie teatry dra-
matyczne sposobą się do u-
działu w Kaliskich Spotka-
niach Teatralnych, w których
udział przynosi im zazwyczaj
duże sukcesy u publiczności i
obfity plon festiwalowych na-
gród.

Obecne spotkania, rozpoczy-
nające się, jak zwykle, 2 maja
występem gospodarzy imprezy,
odbędną się już po raz dwi-
dziesty szósty, przy czym z te-
atrów łódzkich uczestniczyć bę-
dzie jedynie Teatr im. Jara-
cza z „Ferdynandem” Gombro-
wicza, w adaptacji i reżyserii
Bogdana Hussakowskiego.
Przedstawienie to, choć znako-
mite (nagrodzone, jak wia-
domo, Srebrną Łódką) napotka
zapewne mocnych konkuren-
tów w rywalizacji o festiwa-
lowe laury. Nie przesadzając
z góry, kto ma, hipotetycznie,
największe szanse w tej kon-
frontacji, wymienimy kolejno uc-
czestników spotkań.

Po inauguracji imprezy przez
Teatr im. Bogusławskiego z Ka-
liska, następnego wieczoru, tj.
3 maja wystąpi Teatr Wy-
brzeże z Gdańska z „Irydio-
nem” Krasińskiego, w reżyserii
Krzysztofa Babickiego (który
za „Wiśniowy sad” Czechowa
zyskał sobie powszechne uzna-
nie). 4 maja Teatr Polski z
Wrocławia zaprezentuje
„Zmierzch” Babiela w reżyserii
Jacka Pądzio, 5 maja Teatr No-
wy z Warszawy da „Grzechy sta-
rości” Bogusława Schäffera,
w reżyserii Bohdana Cybul-
skiego (6 maja przedstawienie
to będzie powtórzone). 7 maja
obejrzą widzowie łódzkie
przedstawienie „Ferdynand”
(powtórzone dnia następnego),
9 maja Teatr im. Słowackiego
z Krakowa przywiezie z
sobą sztukę „Oni” S. I. Wit-
kiewicza w reżyserii Rudolfa
Zioła, a 10 i 11 maja odbędzie
się na zakończenie spotkań
przedstawienie „Woyzeck”
Buchnera w wykonaniu zespó-
łu Starego Teatru z Krakowa,
w reżyserii Tadeusza Brade-
ckiego (nb. autora i reżysera
niedawno oglądanej w Łodzi
sztuki o Leibnizu).

W programie imprez towa-
rzyszących spotkaniom widzo-
wie będą mogli zapoznać się
m.in. z „Panem Cogito” wg.
Herberta w Teatrze Powszech-
nym z Warszawy (oglądaliśmy

niedawno również gościnny
występ w Łodzi); z „Marią”
Iredyńskiego w Teatrze Pol-
skim z Wrocławia; z dwiema
sztukami „Stara aktorka” Ed-
warda Radzińskiego i sztuką
„Angelo, tyran Padwy” W. Hugo,
w wykonaniu kaliskim; i „Kon-
trabasista” Zúskinda, przywie-
zionym przez Stary Teatr z
Krakowa.

W jakiej kondycji artystycz-
nej staną w festiwalowe szran-
ki, gospodarze? Wystawiają
oni, grana od niedawna słu-
żkę Jean Anouilha: „Piekarz,
piekarczowa, piekarczyk” w re-
żyserii Macieja Korwina. Ni to
farsa z morałem, ni to bulwa-
rowa komedia, zaliczona przez
samego autora do kategorii
sztuk „zgrzytających”, o dwu
przemysłnie przecinających się
planach: prozaicznej rzeczywisto-
ści biurowo-maizeńskiej i
świata imaginacji, w którym
bohaterowie jakby rekompen-
sują sobie doznawane niepo-
wodzenia życiowe.

Reżyser tej polskiej prapre-
miery postarał się o to, by z
dowcipnym tekstem dialogu
odpowiednio korespondowały
zabawne rozwiązania sytuacyj-
ne, chociaż młodzi aktorzy, któ-
rzy brawurowo atakowali spie-
trzone przez autora trudności,

nie zawsze z jednakową swo-
boda potrafił sprostać zadani-
om. Sądzą, że główne role
oboja małżonków — grane
przez Andrzeja Czernika i Ma-
gorzatę Skoczylas oraz rolę
zwierzchnika naszego bohatera,
grana (czy potrzebnie?) na
psychopatycznej nucie przez
Stawomira Sulejka zająśniałyby
zapewne pełniejszym blaskiem
w wykonaniu aktorów dojrza-
łych życiowo i bardziej rutyn-
nowanych, są to bowiem role
trudne, zawierające duże moż-
liwości. Mogła zadowolić odda-
jącą nastroj sztuki, nieprzeła-
dowana scenografia Wiesława
Gąsiora, jak również opraco-
wanie muzyczne Fryderyka
Stankiewicza, a wreszcie celn-
y i sprawny ruch sceniczny,
o który zadbała Janina Niesob-
ska.

Ani jednak sama sztuka, choć
skrojona bardzo zgrabnie i po-
myślna niebanalnie pod
względem scenicznym, nie po-
zbawiona przy tym życiowej
refleksji, ani też sceniczna rea-
lizacja, jeśli wolno przewid-
wać, nie stwarzają przedsta-
wieniu szans, by stało się ono
teatralnym „wydarzeniem”, o
którym byłoby szczególnie
głośno w kraju. Niemniej jed-
nak dostarcza ono widzowi
sympatycznie aranżowanej, nie-
złej zabawy i stanowi obiec-
ującą wprowadzenie w nastroj
kaliskich teatralnych konfron-
tacji, znajdujących tradycje
przychylny oddźwięk w łódz-
kiej opinii kulturalnej.

JERZY
KWIECIŃSKI

J. Anouilha: „Piekarz, piekarczowa i piekarczyk”. Na zdjęciu:
Małgorzata Skoczylas (Elodia) i Andrzej Czernik (Adolf).
Foto: Romuald Sakowicz

My w Kosmosie

Dla wielu krytyków literatu-
ra będąca czystą rozrywką,
jest literaturą pośledniejszego
gatunku. Jak to jednak za-
wyczaj bywa, opinia krytyków
kliści się z przekonaniem i
oczekiwaniem szerokiej części
czytelników — świadczy o tym
dobitnie ogromna popularność,
jaką zdobyły sobie powieści
kryminalne czy ostatnio powie-
ści science fiction, błyskawicz-
nie znikające z księgarskich
półek, rozchwytywane przez
całe rzesze miłośników fanta-
styki. Dziś nie trzeba już chy-
ba nikogo przekonywać, że
literatura science fiction nie
musi być wyłącznie literaturą
rozrywkową, że można tworzyć
dzieła uprawiające piśarstwo
fantastyczno-naukowe, które
samo w sobie nie jest przeciwie-
nem ani lepsze, ani gorsze od innych
gatunków literackich. Wciąż
jednak można spotkać się z
twierdzeniem, że literatura
science fiction, jako wytwór
kultury masowej, pozbawiona
jest większej wartości i z arty-
stycznego punktu widzenia na-
leżałoby zaliczyć ją raczej do
kategorii gatunków drugorzę-
dnych. Wydaje się, że jest to
mniemanie całkowicie fałszy-
we (i oparte na błędnych prze-
słankach), albowiem historia
literatury dostarcza wielu przy-
kładów uzasadniających tezę
wprost przeciwną — nazwiska
Stanisława Lema, Philippa K.
Dicka, Isaaca Asimova, czy
braci Strugackich są tu aż na-
zbyt wymowne. Wartości hu-
manistycznych, moralnych czy
poznawczych nie należy a prio-
ry łączyć z daną dyscypliną ży-
cia kulturalnego, gdyż takie
bezkrytyczne i pochopne szu-
fladkowanie jest działaniem
nie tylko niepoważnym, lecz ró-
wnież wielce szkodliwym.
Nowa książka Wiesława Ja-
żdżyńskiego, który zapewne za-
skoczył niejednego czytelnika,

próbując swych sił na polu li-
teratury fantastyczno-naukowej,
z pewnością nie jest bezmyślną
rozrywką, mającą dostarczyć
publiczności tanich wrażeń bez
zmuszania jej do wykonania
jakiegokolwiek pracy umysłowej.
Autor, pisarz doświadczony
i wszechstronny, zresztą
wykorzystuje elastyczną formu-
łę powieści fantastycznej dla
złustrowania, w sposób nieo-
czekiwany, bardzo rea-
lności i aktualnych zagrożeń,
w obliczu których znalazła się
ludzkość u schyłku XX wie-
ku. Utrzymana w baśniowej
konwencji opowieści o toczącej
się gdzieś w niezmiernych
przestrzeniach Kosmosu odwie-
czne walce Dobra ze Złem
znajdują swoje lustrzane odbi-
cie na stojącej u progu zagłady
planecie ludzi, powtarzających
tragiczne błędy dalekich, gwie-
zdnych pobratymców człowie-
ka. I choć pozornie rodzaj lu-
dzki pozostaje jakby na margi-
niesie wydarzeń i właściwie nie
bierze bezpośredniego udziału
w akcji, to już po przeczyta-
niu kilkunastu stronnic staje
się jasne, że jest to książka
mówiąca przede wszystkim o
nas samych. Nieco zwodnicza,
wielowątkowa fabuła stanowi
jedynie pretekst dla zakamu-
flowanej krytyki panujących
na Ziemi stosunków społecz-
nych i politycznych, maniakie-
go zaślepienia, żądzy władzy,
beziinteresownej nienawiści. Ra-
tunku należy szukać w samym
człowieku, „uczułowieniu się”
jest możliwe, wymaga jednak
wytrwałości, wyrzeczeń i ofiar,
bowiem cena, jaką przychodzi
zapłacić za zwycięstwo, jest
niezwykle wysoka. Istota wszel-
kiego rozwoju jest sprzeczność,
walka przeciwieństw, rodząca
w efekcie stabilizację i ład.
Zadaniem człowieka jest rozu-
mieć i skutecznie opanować
zwywioły, które, jeśli wykną

się spod kontroli, mogą w kró-
tkim czasie spowodować niewy-
obrażalne wręcz spustoszenia,
prowadzące w prostej linii do
całkowitej degeneracji ludzko-
ści wraz z jej cywilizacyjnym
dorobkiem, moźnolnie gromadzo-
nym od tysięcy lat. W tym
kontekście książka Wiesława
Jażdżyńskiego należy odczytać
jako poważne ostrzeżenie —
ostrzeżenie przed jakże niebe-
zpieczną bezwzględnością, sta-
nowiącą zagrożenie nie dla po-
jedynczego kraju, czy narodu,
lecz dla całej planety.

Choć trudno przecenić donio-
łość poruszanych przez Wie-
sława Jażdżyńskiego proble-
mów, to jednak lektura jego
książki pozostawia uczucie lek-
kiego niedosytu. Fabuła, aczkol-
wiek ciekawa, pozbawiona jest
tych charakterystycznych, ory-
ginalnych szczegółów, przewa-
żnie dodających literaturze fan-
tastyczno-naukowej tyle nie-
odpartego uroku, zaś motyw-
acja psychologiczna postaci ob-
fitych w nieco zbyt daleko i-
dące uproszczenia i skróty, w
jakimś stopniu odbierające bo-
haterom ich krwistość i trój-
wymiarowość. Zważywszy na
przyjętą przez autora konwen-
cję, są to zapewne zarzuty dys-
kusyjne; co więcej, dotyczą one
tylko jednej funkcji tej po-
wieści, a mianowicie funkcji
rozrywkowej. Książka Jażdży-
ńskiego pokazuje, jak różne obli-
cza może mieć literatura
fantastyczna, odbiegająca od
powszechnie przyjętego stere-
otypu — mówić o sprawach i-
stotnych, wspólnych wszystkim
społeczeństwom i jednostkom,
można w każdym języku. Wiel-
biciele science fiction niewąt-
pliwie wybaczą autorowi drob-
ne niedostatk: wszak litera-
tura fantastyczno-naukowa nie
musi być WYŁĄCZNIE litera-
turą rozrywkową.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Wiesław Jażdżyński „Adara-
nie odpowiada”. Krajowa Agen-
cja Wydawnicza, Łódź 1985.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa
literacko — obyczajowaAMERYKAŃSKIE BUTY
Z ŚWIĘTOKRZYSKIEJ

Znakomity komedopisarz i dyrektor teatrów.
Kazimierz Zalewski, poza skłonnością do płci
pięknej, miał niemiłą słabość do... własnej
osoby. Lublił, gdy interesowano się jego perso-
ną. Pewnego razu jeden z aktorów podziwiał
jego garderobę, unosząc się nad krojem i ma-
teriałem. Większą uwagę zwrócił na parę no-
wych kamazy i z udanym zachwytem zawołał:
— Gdzie to dyrektor nabył tak wspaniałe
obuwie? Rzecz, że nie w Warszawie.

— Jakby pan spał! — potwierdził z dumą
znakomity dyrektor. — Nigdy nie wkładam na
nogi nic krajowego. Nie umię robić. Kamazy
sprovedzam z Ameryki, wprost z New Yorku.
od tego samego szewca, który robi obuwie dla
prezydenta. Niech pan tylko się przyjrzy, co za
fason, co za wykonanie. Tylko Amerykanie coś
podobnego potrafia.

Demonstracyjne wysunięcie stopy i obnażenie
kamazy ujawniło jednak rzecz niepożądaną.
— Dyrektore — zawołał aktor z udanym
zdumieniem — co widzę? Na uszku pańskiego
kamazy tkwi najwyraźniej napis polskiej fir-
my. Proszę: ulica Świętokrzyska, jak uoi, a
teraz zobaczmy, co za firma.

To nie stropiło amatora amerykańskich wy-
robów.

— A co pan myśli? — odparł znakomity pi-
sarz z zimną krwią. — Czy to tylko warsza-
wskie towary mają monopol na udawanie wy-
robów amerykańskich? Oni też czasami podsz-
wają się pod warszawskie firmy...

Lamus humoru (Warszawa 1935)

WYMÓWKA KRÓTKOŚCI

Przy krótkich wirszów stylu ten pożytek
wiąż:
Naprzód, że czytelnika nimi nie obciąża;
Lub są dobre, lubo złe, że krótkie, z tej
cnoty
Moga mieć u lektorów stąd swoje zalety.
Przypadną li do smaku, to krótki smak
wzbudzą,
Nie przypadną, to krótko czytelnika znudzą.
Wespazjan Kochowski (1633—1700)

PSIA WIERNOŚĆ

Przytaczamy tę opowiadkę według zapisu w
292 numerze „Kurieru Warszawskiego” z 7
grudnia 1824 r.

Przez lat kilkanaście (od 1764 do 1778) miesz-
kał w Warszawie przy ulicy Bełcarskiej pałacy-
śladziec bezżenny, utrzymujący się z prowizji
od kapitaliku złożonego w banku. Nie był on
szczęśliwym właścicielem służącego, który by zdołał
zgodzić się z humorem pana. Jedni nie byli mu
wierni, inni często byli nieczciwi, inni zanadto
hardzi, słowem żaden nie zasłużył ani na za-
ufanie, ani na względy pana. Postanowił przeto
obejść się bez służącego, a będąc amatorem
myślistwa, dołożył starania w wyuczeniu cte-
rech pudłów różnych postug, tak iż te pieski
zastępowały miejsce służącego. Jeden z nich,
przynosił mu od przekupki bułki, masło itp.,
drugi od rzeźnika mięso. Przedający już znali
tych wiernych posługaczy i powierzali im te
produkta za taką ilość pieniędzy, ile w pysku
przyniosły. Trzeci pudelek obracał pieczen w
kuchence, a czwarty zanosil buty swego pana
do stróża sąsiedzkiego domu, który je chędożył,
z resztą zaś szlachcic sam sobie usługiwał za-
pewniając, że doznaje prawdziwej przyjemności,
widząc jak ci wierni posługacze dopełniają gor-
liwie jego rozkazów. W ciągu tego czasu nie
doznał żadnego zmartwienia z przyczyny niere-
gularności domowej i był w dobrym humorze.
Lecz niedługo doznał tej pociechy, gdyż ja-
kiś zawistnik (podobno jeden z oddalonych słu-
żących) podrzucił truciznę i trzech z tych wie-
rnych piesków pozdychało. Był to nader dotkli-
wy cios dla stroskanego ich pana, który
wkrótce zachorował. Został tylko czwarty i ten
nie odstąpił aż do ostatniej chwili. Leżał przy
trumnice swego dobrego pana i w kilka godzin
po pogrzebie zdechł. Jeden z przyjaciół zmar-
łego szlachcica kazał wypchać skórę tego zwie-
rzęcia jako pamiątkę wierności.

KRASZEWSKI I PIES

I jeszcze raz o psach. Tym razem anegdota,
którą zaczerpnąłem ze zbioru „Wesoły kram-
nik” (Katowice 1960):

Józef Ignacy Kraszewski pojechał w odwie-
dziny do przyjaciół. W ogrodzie zobaczył wiel-
kiego psa, który zerwał się i zaczął groźnie
szczeleć.

— Ależ nie bój się — uspokajał przyjaciel —
chyba wiesz, że psy, które szczeleją nie gryzą!
— Tak, ja wiem — odrzekł autor „Starej
baśni” — ale nie mam pewności czy ten pies
wie!

CZYTELNIKOM „BIGOSU”

Czytelnikom „Bigosu”, którzy łaskawie raczą
też szpalcie poświęcać swoją uwagę, dedykuję
dystych, zaczerpnięty ze „Zbioru mniejszego
poezji polskich drobniejszych”. Józefa Epifa-
niasa Minasowicza (Warszawa 1782):

Co tu źle, niech to krótkość pokryje u ludzi,
Tak się mych pism czytaniem mniej
czytelnik znudzi.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Aktor — domokrążca

NAJPIERW JUBILEUSZOWI

Wspomnienia, przypomnienia, odznaki i odznaczenia, dyplomy i kwiaty, uścisk dłoni, uśmiech i gratulacje, rączka i uśmiech i następny proszę, i jeszcze jeden i jeszcze — no my kochamy jubileusze!

Ale ten był szczególny, bo dotyczył ciągłości wydarzenia, które zrodzone przed dwudziestu laty we Wrocławiu trwa i rozwija się, a coraz świetniejszego blasku dodaje mu Toruń, jego władze, działacze i publiczność, najwspanialsza, jaką znam.

Wyróżnienie więc przedstawicieli Torunia (jako że OFTJA od dziesięciu lat odbywa się w Toruniu) nie wzbudza niczyjej zawiści, bo ludzki trud, dziesięcioletnie cierpliwe i czynne trwanie przy wspieraniu, festiwalowej idei wymagają publicznego podkreślenia i uznania, zwłaszcza że w tym zmieniającym się coraz szybciej świecie, tylko nieliczni na takie oddanie stać.

Wśród wielu, całym sercem oddanych, jest aktorka — Irena Jun, dziennikarka — Alda Oleradzka, prezydent

Estetycznie wydany „Informator — Program” informował co, gdzie i kiedy można zobaczyć, zjeść, dojechać, nocować. Z „Informatora” dowiadujemy się, iż dotychczasowe toruńskie festiwale wyłoniły czterdziestu jeden laureatów, wśród których znajdujemy wielokrotnie Dorotę Stalińską, Henryka Boukowskiego, Leszka Benke, Włodzimierza Maciejewskiego. (O tym ostatnim krąży wieść, iż zamierza przenieść się do Łodzi. Gdyby tak miało być w istocie, to teatr, który podpisał z Maciejewskim umowę, zrobił, moim zdaniem, bardzo dobry interes).

CO MOŻNA BYŁO ZOBACZYĆ?

Z dwudziestu czterech zgłoszeń Rada Artystyczna Festiwalu zakwalifikowała ostatecznie trzynaście spektakli, zarzucając pozostałym niezgodność z regulaminem, priorytet celów wychowawczych nad artystycznymi, niewłaściwy dobór materiału, niegotowość artystyczną lub próby zgłoszenia przedstawień już prezentowanych (Jan Tesarz np. zgłosił spektakl sprzed dwudziestu lat).

nodram czerpać może pełnymi garściami. A że są to często źródła najwyższej klasy, nie tylko z uwagi na szacowny wiek, inspirują one żywiej wyobraźnię aktorską i ściągają publiczność. W taki oto sposób niektórzy dyrektorzy reperują plan finansowy, nie dbając o to, że gubią ideę teatru jednego aktora i wyrządzają krzywdę kulturze narodowej.

Lech Sliwonik obliczył, że w okresie dwudziestu lat festiwalowa (a także i pofestiwalowa) publiczność utworzyła obywateli, ponad trzymilionową armię widzów. Ze znakomitą wielkością tej armii do publiczności z maleńkich miasteczek i wsi, gdzie dotrzeć może najłatwiej właśnie jeden aktor, przynoszący tym ludziom obok wiedzy o teatrze także i to, co w nim najważniejsze — słowo.

Ono bowiem, dźwięk ludzkiej mowy, stanowi podstawową formę kontaktu.

Słowo może zrodzić zło, ale może też przypominać o wartościach powszechnie uznanych, tylko jakże często zapomnianych, lekceważonych, deformowanych. Pytanie więc: teatr „kontenerowy” czy „walizkowy” (red. J. Wenderlich) nie znalazło podczas seminarium jednoznacznej odpowiedzi, jako że zwolenników jednej i drugiej formy nie brakowało i było może po równo, zgodnie ze znaną zasadą: „tak w ogóle to ja je-

korzystał pięknego tekstu Waleriana Rasputina „Pożegnanie z Matiora” i w rezultacie — bez echa.

Pierwsza nagroda — Andrzej Grabowski (Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie) — za spektakl pt. „Audiencja V” według scenariusza Bogusława Schaffera w reżyserii i scenografii własnej przy współpracy Mikołaja Grabowskiego.

JURORZY: Irena Jun, Krystyna Meissner, Jan Sikieta, Tadeusz Malak, oraz Henryk Bardziejewski oddali swe głosy na ten właśnie spektakl. Nie ma jeszcze modelu teatru jednego aktora powiedzieli — jednak „Audiencja V” stanowi może pewien wzorzec dla wielu aktorów w poszukiwaniu własnej drogi do monodramu. Znakomite wykonany, a przecież bardzo trudny i prowokacyjny tekst poszerzył widzenie teatru i aktorstwa, których ideał umieszczony jest bardzo wysoko. Mistrzowskie posługiwanie się wszystkimi elementami, składającymi się na teatr jednego aktora, w sposób jednoznaczny upoważnia nas do wydania takiego właśnie werdyktu — najlepszy!

WIDZ: (po spektaklu): Trzeba przyznać, że Andrzej Grabowski znakomicie poradził sobie z tekstem i z widownią. Ale niech mi pan powie, czy on musiał w tym tekście używać tylu okropnych przekleństw? Czy posłannictwo sztuki i artyści przekazywać należy w tak okropnych zwrotach? Wie pan co? Kiedy usłyszałem, jak moja żona pijąc z butelki „pepsi” powiedziała w pewnej chwili — o kurwa, połałam sobie bluzkę, to pomyślałem sobie, że sztuka wywiera jednak wpływ na odbiorców. Pan wie ile razy on kłaj? Ja doliczyłem się trzydziestu, a później to już straciłem ochotę do liczenia.

AKTOR Z KRAKOWA: Posłannictwo? O czym pan mówi? Wędrowki od sklepu do sklepu, stanie w kolejkach po trochę żarcia, to staje się posłannictwem! Scena? Takie samo miejsce pracy jak każde inne!

AKTOR (też z Krakowa): Jeżeli posłannictwo, to tylko Kantor, rozumiesz pan? Tylko Kantor!

Czekamy na kolejny werdykt. Jest!

Wojciech Królikiewicz z Teatru Studijnego 83 im. J. Tuwima w Łodzi. Spektakl pt. „Kabaret Kici-Koci” Mirona Białoszewskiego w reżyserii Zbigniewa Michała znajduje uznanie jurora — Lecha Sliwonika i zdobywa nagrody: tygodnika „Walka Młodych”, RSW „Prasa — Książka — Ruch” oraz dziennikarzy, do której przyczynił się także, dając za „Kici-Koci” krótką, co potwierdziłem własnoręcznie podpisem.

A oto uzasadnienie.

Wojciech Królikiewicz wiedział co robi, sięgając po prozę Mirona Białoszewskiego, który przed 30 laty przedstawiał swoje spektakle we własnym domu. Wyjście Królikiewicza poza gmach teatru i zaproszenie widzów do prywatnego mieszkania stanowi wspaniałą kontynuację tradycji jeszcze świeżej, nie wyczerpanej, a już zapomnianej przez dzisiejszych twórców. Nie zawsze jest rzeczą słuszną zwracać z drogi zaledwie poznanej. A że spektakl podjął ważne sprawy z naszej najnowszej i jakże często bolesnej historii, należał mu się tym większe słowa uznania za próbę poprawy naszego zdrowia psychicznego.

WOJCIECH KRÓLIKIEWICZ: Kabaret „Kici-Koci” był dla mnie czymś więcej niż wspaniałą zabawą z tekstem Białoszewskiego. W miarę krystalizowania się kształtu przedstawienia, w miarę kolejnych wykreśleń i powrotów do nich odniosłem wrażenie, iż potrafię głębiej zajrzeć w swoje własne to, czego dotychczas nie znałem. Praca nad spektaklem sprawia mi tym większą radość, że udało mi się, jak sądzę, bliżej poznać Michała i stwierdzić, że bardzo wiele nas łączy. A dlaczego Białoszewski? No cóż,

odpowiada mi taki styl ośmieszania naszych słabostek — ostry, kpiarski, ale ciepły i życzliwy. Dzięki Białoszewskiemu czuję się znacznie młodziej.

A teraz nagroda tych, bez których teatr by nie istniał — nagroda publiczności.

Zdobył ją Cezary Morawski ze „Starej Prochowni” za spektakl „Aktor... to aktor... to aktor” w reżyserii Zijaha Sokolovicia i Cezarego Morawskiego. Morawski przez czas trwania monodramu zapominał całkowicie nad publicznością. Ożywienie, salwy śmiechu i oklaski przy otwartej kurtynie i nagłe chwila zadumy... a potem... Beckett — stary, samotny Beckett — dziwię się więc, że takiego spektaklu nie opuścił sam prezydent miasta — Romuald Bester, mimo że zabrakło dla niego miejsca siedzącego. Cały czas stojąc był brawa, śmiał się serdecznie, a potem jeszcze przyznał Morawskiemu własną nagrodę.

WŁASNYM ZDANIEM

Jako ostatni ustawiłem się w kolejce przed szatnią, bo ja też nie chciałem mi się jeszcze wychodzić z „Bajki Pomorskiej”, gdzie tyle serdecznej i życzliwej gościnności. Nie chciałem mi się wychodzić również dlatego, że jeszcze po kątach gmachu błakały się samotne słowa beckettowskiej „Kolsanki” i szurające wciąż po tej samej ścieżce światła — „Kroki”.

I brzmią mi jeszcze „Psalm Dawidowy” takie ludzkie, takie tragiczne i nieszczerliwe. To Olgierd Łukaszewicz nadal nie kształt ludzkiej niemocy, to on — słabnący, dzwigający się do walki Anteus, Szkoda, że wspaniałością równą greckim posagom nie znalazł swego Pygmaliona.

I Wojciech Królikiewicz, skromny, kłęczący za nocnym stolikiem, daje swój piękny teatr w kaciaku prywatnego mieszkania. Tylko tyle miejsca dla aktora? Grabowski potrzebował dużego stołu, transparentu, kucharki, gazowej i jajejecznic, Kryszczakowi potrzebny był najpierw olbrzymi plac, trąbka, kilkadziesiąt metrów drogi, po której ciągnął wielki kufer i wreszcie maleńkie podium w „Baju”. Wojciechowi Królikiewiczowi zaś, oprócz miejsca pod oknem, za wszystkie rekwizyty wystarczała wełniana włóczka, dwa druty, pół ziemniaka, gumowa gruszka, kilka papierowych chorygwiek i damska torebka, do której owe rekwizyty mogłyby się z powodzeniem zmieścić.

A jak te rekwizyty grały? Jaki potężny strzał ognikowy ogłaszał, jak wspaniale spędzał Sylwestra w zasypanym tramwaju! Aktor używał im tylko głosu. Ale jak używał! Jeżeli więc wspomniane przeze mnie seminarium nie znalazło jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: jaki teatr jednego aktora — „kontenerowy” czy „walizkowy”, to ja mam już odpowiedź: oczywiście teatr „torebkowy”.

— Ladies and gentlemen! Zapraszam do teatru Królikiewicza.

P.S.

Jak już wspomniałem, Festiwalowi dodano oprawę w postaci imprez towarzyszących. Wśród nich znacząco wyróżniła się... Ewa Wycichowska z Teatru Wielkiego w Łodzi, choreomonomedramem „Cień”.

Prosty, ale czysty taniec połączony z przenikaniem artystki w ekran firmowy, mieszanie sylwetek osoby i cienia, zyskały uznanie toruńskiej publiczności. Była także Irena Jun i był Wojciech Siemion. O ile za najwspanialszy uważam występ tej pierwszej, to propozycję Siemiona uważam za największą chałturniczą chałdę, jakiej dotąd nie oglądałem.

Przepraszam, już widziałem — w Toruniu!

CZESŁAW MARCZAK

Kronika kulturalna

5 kwietnia w Małej Sali Teatru Nowego odbyła się premiera znakomitej sztuki znanego amerykańskiego autora Tennessee Williamsa pt. „Szklana menażeria”, w reżyserii Marka Gaja, ze scenografią Wojciecha Bajora i muzyką Zbigniewa Lamparta. Grają: Halina Miller, Małgorzata Flegel, Jacek Pawlak i Krzysztof Kaczmarek.

6 kwietnia w Dużej Sali Teatru Nowego odbyła się natomiast premiera cieszącej się ogromnym powodzeniem komedii współczesnego autora angielskiego Alana Ayckbourna pt. „Jak się kochają...”, w reżyserii Wandy Łaskowskiej, ze scenografią Marka Tomasiaka. Grają: Janina Boronka, Teresa Makarska, Krystyna Tolewska, Janusz Kubicki, Piotr Krukowski i Dymitr Holówko.

9 KWIEŹNIA w Biorze Wystaw Artystycznych (Galeria Balucka) otwarta zostanie wystawa fotografii Witolda Krymariusa. Natomiast od 11 kwietnia w Ośrodku Promocji Sztuki park-im. H. Sienkiewicza oglądać będzie można wystawę rzeźby i rysunku Władysława Ostrowskiego.

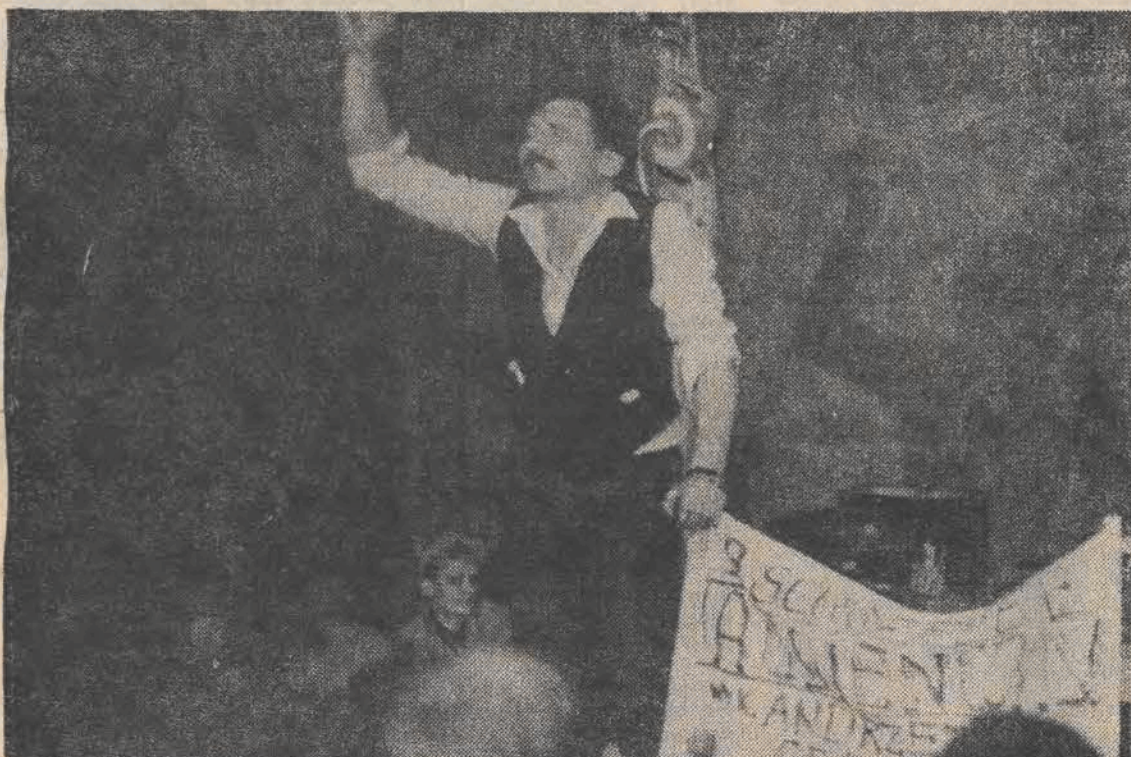
Z OKAZJI obchodzonej niedawno 100 rocznicy urodzin prof. Tadeusza Kotarbińskiego zorganizowano w Bibliotece Uniwersyteckiej interesującą wystawę poświęconą życiu i twórczości uczonemu. Zgromadzono na niej liczne pamiątki po prof. Kotarbińskim. Fotografie z jego życia prywatnego i oficjalnych uroczystości, w których uczestniczył, rękopisy i pierwsze wydania najwspanialszych dzieł i zbiorów poezji, w których zawarł swój filozoficzny stosunek do życia. Liczne prezentowane są także prace poświęcone postaci wielkiego filozofa.

W MINIONĄ niedzielę 6 bm. zaczęła się w Łodzi w Teatrze Wielkim druga edycja Łódzkiej Warsztatów Operowych. Hasłem tej edycji warsztatów jest „Aria, duet i ansambl”. Podstawowym celem tej akcji, zyskującej coraz więcej zwolenników jest odświeżanie tajemnic „kuchni” teatru operowego, pokonywanie procesów tworzenia widowiska. Widzowie będą także mieli możliwość rozmów z wybitnymi reżyserami i solistami.

WE WROCŁAWIU w Klubie Dziennikarza 4 kwietnia otwarta została doroczna, kolejna wystawa XVI Międzynarodowego Salonu Fotografii Artystycznej „Wenus 83”. Zaprezentowano na niej ponad 130 zdjęć. Prezentują swoje akty artyści-fotograficy ze Szwecji, Wielkiej Brytanii, Węgier i Austrii.

MINIŁO właśnie 49 lat od śmierci Karola Szymanowskiego. Dla uczczenia tej rocznicy Akademii Muzyczna zorganizowała koncert kameralny. Koncert odbył się 7 kwietnia. Wystąpili: Michał Korziska (fortepian), Andrzej Wódka (skrzypce), Bogdan Wódka (fortepian) oraz Kwartet Smyczkowy im. K. Szymanowskiego.

OD 7 DO 12 kwietnia trwać będzie w Łodzi Dni Kultury Francuskiej. Tydzień organizowany został przez Polski Komitet Współpracy z Alliance Française.



Zdobywca Grand Prix Festiwalu — Andrzej Grabowski

Foto: Bogusław Melanowski

miasta Torunia — Romuald Bester, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu — Gerard Ostrowski, czy wreszcie dyrektor do Spraw Inwestycji Zakładów Elektrycznych „Unitra-Tor” w Toruniu — Marian Frackiewicz.

To ostatnie nazwisko szczególnie cieszy, bo znana jest niechęć menedżerów naszego przemysłu do spraw kultury pomimo oficjalnej aprobaty „w tym temacie”.

Fascynację Festiwalem i jego umiłowaniem potwierdziły dwa dalsze zakłady toruńskie: „Elana” i „Merinotex”, które znalazły się w gronie festiwalowych gospodarzy. Nieczęsto to w naszym kraju i tym bardziej godne podkreślenia.

A TERAZ FESTIWALOWO

Organizatorem XX Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Jednego Aktora był (jak zawsze zresztą) Zarząd Główny Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zarządu Głównego Towarzystwa Kultury Teatralnej oraz Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

Ponieważ dwaj aktorzy niespodziewanie zachorowali, na placu boju pozostało ostatecznie jedenaście przedstawień festiwalowych oraz pięć imprez towarzyszących, nie licząc spotkań seminarijnych pt. „Teatr jednoosobowy”. Uczta więc i tak obfita, choć nie wszystkie dania jednakowo smaczne.

Rozpoczne jednak od spotkań seminarijnych, bowiem tam ustalono zdefiniować pojęcie teatru jednego aktora, jego społeczno-poznawczą rolę, a także możliwości realizacyjne w przekazywaniu wartości moralnych i estetycznych. I chociaż powiedziano wiele słów, wniosków sformulowano niewiele, a i to raczej znanych, lub prawie znanych.

Z tych ostatnich odnotować jednak warto zarysowujące się niebezpieczeństwo przekształcania niektórych teatrów jednego aktora w swej istocie objadanych, skromnych w scenografii, bez wymogów lokalowych, w teatr „kontenerowy” pełen dekoracji, aparatury, rekwizytów. Dzieje się tak za sprawą dyrektorów, którzy włączają spektakle „jednoaktorskie” w programy repertuarowe swoich teatrów. Robią to zaś dlatego, że sztuki sceniczne w obsadzie wieloosobowej nie potrafią i nie mogą sięgać do tych źródeł literackich, z których mo-

stem za, ale wie pan, myślę że...”

Pora wreszcie na prezentację utworów, opinie i oceny jurorów, publiczności oraz dziennikarzy. Tak, właśnie dziennikarzy, bo ci, oprócz prawa do przyznawania nagrody wybranemu aktorowi mieli jeszcze możliwość wypowiedzenia się w specjalnie redagowanym przez siebie „Informatorze”, co czynili skwapliwie, skrótnie, a najczęściej w formie pamfletów lub fraszek.

Jak już wspomniałem, aktorzy zaprezentowali jedenaście przedstawień. Problemy w nich poruszane — to odwieczne pytania o sens życia, to walka dobra ze złem, to ludzka dola i ból samotności, to „emigracja wewnętrzna” i „zewnętrzna”, to posłannictwo sztuki, czy wreszcie nasze słabostki i śmieszności.

Ciekawe, że tylko Teresa Sawicka („Impart” — Wrocław) w spektaklu „Maria” Ireneusza Iredyńskiego mówiła o miłości, trochę dziwnie i tragicznej, z wątkami politycznymi. Aktorka miała widocznie swój zły dzień, widoczny był brak kondycji wewnętrznej dyscypliny i szczerze mówiąc — chęci do gry. Spektakl bez wydarzeń i bez echa.

Podobnie Kazimierz Borowiec (Teatr Stary — Scena przy Sławkowskiej w Krakowie) nie wy-

Byliśmy tu zawsze. W każdym razie u schyłku epoki kredowej, kiedy nawet nie przebiegałoby o ideal człowieka. Wówczas, kiedy tu i ówdzie dinozaury i podobne im monstra, ogalały prapaszki i lasy paproci. Durne zimmokrwiste zwierzęta, znoszące śmieśnię duże jaja, z których wykluwały się nowe nieforemne monstra, dorastające do gigantycznych rozmiarów. Uprzykrzywszy sobie owe wybujałości natury, mniejszy niż dzisiejszy, może porównywalny ze szcurem z Galapagos, luki te olbrzymie jaja. Tepe i zeszywniałe od nocnego chłodu stały te jaszczury nieporadne, niezdolne do samoobrony. Te kaprysy będącej nieraz w złym nastroju natury zmuszone były patrzeć beznadziejnie malutkimi porównawczo, przy akcie stworzenia na pół zapomnianymi ślepiami, jak my, od początku ciepłokrwiste, pierwsze ssaki, przeżne i żywotne w momencie miotu, my z rosnącym wciąż kłębem, ruchliwe szcuchy, wywiercałyśmy się w olbrzymie ich jaja, bez względu na twardość i grubość skorupy. Dopiero co złożone, jeszcze nie zalegające jaja, zwierzęta pozostawały przedziurawione, przez te otwory wbiegał szcurek i karmił nas wesoło do syta.

Biedne dinozaury! drwiła szcuczka pokazując wciąż odrastające kły. Wylizwała: brachiosaurus i diplodocus, dwa monstra, ważące do osiemdziesięciu ton, pokryty łuskami. Saurapoden i opancerzony Theropoden, do nich należał tyrannosaurus, drapieżne monstrum, dochodzące do piętnastometrowej długości, poruszające się jak ptak jaszczur i rogaty Torosaurus; wszystkie te potwory ukazywały mi się jak żywe w snach. Oprócz nich plazy i latające jaszczurki.

Mój Boże, zawolałem co straszdyło to gorsze od innego! Szcuczka odrzekła; wkrótce skonczyliśmy z nimi. Po stracie olbrzymich jaj, zniszczeniu przyszłych potworów, dinozaury owlokły się na bagnach, by zapasać się w nich bez szemrania, w całej swej okazałości. Dlatego to człowiek w nieznanej ciekawości odnalazł ich szkielety w jednym miejscu tuż obok siebie, dla których zbudował przestronne muzea. Kość z kością złączone, wystawia się jaszczur, jeden egzemplarz wypełnia salę. Znalezione wprawdzie warte obejrzenia olbrzymie jaja, na ich skorupkach widać odciski śladów naszych kłów, jednakowoż żaden badacz epoki kredowej, żaden dostojnik nauki o ewolucji nie raczył poświęcić tego faktu. Na podstawie dotychczas niewyjaśnionych przyczyn, powiada się, dinozaury wymarły. Wieloletnia obudowa jaj, nagła zmiana klimatu i warunki zbliżone do sytuacji potopowej uznano za przyczynę wymarcia tych monstrów; nam natomiast, szcuczce gatunkowi, nikt nie oddał tej zasługi.

Oto jak skarżyła się wysniona przeze mnie szcuczka, przy tym wielokrotnie i ze wściekłością demonstrowała na olbrzymich jajach ślady wygrzybień. Bez nas do tej pory istniałyby te diwologagil — wykrzyknęła. Oczywiście teren dla nowego, nie tak monstrosnego życia. Dzięki naszej kłó-zawziętości mógł się rozwinąć kolejny ciepłokrwisty ssak, pośród nich wczesne stadia późniejszych zwierząt domowych. Nie tylko psy, konie, świnię, również człowiek może odnieść się do nas, pierwszych ssaków; że za to się wywyżcza od czasów Noego, kiedy szcurek i szcuczka nie mogły wejść do jego skrzyni...

Należy do dobrego tonu każdego powitać. Człowiek, który przedstawia się jako stary znajomy, twierdzi, iż wciąż jeszcze istnieje. Chce znowu być tutaj. W porządku, niech będzie.

Z naszym panem Matzerathem dzieją się różne sprawy i wkrótce będzie obchodził sześćdziesiątą urodzinę. Nawet jeśli pominiemy proces i pobyt w pewnym zakładzie, a przy tym trudną do orzeczenia winę, to po jego zwolnieniu osiadło wiele kłopotów na garbie Oskara: tak i siak, raz wyżej, raz niżej przy wzrastającym stopniowo dobrobycie. O ile wiele zachodu i starań wymagały jego młode lata, to proces starzenia się przebiegał bez zakłóceń i dał mu do myślenia, że należy pamiętać zarówno o niepewnościach, jak i małych sukcesach. Przy niewygajających rodzinnych niesnaskach — ciągle chodziło o Marię, zwłaszcza o jego syna Kurta — minione lata uczyły go, że z niego zwykłego podatnika i wolnego przedsiębiorcy: wyrażnie podstarzałego.

Tak to popadł on w zapomnienie, choć przeżywał, że musi jeszcze istnieć, gdzieś żyje na ubożu. Trzeba by go zawołać. „Hallo Oskar!” — i już się pojawi — rozmowny, nie bowiem nie świadczy o jego śmierci.

Ja w każdym razie nie kazałem umrzeć naszemu panu Matzerathowi, aczkolwiek na jego temat nie szczegółowo mi nie zaświtało. Od czasu jego trzydziestych urodzin nie dotarła do mnie żadna informacja. Nie odzywał się. Albo może to ja nie dopuściłem go do głosu?

Dopiero niedawno, gdy bez żadnego celu wszedłem do piwnicy obejrzeć pomarszczone zimowe jabłka i jakoś uciepiał się myślą, mój gwiazdkowy szcurek, spotkał się jakby na wyższym poziomie: on stał tam i nie stał, zdał się, że jest i nagle rzucił cień. Chciał być zauważony, pytany. I spostrzegam już go: co sprawia, że tak nagle staje się znów godny uwagi? Czy aby nie dojrzał jego czas?

Od kiedy zaznaczono w kalendarzu sto siódme urodziny jego babki Anny Koljaczkowej, zrazu pytało półgłosem o naszego pana Matzeratha. Odnalazła go pocztówka z zaproszeniem. Miał należeć do gości, skoro tylko zacznie się uroczystość po kaszubsku. Już nie do Rebiechowa, gdzie betonuje się pola pod lotnisko, lecz do pobliskiej wsi, do Materni, został zaproszony. Czy będzie miał ochotę wybrać się w tę podróż? Czy poprosi Marię, Kurtu, sła, by mu towarzyszyli? Czy myśli o odwiedzeniu tych stron mogłaby naszego Oskara napawać lekami?

I co z jego zdrowiem? Jak ubiera się dzisiaj ten garbaty człowieczek? Czy powinienem mogę go przywrócić życiu?

Gdy ostrożnie się upewniałem, szcuczka, wysniona przeze mnie nie sprzeciwiała się zmartwychwstaniu naszego pana Matzeratha. Wskazując na śmieci które o nas świadczyć będą zauważyła mimochodem, że reprezentuje się skromniej niż kiedyś. On przeżuwa, co się tak rozpaczliwie potwierdziło.

Wiele wołać — „Hallo Oskar!” — i już tu jest. Razem ze swoją przedmiejską willą i solidnym Mercedesem. Wraz z firmą i filiami, z nadwyżkami i rezerwami, wierzycielnościami i odpisanymi stratami, ze wszystkimi wymyślnymi i nie wymyślnymi budżetami. Z nim jest na miejscu reszta kłękającej rodziny i owa wytwórnia filmów, która dzięki wejściu w porę na rynek videokaset, ciągle zwiększa obroty. Po wstrzymanej tymczasem, podejrzanej serii porno, chwali się przede wszystkim jego dydaktyczny program, na nim oparta szeroko rozpowszechniona produkcja kaset karmi coraz więcej uczniów niczym akcja ich dożywienia. Jest tu razem z wrodzonymi chwyłami trkami i manipulacjami w dziedzinie mediów. Muszę go jedynie zwabić, zarzucić przynętę, a pojawi się nasz pan Matzerath.

„Cóż pan, Oskarze, sądzi o umieraniu lasów? Jak pan ocenia niebezpieczeństwo spowodowane nadmiarem meduz, które zagraża zachodniej części Bałtyku? Gdzie pańskim zdaniem znajduje się dokładnie zatopione miasto Wineta? Pan był już w Firodze? Czy pan również uważa, że zbliża się nieuchronnie koniec?”

Nie umierający las nie meduzy lecz moje pytanie, co sądzi on o procesie Malskata — Pamięta pan, Oskarze, to było w latach pięćdziesiątych — ożywia go i każe spodziewać się, że stanie się rozmowny.

Zbiera przedmioty z tych czasów. Nie tylko nowoczesne wówczas niske stoliki w kształcie nerki. Jego biały gramofon na którego tarczy kładzie ostrożnie hit „The Great Pretender” wyprodukowany przez firmę Braun przywiązującą wagę do pięknych form, był wtedy przeżywany, gdy odbywał się proces Malskata, trumienka Śnieżki; takie porównanie dopuszczają jego kolor i pokrywa ze sztucznego szkła.

Ponieważ znajdują się w jego przedmiejskiej willi, pokazuje mi pomieszczenia piwniczne wszystkie oprócz jednego, które jest zamknięte, stąd zaciekawia, zastawiane są sprzętami z lat

tw. nowego początku. Większe z nich służy pokazom filmowym. Na okrągłych blaszanych puszkach odczytują tytuły: „Pieszczołka”, „Leśnik ze srebrnego lasu”, „Grzesznica” — przypuszczam, że nasz pan Matzerath nadal jest urzeczony dekadą iluzji, aczkolwiek sądząc po jego produkcji videokaset można by go określić jak kogoś kto stawia na przyszłość.

„Zgadza się”, powiada, „w gruncie rzeczy pięćdziesiąt lat jeszcze trwają. Wciąż jeszcze oddajmy kupony z szachrajstwa powstałego w tym czasie. Solidne oszustwo! Co potem nastąpi, było zyskownym spędzeniem czasu”.

Z dumą pokazuje mi aparat do wyświetlenia, ustawioną na pulpicie, zajmując mniejsze z pomieszczeń. Wygląda jak nowa, a za nią mogą się zmieścić dwie osoby. Na wytapetowanych ścianach o kolorze kremowym wiszą, uszeregowane grupami, oprawione w ramki fotosy, które pokazują naszego pana Matzeratha za projektorem. Oczywiście siedzi na podwyższeniu, stojący obok niego, markotnie spozierający mężczyzna, jest tego samego jakby wzrostu. Na jednym ze zdjęć stoją za projektorem: teraz obaj wysocy. „Ależ to jest przecież?” wykrzykuje. „No naturalnie! Wreszcie go poznaję mimo czapki szoferskiej...”

Nasz pan Matzerath uśmiecha się grymasem wyrosniętego karkla. Raczej uśmiecha się do siebie, to garb podryguje. „Słusznie!” woła. „To jest Bruno. Mój dawny pielęgniarz, a jednocześnie przyjaciel w ciężkich czasach. Wierna, bratnia dusza. Gdy po moim zwolnieniu prosiłem go, aby również poza zakładem dla nerwowo chorych opiekował się mną i pomagał mi poruszać się na nowo, Bruno natychmiast zrobił prawo jazdy. To znakomity kierowca, choć także uparty. Po cóż ta mowa, zna go pan przecież!”

GUNTER GRASS

Szcuczka (Die Rättin) (fragmenty)

Teraz opowiada nasz pan Matzerath, w jaki to sposób on i Bruno Mützenberg w roku pięćdziesiątym piątym „rozpaczali” zupełnie od zera. Po aparaturze do wyświetlenia firmy Messerschmitta, wkrótce pożyczka, potem jednak był Mercedes 190 SL, nadal go prowadził, to rzecz niebywała. W razie podróży do Polski, gdzie coś przeszkobił, może zaufać niezniszczalnemu świadectwu niemieckiej wydajnej pracy. Zresztą wtedy, w okresie eksploatacji tej aparatury, dobiegał końca ów proces, po którym wymieniano nazwisko malarza Malskata. Wszakże gdy Bruno rzędził na wyrok w jego sprawie i wycozuwa w nim bratnią duszę, mówiąc co więcej o „wielkim Malskacie”, oddał się ode mnie nasz pan Matzerath ze swoim muzeum...

Siedząc przytroczone do fotela na kółkach, ryknąłem, jakby poszukiwałem się głosił: Jesteśmy jeszcze! Wszyscy jeszcze jesteśmy! Nie pozwól sobie niczego wzmówić! Nadal piskala jakby fałszem niezbita zupełnie z tropu, najpierw szcuczny żargonem: Do Minscher gripsch Utemosch! następnie całkiem zrozumiale. To dobrze, żeś odeszła! Wszystko zepsuli. Ciągłe z głową podniesioną do góry do kombinowania. Nawet gdy dawiliście się od zbytku, nie było dosyć, nigdy dość. Gdy zaszła potrzeba, wyjadawaliście niedostatek, brak. Łaknące wielkie żarcie! Durni znawcy, ustawicznie rozdwojeni. Wystrachani w łóżku, szukali w świetle guza. Znużeni starością, demoralizowali swoje dzieci. Zniechęceni niewolnicy. Nabożni obłudnicy! Wyzyskiwacze! Pozbawieni natury, dlatego okrutni. Ukrzyżowali Boga jedynego Syna. Pózwilieli broni. Jak dobrze, że odeszła!

Nie, krzyżowałem z mojego fotela, nie! Przecież jestem. Jesteśmy wszyscy tu! Skrzętnie czyszciszki, pełne zaskakujących idei. Wszystko winno być lepsze, owszem, bardziej ludzkie. Muszą tylko ten sen, zamęt ten przetrwać, potem odnajdziemy się znowu, potem wszystko potoczy się naprzód dokądkolwiek, potem, skoro gazetę i zaraz po śniadaniu...

Ale mój głosił okazał się za słaby — górowało fałsetowe popiskiwanie. Dobrze więc, że już więcej nie myślą, niczego nie wymyślą i nie więcej nie zaplanują, zaprojektują, nie wytyczają sobie celów i nigdy ja mogę, ja chcę, ja powiem, i nigdy nie będą ponadto móc pragnąć. Ci głupcy z ich rozsądkiem i za dużymi głowami, ze swoją logiką, która unicestwiła się, nie ostala się absolutnie bez reszty.

Na cóż zdążył się moje Nie, moje Ja jestem. Ja jestem jeszcze; jej piskot górował, zwyciężył: odeszła! precz, precz! Tak dobrze. Są nieobecni, nie brakuje ich. Ci dobroczyńcy ludzkości mniemali, iż słońce będzie się ociągać, czy wschodzić i zachodzić po ich wyparowaniu, wykrwawieniu, wygaśnięciu lub wyrażeniu się, po



Rys. Günter Grass

szczęściu nieudanego rodzaju człowiek. Wszystko to ani ziębi ni parzy księżyc i gwiazdozbiory. Nawet odpływ i przypływ nie wstrząsnęły oddechu, choć może tu i tam kłębiło się albo szukało nowych brzegów. Cisza oddała. Wraz z ich odejściem zanikł hałas. A czas tymczasem płynął, jakby nigdy nie był liczony i zatrzymany w kalendarzu.

Nie! wykrzyknąłem, to fałsz! i zażądałem natychmiastowego sprostowania: jest teraz, jak przypuszczam, wpół do szóstej rano. Wkrótce po siódmej obudzi mnie budzik, wysunę się z tego diabelnie wygodnego fotela na kółkach, w którym siedzę jak przemocowany i mój dzień — środa, jest środa — zaraz po śniadaniu, nie, po myciu zębów, przed herbata, żłtni chleb, kielbasa, ser, jaja i między tym wszystkim paplająca gazeta — rozpocznę z czystymi zamiarami...

Jednakowoż nie można było jej niczego wyperswadować, przeciwnie jeszcze bardziej się rozszedzia. Popiskiwało mnóstwo miotów, wypełniły obraz. Znowu ten szcuczny żargon: Futsch midde Minscher. Stubbsch Geschemmele nuch! Co by znaczyło: tylko drobny deszczyk, kapuśniaczek i to dobrze, że nie rzucają już cienia

Jedynie ich śmieci, które promieniają, i trucizna, ciekąca z beczek. Nikt by o nich nie wiedział, gdyby nas nie było, popiskiwanie szcucznych miotów i miotów mioty. Teraz, gdy już ich nie ma, można wspominać ich życzliwie, nawet z wyrozumiałością.

Gdy siedziałem jeszcze w fotelu, ponownie odezwała się, wcale nie nagabywana szcuczka: tak, podziwialiśmy ich wyprostowany, pionowy chód, wyprostowaną postawę, arcydzieło wszechczasów. Przez stulecia pod jarzmem, w drodze na szafot, przez całe życie w korytarzach, odprawiani z przedpokoju do przedpokoju; zawsze kroczyli, szli wyprostowani, trzymając się pionu, czasem pochylał się, na czworakach czolgali się rzadko. Godni podziwu dwunożni: w drodze do pracy, na zesłanie, prosiuteńko w śmierć, ochryple śpiewając w ataku, milcząc w odwrocie. Przypominamy sobie tę postawę wyprostowanego człowieka, jak ustawiał kamień na kamieniu budując piramidy, jak spajał Mur Chiński, jak kopał kanały przez malaryczne bagna, jak topniał pod Verdun czy Stalingradem. Trwali murem, nieustępliwi, gdzie zajęli pozycję; i każdy został zastrzelony z wyroku sądu polowego, kto bez rozkazu zrejterował. Często mówiliśmy sobie: w jakiej wpędzą się szaleństwo, ich wyprostowany chód będzie wyrocznią. Osobliwe drogi i manowce; acz maszerowali po nich krok w krok. A owe procesje, pochody, defilady, tańce i wyścigi! Uczymy nasze potomstwo — patrzeć: oto jest człowiek. To go wyróżnia, czyni go pięknym. Stoi godzinami o godzinie w długich kolejach, sam się pochyla i płacze, zhańbiony przez swoich bliźnich albo pod urojonym brzemieniem, które nazywa sumieniem, obciążony przekleństwem karzącego Boga, pod uciskającym krzyżem. Spójrzcie na te zmieniające się wciąż, ruchome kolorowe obrazy o jego niedoli. Wszystko przetrzyma. Po każdym wypadku kroczy wyprostowany dalej, jakby chciał on, człowiek, któremu towarzyszyliśmy zawsze, byliśmy odeń blisko, służyć nam czy być dla nas przykładem. Teraz szcuczka zaprzestania szczeć i piskać, nie używała również swojego żargonu ani nie pluła złością, lecz mówiła do mnie łagodnie, siedziałem jeszcze w fotelu, który unosił się w nieokreślonej przestrzeni, coraz bardziej upodabniając się do siedzenia w statku kosmicznym. Mówiła do mnie przyjacieliu, potem bardziej jeszcze zdrobniale. Spójrz, przyjacielu, już chwycimy pionowy chód. Prostujemy się i wyciągamy nozdrza ku górze. Minie jakiś czas, zanim nauczymy się pionowej postawy człowieka.

Istotnie widziałem pojedyncze szcuchy, widziałem młody, widziałem gromady szcuczów ćwiczące właśnie pionowy chód. Najpierw gdzieś na ziemi niczyjej, pustynnej ogolonej z drzew i krzewów, następnie plac ich ćwiczeń wydał mi się jakiś swojski, nagle znany. Zrazu zobaczyłem, jak szcuchy ćwiczyły dwunożny chód na placach, potem na ulicach między szczytami domów pięknie zwróconymi w kierunku portalu katedry. Wreszcie rozwarło się wysokie sklepienie wnętrza przestronnego gotyckiego kościoła. Szcuchy stały u stóp strzelistych filarów przez kilka zaledwie sekund, aby po krótkim opadnięciu na cztery łapy, znowu się wyprostować. Widziałem stado szcuczów stłoczonych na kamiennej posadzce w środkowej nawie aż do ołtarza, widziałem jak przeciskali się w bocznych nawach ku stopniom bocznych ołtarzy. To nie był kościół Marii w Lubece ani inny nadbałtycki gotyk ceglany, to był bez wątpienia gdański główny kościół Świętej Marii, który nazywa się po polsku Kościół Najświętszej Panny Marii (w oryginale po polsku — S.K.), w nim to stada szcuczów ćwiczyły nową postawę — pionowy chód.

Dobrze, krzyżowałem, jak dobrze! Wszystko przecież stoi na swoim miejscu. Każdy kamień na kamieniu. Nie brakuje żadnego frontonu, nie przesunęła się żadna wieżyczka. Jakż to koniec, szcuczko, kiedy Święta Maria, stara ceglana kwoka, ciągle jeszcze, co wiem, gdaćce?!

Zdawało mi się, jak gdyby uśmiechała się szcuczka. No tak, mój drogi przyjacielu. Wygląda to, jak w albumie, wszystko jak w rzeczywistości. Jest to uzasadnione. Na dzień ostateczny została bowiem przewidziana co szczególne dla miasta Danzig albo dla Gdańska, jak ty chcesz stać nazywać swoją miejscowość: coś, co zostaje odcjęte a jednocześnie jest dane, coś, co bierze żywego, martwym rzeczom natomiast okazuje respekt. Popatrzył tylko: nie runął żaden fronton, nie spadł z wieży żaden hełm. Zdumiewa jeszcze stale, jak każde sklepienie biegnie do zwornika. Krzyżownicy i rozety, trwale piękno! Wszystko oprócz ludzi pozostało nieknięte. Pociągające, że nie tylko śmieci o was świadczą...

Schwytala mnie przy niszczeniu czegoś do chrupania: stłoczone paluszki, włożone do szklanek, wachlarzowato, do brania.

Najpierw jadłem pojedyncze solanki, coraz łapczywiej i szybciej aż do ostatnich, potem niszczyłem wiązkę.

Ta stłona breja! Z pełną buzią upominałem się o więcej, gospodarze mieli w zapasie.

Potem, we śnie, zasięgałem rady, bo, prócz paluszków, wciąż jeszcze byłem żądny niszczenia.

To twoja wścickłość, która namiastką poszukuje w dzień i w nocy namiastki, rzekła szcuczka, śnione przez mnie.

Ale kogo, powiedziałem, pragnę istotnie pojedynczo lub zbiorowo zniszczyć aż do imentu?

Przed wszystkim ciebie, odrzekła szcuczka. Odbiło się samozniszczenie, najpierw tylko prywatnie.

Na morzu robią na drutach. Gdy płyną przy spokojnym morzu lub gdy statek stoi na kotwicy. Ta praca ma głębszy sens. Trzeba to docenić, bo, jeśli robią na drutach, więcej z tego pożytku niż by policzyć szast prast spuszczone oczka. Na przykład: o ile jedynymy są do sprawy, która je jednoczy, o tyle każda każdej gra na posie.

C.D.N.
Przekład:
STANISŁAW KASZYŃSKI

Polemiki • Listy • Opinie

TO SZUKAJ

Spieszę donieść, że w salonie „Sztuki Polskiej” przy ul. Piotrkowskiej wyłożono na wystawie planszę (tylko czarno-biała, pewnie trudności poligraficzne) pod tytułem „365 pozycji na 365 dni”. Przedmiot, czyli materię sprawy bliżej nie opisuję, gdyż nie jesteśmy oseskami.

I dobrze, i słusznie! Nauczanie podstawowe, a później dokształcanie na najwyższym poziomie winno być celem nadrzędnym społeczeństwa i jednostki. I temu hasłu naprzeciw wysła „Sztuka Polska”. Chwała jej za to.

Ale z drugiej strony ogarnął mnie strach. Minęły już prawie dwa miesiące od początku roku — jak to odrobić? Poza tym jeśli 365 dni — to tylko jeden dzień wypoczynku na cztery lata, w rok przestępny... Jak tu sprostać takiemu reżimowi naukowemu? To naprawdę sztuka, którą nie każdy przetrzyma. I pełen tych wątpliwości, kreślę się z poważaniem:

P.S. Planszę widziałem 20 lutego 1986 r.

W.A.

I PO CO BYŁA TA WOJNA?

W nr 34 (11942) „Dziennika Łódzkiego” z 1986.02.10 ukazała się notatka pt. „35 tys. zł za zabicie psa...”. W notatce tej poinformowano Czytelników o epilogu sprawy, która rozpoczęła się 1 czerwca 1985 r. W tym dniu dwóch pracowników przedszkola nr 44 przy ul. Sędziowskiej załkło drewnianymi pałami psa przybiegłego, który często odwiedzał przedszkole nie przejawiając żadnej agresywności wobec dzieci.

O wypadku pisał „Ogłosy” latem 1985 roku. Reportaż wzbudził wiele kontrowersji. Postanowienie Kolegium do Spraw Wykroczeń Urzędu Dzielnicy Łódź — Bałuty w pełni potwierdziło zarzuty stawiane dwóm pracownikom przedszkola.

Zawsze byłem zdania, że aby zabrać głos w jakiegokolwiek sprawie, należy zbadać ją bezstronnie, a nie pomawiać świadków wydarzenia o brzydkie rzeczy (świadek wydarzenia woźna została pomówiona o nalogowy alkoholizm).

MIECZYSLAW KOZAK

BYŁOBY TO DLA NAS BLOGOSŁAWIENSTWEM

W nr 8/86 waszego pisma „Ogłosy” przeczytałem artykuł Dariusza Dorozńskiego pt. „Wynalazcy zawsze mieli trudne życie”, który wzbudził we mnie wielkie nadzieje.

Jestem bowiem inwalidą z częściowym niedowładem prawej nogi. Piechotą poruszam się niezbyt sprawnie, zaś rowerem nie mogę jechać wcale. Natomiast na kupno samochodu mój rentowy budżet nie pozwala. Zauważyłem po przeczytaniu owego artykułu, że opisywany w nim wehikuł byłby dla mnie blogosławienstwem, tym bardziej, że mam 22-letnią córkę, która ma zdrowe nogi, lecz rowerem jeździć nie może z powodu lekkiego zachwiania równowagi. Więc taki 2-osobowy pojazd byłby dla nas nieocenionym dobrodziejstwem.

Szkoda, że brak przedsiębiorstwa, które podjęłoby masową produkcję. W tej sytuacji podaję mi adres konstruktora Mieczysława Kaczmarka abym mógł zamówić ów pojazd lub też w inny sposób pomógł mi skontaktować się z konstruktorem. Sprawa jest dla mnie niezwyklej wagi dlatego też proszę o miarę jak najszybszą odpowiedź, za co z góry serdecznie dziękuję i jestem niezwykle wdzięczny.

JAN SIEDLECKI

OD REDAKCJI: Z listem pana zapoznaliśmy Mieczysława Kaczmarka.

„W OBRONIE ŁÓDZKIEGO NIEBA”

W nr 11 „Ogłosów” ukazał się artykuł Mieczysława Kozaka pt. „W obronie łódzkiego nieba”. W artykule tym znalazłem następujące nieścisłości.

Autor pisze, że przybył do Łodzi 77, 79 i 81 Pułk Art. Płot. oraz 33 Pułk Art. Płot. średniokablowej. W dalszym ciągu gubi 33 Pułk i dociera do Łodzi — według niego 83 Pułk Art. Płot. A 8 lutego 1945 r. dotarł do Łodzi 19 Pułk Artylerii.

Prawda jest taka — były 77, 79, 81 i 83 Pułki art. płot., a przez niedbalstwo pomylono i dodano 33 i 19 — to są fakty historyczne i wymagałyby dbałości o realia. Nie wiem, ile lat ma M. Kozak, ale ja miałem 13 lat i pamiętam ten samolot nad naszym domem (odlatki pocisków podziurawiły dach jak spadoły) i nie widziałem ani nie słyszałem, aby ten samolot Ju 88 — stracono. Z powodu niskiego pułapu chmur — po prostu uciekł. Byłbym wdzięczny M. Kozakowi gdyby podał lokalizację gdzie samolot spadł, gdyż nie podejrzewam o fantazje autora.

A. BORKOWSKI
(Łódź)

WDZIĘCZNOŚĆ

Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy narodem wdzięcznych. Takie przynajmniej odnośnie wrażenie podczas lektury podziękowań zamieszczanych na łamach prasy codziennej. Nie jest ich może tak wiele, ale warto zwrócić uwagę na to ilość, tylko na treść. Tak więc dziękujemy kierowcy autobusu, który to kierowca nie obraża pasażerów „wiązanymi” (ale nie kwiatami), a nawet nie zatrząskuje drzwiami przed nosem spóźnialskich, tylko cierpliwie czeka, aż wszyscy wsiądą. Dziękujemy ekspedientce, która zdołała się na kilka uśmiechów i nawet czasem doradzi kapryśnemu klientowi (choć przecież nie musi, prawda?), a tak-
sówkarz, który zabrał z postoiu matkę z małym dzieckiem poza kolejnością, to prawie kandydat na żywy pomnik żyłości. Swego czasu przeczytałem nawet w warszawskiej prasie podziękowanie dla lekarzy, którzy... wyleczyli swego pacjenta.

Do tej swoistej kolekcji podziękowań brakuje tylko ukłonów dla piekarnika, który wstaje z łóżka jeszcze przed świtem, by upiec nam świeże (choć nie zawsze) bułeczki, dla urzędnika, który przeczyta nasze podanie i nie odprawi nas z kwitkiem, dla listonosza, który zamiast siedzieć przed telewizorem roznosi nam paczki i listy. A tak nawiasem mówiąc, pewien listonosz obsługujący m.in. ulicę Gandzkiego zamiast roznieść listy polecione i paczki notorycznie zostawia w skrzynkach druczek „awizo”, a czasami roznosi korespondencję o drobnej przeterminowanej. Warto też podziękować lekarzom pogotowia, za to że spieszą nam z pomocą.

I znów uwaga na marginesie: 2 marca o godz. 15.05 dyspozytor pogotowia przyjął zgłoszenie. Po dwóch godzinach (!) czytelniczka ponowiła zgłoszenie i wreszcie o 17.30 przyjechała karetka, choć niejako wątpliwości budził stan trzeźwości pielęgniarza wykonującego zastrzyk. Na zwróconą mu uwagę, odpowiedział: „jak się pani nie podoba, mogę zastrzyku nie robić, mnie jest głownie” (tym którzy nie znają niemieckiego, służ tłumaczenia: mnie jest wszystko jedno), może sobie pani wezwać in-
na karetkę”.

Tak więc wdzięczni jesteśmy wszystkim, którzy okazali nam choćby odrobinę dobrej woli. Ale trzeba sobie uświadomić, że wielu adresatów podziękowań jest po prostu zobowiązanych do takiej zaskakującej nas nieraz uprzejmości. Wynika to nie tylko z etyki zawodowej, ale także z normalnego, właściwego trakto-

wania swych obowiązków służbowych. Trudno bowiem przypuszczać, by MPK przyjmując do pracy nowego kierowcę, zalecało mu przytrząskanie głów pasażerom. Natomiast jeśli chodzi o ekspedientki, w szkole handlowej kilka godzin w tygodniu przeznaczają się na naukę kultury obsługi.

Ale to tylko teoria. Praktyka uczy — jeśli wyciągać wnioski na podstawie podziękowań w prasie — że wszyscy kierowcy MPK, to ziośliwe gbury, a jeśli któryś nie wrzeszczy na pasażerów i nie zatrząskuje drzwiami przed nosem, zasługuje na pochwałę. Podobnie gotowi jesteśmy wystawić pomnik sklepowej, która normalnie traktuje swych obowiązków. No właśnie, normalnie. A tymczasem wydaje mi się, że nasz system wartości uległ niebezpiecznej metamorfozie, bowiem to co normalne wydaje się nam ideałem godnym publicznej pochwały, a to co złe wydaje się nam normalne. Na dowód słuszności takiego twierdzenia można przytoczyć interwencje i skargi czytelników. Okazuje się bowiem, że jako naród jesteśmy nie tylko wdzięczni, ale i niezwykle cierpliwi i do zła przyzwyczajeni. Wyprowadzić nas z równowagi mogą tylko prawdziwe kataklizmy, na przykład przez dwa lata nieczynne kaloryfery, od kilku lat przeciekający dach czy wreszcie kilkanaście terminów wyznaczonych na naprawę pralki. Ludzie, nie dajmy się zwariować!

Widząc realne niebezpieczeństwo, że jak tak dalej pójdzie, już niedługo będziemy publicznie dziękować ekspedientce, iż w ogóle coś nam sprzedała, proponuję zaniechać pisanie listów do redakcji z podziękowaniami dla osób, które do uprzejmego traktowania usługobiorców są po prostu zobowiązane. Proponuję też, aby zamiast takich pochwał pisać skargi na tych, którzy w jakikolwiek sposób uchylał swym obowiązkiem, także jeśli chodzi o zawodową uprzejmość. Ha, łatwo mówić... Obawiam się, że jeśli wszyscy skorzystali z mojej rady, w gazetach zabrakłoby miejsca nawet na... tytuł!

JACEK GŁĘBSKI

KTO BY MI ZBADAŁ CIŚNIENIE?

U internisty lecę się prawie od roku. Choruję na nadciśnienie tętnicze i trzustkę. Leczenie prowadzi jeszcze w Spółdzielni Lekarzy Specjalistów w Łodzi. Tam też udam się 13.03.1986 r. O godz. 13.00 w kierunku okazało się, że lekarz, u którego się lecę przebywa na zwolnieniu lekarskim. A wszystkie wizyty do wcześniejszych lekarzy zostały sprzedane. Bardzo bolała mnie głowa. Dostałam zawrót głowy i wymiotów. Postanowiłam wrócić samochodem z postoiu do domu, by nie upaść na ulicy. W domu mama wezwała Pogotowie Ratunkowe, gdyż sama nie byłam w stanie nie zrobić. Pogotowie przyjechało, a w nim Jan Ostowski, który wcale nie dopuścił mnie do głosu. Kazał pielęgniarzowi zrobić zastrzyk z pyralginu. Ciśnienia nie miał kto zbadać. Powiedziałam lekarzowi, że koniecznie jest mi jakiś lek, gdyż boli mnie jeszcze bardzo głowa. Lekarz wpadł w szal i zaraz usłyszałam wiadomość pod swym adresem. Powiedział mi, że jestem wariatem, że moje leczenie to na Aleksandrowskiej w szpitalu psychiatrycznym, gdyż jestem wariatem groźnym, że on mi zaraz może dać tam skierowanie. Ubiłania tego było więcej, słuchały też osoby w drugim pokoju. Pragnę nadmienić, że ostatnie moje ciśnienie wynosiło 190 na 110 a wcześniej 240 na 140, wszystko to jest notowane i w moim posiadaniu. Po tej wizycie byłam prawie nieprzytomna, rodzina poszła szukać lekarza, który by dał lek przeciw nadciśnieniu. Dziś czuję się lepiej i zadaję sobie pytanie, co by się stało, gdybym się nie leczyła prywatnie, kto by mi pomógł? Kto by zbadał ciśnienie? Mnie z pewnością na rejonie wizyty by drożej wyniosły jak wizyta u profesora w Spółdzielni Lekarzy Specjalistów.

HENRYKA BINKOWSKA
(Aleksandrow Łódzki)

XXVIII ŁÓDZKA WIOSNA POETÓW

Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Łodzi oraz Instytut Wydawniczy PAX ogłaszają po raz dwudziesty ósmy ogólnopolski konkurs poetycki — na wiersze o tematyce religijnej i do-wolnej.

W konkursie mogą wziąć udział zarówno poeci zrzeszeni, jak też i niezrzeszeni w związkach twórczych. Trzy utwory nigdzie dotąd nie publikowane, pisane językiem literackim, opatrzone godłem, w pięciu egzemplarzach maszynopisu wraz z kopertą zawierającą imię, nazwisko oraz dokładny adres autora, należy nadesłać do dnia 1 maja 1986 r. pod adresem: Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX, 90-417 Łódź, ul. Piotrkowska 49.

Nadesłane na konkurs utwory nie będą zwracane. O przyznaniu nagród i wyróżnień zdecydować jury w składzie: prof. dr Stefania Skwarczyńska, Stefan Jurkowski, Jan Koprowski, Zygmunt Lichniak, Zdzisław Łączkowski, dr Henryk Pustkowski.

Uroczystość wręczenia nagród i wyróżnień odbędzie się w niedzielę 15 czerwca 1986 r. o godz. 11 w lokalu Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia PAX w Łodzi.

REGULAMIN KONKURSU

Cele konkursu

Z okazji Dni Oświaty, Kultury, Książki i Prasy, Centrum Kultury Młodych w Łodzi proponuje wszystkim uczniom szkół średnich sprawdzenie swoich umiejętności w różnych, w tym także trudnych, formach prozatorskich.

Celem konkursu jest pobudzenie wrażliwości twórczej młodych ludzi, uczniów szkół ponadpodstawowych różnych typów oraz zapewnienie im szansy samorealizacji przy pomocy profesjonalnych środków przekazu artystycznego. Mamy również nadzieję, iż autorzy zainteresowani naszym konkursem zechcą podjąć z nami ściślejszą współpracę w ramach tworzonej przy Centrum „Najmłodszej Grupy Literackiej”.

Warunki konkursu

1. Na konkurs należy nadesłać opowiadanie o objętości do 10 stron maszynopisu lub scenariusz o objętości do 15 stron, o tematyce dowolnej.
2. W konkursie mogą wziąć udział tylko autorzy zamieszkał lub uczący się na terenie województwa łódzkiego.
3. Nadesłane prace nie mogą być uprzednio publikowane, jak również nagradzane, z wyjątkiem realizacji, dokonanych w szkole (kabarety uczniowskie, gazetki szkolne, szkolne amatorskie koła teatralne i filmowe, radiowęzły uczniowskie).
4. Prace należy oznaczyć imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia, podać pełną nazwę i adres szkoły i przesłać w 4 egz. maszynopisu pod adresem: Centrum Kultury Młodych w Łodzi, kod 93-578, ul. Wróblewskiego 28/30 z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki uczniów”.
5. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30.04.1986 r. (decyduje data stempla pocztowego).
6. Nagrodą będzie realizacja najlepszych prac przez zawodowy teatr, kabaret, rozgłośnie PR, ośrodek telewizyjny lub zespół filmowy — w zależności od charakteru i przeznaczenia tekstu. Jury przyzna dodatkowo po 1 nagrodzie pieniężnej w kategorii opowiadań i w kategorii scenariuszy.
7. Autor najlepszego nagrodzonego tekstu w kategorii opowia-

dań będzie miał zapewniony debiut prozatorski w serii wydawniczej „Biblioteki Centrum Młodych” w roku 1986.

8. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju br. w ramach Dni Oświaty, Kultury, Książki i Prasy. O terminie rozstrzygnięcia konkursu organizatorzy powiadomią za pośrednictwem prasy. Autorzy prac nagrodzonych otrzymają powiadomienia listowne wraz z zaproszeniem na imprezę literacką, na której podane zostaną wyniki konkursu.

9. Dodatkowych informacji udziela Komisarz Konkursu, Henryk Zasławski, CKM, ul. Wróblewskiego 28/30, tel. 84-24-02 w każdy piątek, godz. 10-14.

„CZŁOWIEK I PRACA”

Bełchatowskie Zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil” w Rogowcu, przy współudziale KWB „Bełchatów”, Elektrowni „Bełchatów”, Stowarzyszenia PAX — oddz. woj. w Piotrkowie Tryb., Wydziału Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki UM w Bełchatowie i Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Piotrkowie Tryb., organizują konkurs literacki pt. „Człowiek i praca”.

1. Cele konkursu: — uzyskanie wartościowych prac związanych tematycznie z człowiekiem i wykonywaną przez niego pracą, popieranie i inspirowanie ambitnej twórczości, zwrócenie uwagi na twórczość artystyczną, jako dziedzinę ludzkiego działania, mającą wpływ na kształtowanie się głęboko humanistycznych postaw równoznacznych z aktywnym uczestnictwem w życiu publicznym najbliższego środowiska i kraju.

Organizatorzy oczekują zwłaszcza na utwory ukazujące wychowawczą funkcję pracy i jej pozytywny wpływ na stosunki międzyludzkie w miejscu pracy i jak i poza nim. Organizatorom zależy też na wierszach, opowiadaniach i reportażach przedstawiających negatywne aspekty wytwórczej działalności człowieka, deprecjonując rolę i miejsce pracy w życiu człowieka. Prace powinny mieć odniesienie do aktualnej sytuacji społeczno-ekonomicznej i w sposób artystyczny przedstawiać rzeczywistość lat osiemdziesiątych.

2. Warunki udziału w konkursie: uczestnikiem konkursu może być każdy, kto w nieprzekraczalnym terminie do 5 maja 1986 r. nadesłanie pracę w trzech egzemplarzach maszynopisu. Do konkursu należy zgłaszać utwory dotychczas nie publikowane i nie nagradzane, opatrzone godłem wraz z dołączoną kopertą oznaczoną tym samym godłem i zawierającą imię, nazwisko oraz dokładny adres autora. Koperta powinna być zaklejona. Prace należy nadsyłać pod adresem: Bełchatowskie Zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil”, 97-460 Bełchatów 5, z dopiskiem „Konkurs literacki”.

Konkurs będzie rozgrywany w dwóch działach: poezji i prozy. W dziale poezji należy nadesłać maksimum 3 wiersze. W dziale prozy (opowiadanie lub reportaż) przyjmowane będą prace o objętości do 12 stron maszynopisu.

3. Nagrody: dział poezji: I nagroda — 10 tys. zł, II nagroda — 7 tys. zł, III nagroda — 4 tys. zł, oraz 3 wyróżnienia po 2 tys. zł. Dział prozy: I nagroda — 15 tys. zł, II nagroda — 10 tys. zł, III nagroda — 5 tys. zł oraz 3 wyróżnienia po 3 tys. zł.

Ponadto przyznana będzie nagroda BOP w wysokości 20 tys. zł za najlepszą pracę podejmującą temat związany z Bełchatowskim Okręgiem Przemysłowym. Nagroda ta będzie przyznana niezależnie od innych nagród i wyróżnień.

4. Ocena utworów: Jury, którego skład podany zostanie w terminie późniejszym, dokona oceny nadesłanych prac do końca maja 1986 r. Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród i wyróżnień nastąpi w czerwcu 1986 r. w „Dniu Chemika”.

5. Postanowienia końcowe. W zależności od jakości utworów jury może nagrody podzielić inaczej. Wszystkie prace nadesłane na konkurs przechodzą na własność organizatora i nie będą zwracane. Organizator zastrzega sobie prawo ich publikowania.

PRZEWIJANIE, NAWIJANIE...

Pod koniec 1984 roku spacerując po osiedlu zauważyłem w oknie na I piętrze spółdzielczego bloku mieszkalnego przy ul. S... niezwykle sztyd rzucający się w oczy: „PRUCIE DZIANIN, PRZEWIJANIE PRZEDZY, MGR. INŻ. L. J.”.

Szyld, jaki każdy rzemieślnik posiada, prowadząc usługi dla ludności i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego gdyby... nie należał do znanego swego czasu działacza społecznego, przewodniczącego Rady Osiedlowej, gdyby usługi były znaczące dla mieszkańców osiedla i gdyby prowadził je człowiek mniej znaczący dla naszej gospodarki narodowej, sterany życiem lub kalektem jakimś tam inwalida. Ale mamy do czynienia ze zdolnym, energicznym, młodym, wykształconym człowiekiem, który ucieka z przemysłu w prywatę.

Nie pierwszy i nie ostatni przypadek, gdzie mamy do czynienia z ucieczką ludzi wykształconych za nasze ciężko zapracowane pieniądze, którzy z biegiem czasu się wykurszają, ulegają swoistej alienacji zawodowej. Mamy bodaj największą liczbę wykształconych kadr pod względem technicznym i najmniejsze osiągnięcia z grupy krajów RWP.

Pana L. J. poznałem na jednym zebraniu grup spółdzielczych bodaj w kilka miesięcy po osiedleniu się w nowym osiedlu na wrocławskim osiedlu. Ludzie niechętnie uczestniczą w zebraniach, z których de facto absolutnie nic nie wynika. Tak było i tym razem. Na około 800 członków zaproszonych na zebranie grupy środowiskowej spółdzielców, zjawili się zaledwie kilkanaście osób, z których zostali wybrani kandydaci do Rady Osiedla. Między innymi i pan L. J. Po ukonstytuowaniu się Zarządu został jego przewodniczącym. W czasie kadencji starał się, jak tylko mógł by wszystkie słuszne wnioski i postulaty mieszkańców były pomijane w dyskusji na posiedzeniach Rady Osiedla. Posiedzenia i spotkania, oczywiście odbywały się zgodnie z harmonogramem, lecz niewiele było z nich pożytku. Nie załatwione w porę problemy i sprawy wracały niczym bumerang. Mimo wszystko pan L. J. wytrzymał do końca kadencji, ba nawet otrzymał odznaczenie za działalność społeczną w Radzie Osiedla. Wyśiadł na odpowiednim przystanku... i otworzył usługi dla ludności.

Cóż, można i tak. Nieważne, że kraj potrzebuje wykształconych, energicznych fachowców z wyższym wykształceniem, szczególnie w branży włókienniczej. Każda para rąk liczy się na wagę złota. I wydaje mi się nieco dziwne i problematyczne z punktu społecznego widzenia, jeśli znany społecznik na całym osiedlu raptem rezygnuje z pracy zawodowej i ucieka w prywatną inicjatywę.

Nie jestem upoważniony do wyciągania opinii i wniosków. Niby wszystko w porządku: każdy robi to, na co ma ochotę i co mu się aktualnie opłaca. Przecież pracuje... Grunt to właściwie wy-czuć koniunkturę danego okresu, wszakże istnieje zielone światło dla handlu prywatnego i usług. Dlaczego nie można skorzystać?

JAN WIŚNIEWSKI

REDAKCJA PRZEPRASZA

czytelników i STANISŁAWA KASZYŃSKIEGO za pominięcie w poprzednich „Ogłosach” jego nazwiska jako autora przekładu fragmentów „Szczerzycy” Güntera Grassa, a także TOMASZA KUBIKI, autora noty pt. „Podatek od rzemiosła”, za pomyłkę w jego nazwisku.

Filozofia i koncepcje społeczne oraz polityczne Muammara al-Kaddafiego są w zasadzie mało znane, a często poprzez uproszczenia deformowane lub odbierane w zniekształconej formie. Sama osobowość przywódcy libijskiego kształtowała się w szczególnie skomplikowanej sytuacji.

PRZYSZŁY PRZYWÓDCA

młodego państwa libijskiego urodził się w 1941 r. w plemieniu o starych tradycjach rodowych, zamieszkującym obszary położone nad Zatoką Syrta. Młody al-Kaddafi uczęszczał do tradycyjnej szkoły, gdzie uczono czytania i recytowania Koranu, a jednocześnie chłoniąc wiadomości płynące z nadawanych przez kairską radiostację Sawt al-Arab (Głos Arabów).

Młody człowiek marzył o jednym, wielkim, silnym i zespólnym narodzie, o którym dowiadywał się z kart historii, a radio mu mówiło, że ten wspaniały naród jest podzielony i zdominowany przez obce potężne siły. Radio donosiło, że świat arabski jest podzielony, ponieważ został skolonizowany i rozczłonkowany przez wielkie mocarstwa, a ponadto powstałe nowoczesne państwa dodatkowo sięja waśnie i niezgodę zamiast łączyć i jednoczyć. Kraje arabskie są zdominowane przez obce potęgi, ponieważ naród arabski nie może mówić swoim własnym językiem, gdyż jest biedny, a jest biedny, bo grabią jego bogactwo — ropę naftową.

JAN ZASTOMAR

Muammar al-Kaddafi i filozofia narodu

Obcy są prawdziwymi panami arabskiej ojczyzny, ponieważ reakcyjne rządy są uległe i sprzedające. Naród arabski został zdemoralizowany, ponieważ poniósł dotkliwą klęskę od kolonializmu, tej siły która wszczepiła w świat arabski potężne państwo hebrajskie.

W LIBII

dla młodego al-Kaddafiego sytuacja przedstawiała się jeszcze gorzej. Stary król Idris as-Sanussi, który panował nad Libią od 1951 r. pozostał człowiekiem lat czterdziestych. Związany z anglosaksońskimi sojusznikami, którzy wypędzili z Libii włoskich kolonizatorów oraz zapewnili mu wsparcie i pomoc w zamian za polityczne koncesje, a zwłaszcza za bazy wojskowe Wheelus Field i Tobruk, nie rozumiał później sytuacji, w jakiej znalazł się świat arabski, konfliktu palestyńskiego ani też naseryzmu jako rodzajów się nowych zjawisk, a tym mniej pojmował rozmiary ich zasięgu.

Odkrycie i rozpoczęcie eksploatacji dużych złóż naftowych uzależniało Libię od kompanii naftowych, które wprowadziły do kraju konsumpcyjną ekonomię kapitalistyczną, opartą na innych tradycjach i wartościach kulturowych. Plemienne społeczeństwo libijskie, którego cierpienia i niedole w ciągu długiej historii osiągnęły swoje apogeum podczas walk i okupacji włoskiej (1911—1942), przyjęło bez oporów okupację angielską (1942—1951). Po uzyskaniu niepodległości poparło ono niekwestionowaną i niezmienną władzę religijno-swiecką króla Idrisa as-Sanussi, symbolizującego narodowe tradycje i ideały. Społeczeństwo to zostało jednakże „podminowane” od wewnątrz przez wprowadzenie nowych, bardzo kuszących wartości, a mianowicie kapitalistycznych form gospodarki, opartej na pieniądzu.

Tradycyjne stosunki społeczne oparte na prestiżu religijnym, autorytecie przywódcy szczepu lub głowy rodziny, zerwały się z nowymi formami wartości społecznych. Te nowe wartości to przede wszystkim przyjęcie wzorów europejskich opartych na bogactwie i pieniądzu uzyskanym z eksploatacji ropy naftowej. W ten sposób zrodziła się nowa grupa społeczna, która przekształciła się w klasę średnią libijskich urzędników, policjantów, żołnierzy, nauczycieli i kupców. Ta nowa klasa, powstała szybko i szybko zaczęła oddziaływać na całe społeczeństwo, zwłaszcza że importowane dobra, tj. przedmioty codziennego użytku, sprzyjały upowszechnianiu nowych wzorów. To właśnie ta klasa była najbardziej otwarta na nowe idee i hasła głoszone przez naseryzm.

Trzeba też zwrócić uwagę na jeszcze jeden — bardzo ważny czynnik, który wpłynął poważnie na przemiany w społeczeństwie libijskim. Tym czynnikiem było gwałtowne zanikanie rolnictwa, ponieważ chłopstwo zostało najbardziej dotknięte w wyniku przemian gospodarczych. Można powiedzieć, że odkrycie i rozpoczęcie eksploatacji ropy naftowej było najdotkliwszym ciosem dla rolnictwa libijskiego. Chłopi zaczęli rezygnować z uprawy roli szukając łatwiejszych sposobów na zapewnienie sobie egzystencji. W ten sposób zostali wykorzeni z swojego tradycyjnego środowiska, najczęściej pozostając bez pracy, bez mieszkan, bez zawodu, a w konsekwencji i bez środków do życia. Ludzie ci stworzyli nowe skupiska biedy miejskiej, pozbawionej perspektyw rozwiązania problemu swojej nędzy.

W takiej sytuacji społecznej młodzi, kształcący się Libijczycy coraz bardziej patrzyli krytycznie na rządy króla Idrisa, który w ich oczach był tylko marionetką w rękach konserwatywnej oligarchii i obcych sił imperialistycznych. Libia była tylko krajem obcych baz, które służyły zagranicznym, nie narodowym i arabskim celom. Znalazło to potwierdzenie w 1967 r., kiedy to samoloty izraelskie zaatakowały Egipt od granic libijskich.

Takie opinie i nastroje panowały w Libii w 1969 r., kiedy

AL-KADDAFI PRZEJMUJE W SVOJE RĘCE WŁADZĘ.

Przeważająca większość społeczeństwa przyjęła tę zmianę z obawami prawdziwej radości. Przez kraj przeszła fala manifestacji, które były wyrazem poparcia dla nowych władz. Przemiany polityczne obudziły ogromne nadzieje na poprawę losu wśród najbardziej biednych, na umożliwienie wyeliminowania obcych wpływów, na realizację jedności arabskiej. W wielkim skrócie można powiedzieć, że naród zaufał al-Kaddafiemu. I to zaufanie stało się źródłem natchnienia i wszystkich poczyną przywódcy libijskiego.

Sprawy narodu i społeczeństwa stały się jego pasją, która przejawia się w jego filozoficznym wykładzie w „Zielonej Książce” we wstępie do III części poświęconej rozwiązaniu kwestii społecznej. Al-Kaddafi uważa, że motorem ludzkiej historii jest czynnik społeczny, czyli narodowy, a bohaterami dzieł są jednostki poświęcające się dla jakiejś sprawy, dla dobra innych. Ci inni to są ludzie, z którymi łączy bohatera jakiś związek, związek przynależności do danej wspólnej grupy mającej poczucie takiej przynależności społecznej i narodowej. Stąd wniosek al-Kaddafiego, że związek między jednostką a grupą jest związkiem społecznym, a jednocześnie związek społeczny jest także związkiem narodowym. Do tego, aby istniał naród musi także istnieć poczucie narodowe.

Do takich wniosków al-Kaddafi dochodził stopniowo, drogą ewolucyjną. W początkowym okresie swojej działalności politycznej pułkownik przemawiał często i mówił bardzo długo. Analizując teksty jego przemówień można zauważyć, że wielką wagę przywiązuje on do tego, aby wypowiedziane słowa były zrozumiane przez wszystkich słuchaczy. Stąd te częste powtórzenia i dokładne tłumaczenia sensu słów wypowiedzianych wcześniej. Jeśli więc jest mowa o narodzie, to zagadnienie to przewija się na wielu stronach „Zielonej Książki”, chociaż jest już to tekst, który był poddawany wielokrotnym obróbkom. Autor wprawdzie daje dość jasną definicję narodu, formułując ją po długich wywodach wyjaśniających, ale wraca do tego zagadnienia później wielokrotnie, dając dodatkowe uzupełniające tłumaczenia. Trzeba tutaj chyba zaznaczyć, że

„ZIELONA KSIĄŻKA”

jest to w wiele mniejszym stopniu niż to powszechnie się sądzi, szczegółowym, doktrynalnym wyłożeniem teorii, a w dużo większej mierze szerokim uogólnieniem wynikającym z przemysłu i doświadczeń autora. Można to dopiero prześledzić na podstawie porównań tekstów jego przemówień z tekstem „Zielonej Książki”. Teksty wygłaszane przedstawiają idee w kilkadziesiąt razy dłuższej formie niż te same myśli, które przedstawiane są w skondensowanej formie w „Zielonej Książce”.

Al-Kaddafi podczas spotkania z aktywnym Arabskiego Związku Socjalistycznego w Kairze 8 lutego 1973 r. przedstawił swoim słuchaczom zagadnienia związane z religią i nacjonalizmem.

„Religia i nacjonalizm — mówił pułkownik — jak potwierdza historia i badania nad dziejami człowieka teraz i w przeszłości, zawsze uprawiały historię w ruch, uprawiały w ruch człowieka, tworzyły narody, tworzyły ludy, wytyczały granice, wznosiły wojny. Wszystkie wielkie przemiany historyczne i w ogóle przemiany historyczne spowodowane były przez religię i nacjonalizm. Religia i nacjonalizm tworzyły historię i uprawiały ją w ruch. Gdybyśmy położyli przed sobą mapę świata i przyjrzyli się znajdującym się na niej jednostkom politycznym, okazałoby się, że powstały one wskutek religijnych i narodowościowych przyczyn. Ten naród, który wylonił się na tej mapie i nazwalimy go na-

rodem lub ludem, ma wspólne cechy narodowe. Jest to naród (qawm), jeden spośród wielu. Przyjął jedną z form, które nazywają królestwem, republiką lub imperium”.

Kontynuując dalej pułkownik al-Kaddafi mówił, że człowiek zawsze potrzebował religii. Człowiek jest tworem religijnym, który nie został stworzony przez przypadek. Religia była więc czynnikiem podobnym do czynnika narodowego. Czasem przenikały się one, czasem występowały jedynie jako czynnik narodowy, a niekiedy czynnik narodowo-religijny. Wiele dowodów potwierdza, że historię uprawiają w ruch religia i nacjonalizm. Istnieje dziś wspólnota polityczna, które nazywamy państwami nie powstałaby bez religijnej lub narodowej podstawy. Dzięki ich ruchowi powstały te jednostki. Gdyby nie to, świat byłby w stanie chaosu.

Jednakże zagadnienia religijne zostały wyeliminowane z „Zielonej Książki”. Al-Kaddafi często powoływał się i przytaczał cytaty z Koranu w swoich przemówieniach. Natomiast w „Zielonej Książce” wszystkie akcenty muzułmańskie zostały wyeliminowane. Jedynie w rozdziale poświęconym „Oświeceniu” al-Kaddafi mówi, że „społeczeństwa zakazujące nauczania wiedzy religijnej są społeczeństwami reakcyjnymi, sprzyjającymi ciemności, wrogimi wolności”. Potępia także zakazy nauczania religii oraz nietolerancję religijną. Prawdopodobnie wynikało to z chęci uczynienia tej pracy dziełem bardziej uniwersalistycznym.

Al-Kaddafi wskazuje na to, że czynnik narodowy jest w zasadzie czynnikiem społecznym i jako taki jest on idealnie zgodny z siłami, które napędzają historię. Z tego też powodu precyzuje on szczegółowo niezbędne warunki, jakie spełniać winien taki czynnik społeczny. Tak więc nikt nie może zaprzeczyć, że rodzina pojawiła się w toku rozwoju historycznego dużo wcześniej, przed powstaniem systemu państw narodowych. Jak mówi al-Kaddafi: „Rodzina jest dla człowieka czymś ważniejszym od państwa. Ludzkość składa się z jednostek, a każda jednostka wie, co zna, czy dla niej rodzina. Jest to jej kolebka, miejsce wzrastania oraz społeczna ostona”.

Od tych stwierdzeń autor „Zielonej Książki” przechodzi do dyskusji nad plemieniem i w specjalnym rozdziale zatytułowanym „Plemię”, czytamy że: „Plemię jest wielką rozbudowaną wskutek prokreacji rodziną”.

Mówiąc prościej, zwyczajny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że stwierdzenia takie wydają się podkreślać prawdy oczywiste. Jednakże, z chwilą gdy zrozumie się rolę czynnika nacjonalistycznego w myśli al-Kaddafiego, sprawa nabiera ważkiego znaczenia; zwłaszcza kiedy mówi on, że „czynnik narodowy jest siłą napędową historii ludzkości”. Zaznaczyć trzeba, że nie ma on na myśli tylko współczesnej historii.

CZYNNIK NARODOWY

według „Zielonej Książki”, jest wynikiem historii i ewolucji, począwszy od małej komórki ludzkiej, to jest rodziny, poprzez rozwój plemienia i w końcu narodu. Można by pod pewnym względem sądzić, że dokonał on istotnego w naukach społecznych odkrycia „czynnika narodowego”. Zacytujmy tu jeszcze raz jego własne słowa: „Wzrost człowieka prawda historyczna jest prawdą społeczną. Oznacza to, że walka narodowa, walka społeczna jest podstawą rozwoju ludzkości, ponieważ jest ona silniejsza od wszystkich innych czynników. A siła jej polega na tym, że stanowi ona sam rdzeń natury społeczności ludzkiej, natury narodu, natury samego życia”.

Z powyższych stwierdzeń można by wyciągnąć wniosek, że pułkownik al-Kaddafi traktuje obecny wiek jako fazę nacjonalizmu, który działa jako czynnik osiągnięcia postępu historycznego. Jest to najbardziej widocznym i konkretnym kierunkiem koncepcji Muammara al-Kaddafiego. Jednakże, gdyby potraktować „Zieloną Książkę” nieco inaczej, a mianowicie porównać przemówienia pułkownika, zawarte w jedenastu tomach o objętości od 700 do 1300 stron (As-Sidzil al-qawmi — Narodowy rejestr) z ideami zawartymi w omawianej pracy, to można także dojść do wniosku, że autor powoli zmieniał koncepcję swego dzieła w miarę upływu czasu. Po wnikliwej analizie można wyróżnić kilka okresów w rozwoju myśli pułkownika al-Kaddafiego. Pierwszy okres, który można nazwać naseryzmem obejmuje lata 1969—1973. Drugi, który można by nazwać przejściowym, a rozpoczynającym rewolucję ludową, zainaugurowany plemiennym przemówieniem w Zuara w 1973 r., a kończący się w 1976 r., kiedy to naszkicowane zostały tezy I-jej części „Zielonej Książki”. Jest to okres ciągłego inspirowania przez naseryzm, zwłaszcza zagadnień związanych z polityką międzynarodową. Trzeci okres zaczął się w 1977 r. wraz z zapoczątkowaniem publikowania „Zielonej Książki” i podjęcia dyskusji nad problemami nowej struktury państwowej oraz przyszłego kształtu gospodarki i społecznego ładu.

W KRAJACH ROZWIJAJĄCYCH SIĘ

koncepcje polityczne, gospodarcze i społeczne Muammara al-Kaddafiego budzą dość szerokie zainteresowanie. Przeludniony i biedny Trzeci Świat poszukuje gorączkowo dróg wyjścia z trudnej sytuacji i to zarówno materialnej jak i duchowej. Trzecia Teoria Światowa Muammara al-Kaddafiego jest więc pilnie studiowana przez młodzież świata uboższego, świata poszukującego nadziei i dróg wyjścia z trudnej sytuacji. A ponieważ idee głoszone przez przywódcę libijskiego są bardzo młode i dość śmiałe, to tym samym przyciągają swoim urokiem młodzież krajów rozwijających się. Młodzież wielu krajów Trzeciego Świata jest zafascynowana osobą pułkownika al-Kaddafiego, który od pierwszych lat objęcia władzy w Libii spełnia podwójną rolę: twórcy rewolucyjnej teorii i przywódcy politycznego. Jako teoretyk szuka on możliwości prowadzenia dialogu z intelektualistami całego świata, a swoje przemówienia i dzieła pisane stara się rozpowszechniać na całym świecie, poprzez tłumaczenia na wiele obcych języków.

Libia po trzech latach

Rozmowa z PAWŁEM DYKTYŃSKIM, dyrektorem Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi.

— Chciałabym przypomnieć, że jest pan generalnym wykonawcą kontraktu, jaki podpisały odpowiednie władze libijskie, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej i PHZ „Pol-service”, a który dotyczy obsługi medycznej szpitala w Zatoce w Libii. Z tej też racji był pan niedawno w Libii

— Tak, to prawda. Byłem w Libii w składzie delegacji Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz PHZ „Pol-service”. Interesowaliśmy się głównie kontraktami, jakie zawarte zostały między Polską a Libią w sprawie pracy polskich lekarzy i pielęgniarek w libijskich szpitalach. Ale od tego czasu upłynęło już sporo tygodni. Nie można więc powiedzieć, że byłem niedawno.

— Był pan w każdym razie już w trakcie trwania konfliktu między USA a Libią, choć przed ostatnimi manewrami VI Floty USA, które doprowadziły do zbrojnych starć.

— To już jest określenie bardziej precyzyjne. Jak pamiętamy, prezydent Ronald Reagan zerwał stosunki z Libią 7 stycznia 1986 roku, zażądał też, aby wszyscy Amerykanie, którzy pracowali w Libii, opuścili ten kraj, a także ogłosił blokadę gospodarczą Libii. Restrykcje podobne do tych, jakie swego czasu zastosował wobec Polski.

Warto może także przypomnieć, że manewry u wybrzeży Libii z końca marca 1986 roku nie były jedynymi i pierwszymi. Podobne manewry odbyły się pod koniec stycznia i w połowie lutego 1986 roku. A od 1981 roku USA już 18 razy organizowały manewry floty i lotnictwa u libijskich wybrzeży.

— Czy flota USA pływająca w pobliżu wybrzeży i Zatoki Wielkiej Syrty, blokada gospodarcza, restrykcje wywarły jakiś widoczny wpływ na życie w Libii?

— Jak było teraz, nie wiem. Wystrzelono przecież rakietę, zatopiono okręt patrolowy Libii, były ofiary. To z pewnością wpłynęło również i na nastroje, i na obraz życia. Proszę spojrzeć na mapę Libii. Zdecydowana większość miast skupia się w pobliżu brzegów Zatoki Wielkiej Syrty, jak i nad samym Morzem Śródziemnym. Stolica Trypolis — po arabsku Tarabulus al-Gharb, podobnie jak Benghazi i Tobruk, leżą nad morzem, są to jednocześnie porty morskie. Trudno sobie wyobrazić, aby zagrożenie idące z morza nie wpłynęło w jakiś sposób na życie libijskich miast.

W tym czasie, kiedy ja tam byłem, sytuacja była inna. Oczywiście, zagrożenie istniało. Libia była pod presją wroga jej propagandy zachodniej, ale życie toczyło się normalnie, choć może nie było tak bujne jak dawniej.

— Wypada przypomnieć Czytelnikom, że poprzednio był pan w Libii w drugiej połowie 1983 roku i po powrocie udzielił pan wywiadu „Odgłosom”. Jeszcze do tych spraw powrócimy. Teraz chciałabym prosić o krótką charakterystykę tego, co widział pan na ulicach libijskich miast.

— To są wrażenia dość powierzchowne. Na ulicy był spokój, żadnego szczególnego podniecenia, niepokoju. Wojska prawie wcale nie widziałem. Czasem pokazywano wojsko w telewizji. Ale komentarz był po arabsku, więc trudno powiedzieć, o co chodziło.

W telewizji zauważyłem natomiast bardzo ciekawą rzecz — sposób, w jaki przedstawia

się kraje różnie ustosunkowane do Libii. Wszystkie, które są negatywnie nastawione rysowane są w kolorze... czarnym. Oczywiście USA, Egipt. Ale już na przykład Wielka Brytania nie jest cała czarna, bo Szkocja jest w kolorze białym. Kraje, których stosunek do Libii jest neutralny, bądź które mają jakieś wewnętrzne kłopoty, przedstawione są pasiasto.

— A co oznacza kolor biały?

— Przyjacielski, pozytywny stosunek do Libii. Polska jest oczywiście biała.

Restrykcje i blokada wpłynęły oczywiście na stan zaopatrzenia sklepów. Już nie jest tak kolorowo i przepysznie. To zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że Libia ma kłopoty z rolnictwem, choć w północnej jej części ziemia jest wspaniała. Wystarczy kij wsadzić w ziemię i go podewać, a nieuchronnie coś z niego wyrośnie. Ale rozwój przemysłu naftowego i innych spowodował ucieczkę ze wsi. Dziś buduje się piękne domki i przydziela się rodzinom tych, którzy chcieli uprawiać ziemię. I to powoli daje rezultaty.

Dla mnie czymś szokującym były stragany pełne worków pomarańcz, cytryn i mandarynek. Taki worki waży 7 kg. I jest to najmniejsza opakowanie. Worki pomarańcz kosztuje 1 dinara. Taniej niż kartofle czy warzywa. Zresztą wiele artykułów żywnościowych Libia musi sprowadzać z zagranicy.

— Czy w stosunku do cudzoziemców daje się odczuć zmianę nastawienia?

— Trudno mi mówić o wszystkich. Przecież tam pracują ludzie różnych narodowości. Są Hindusi, Pakistańczycy, Węgrzy, Niemcy z NRD i wielu innych.

— Jaki zatem jest stosunek do Polaków?

— Do Polaków pracujących w libijskiej służbie zdrowia stosunek jest bardzo dobry. Proszę pamiętać, że Polacy pracują już tam od dawna, zdobyli sobie uznanie i zaufanie gospodarzy i pacjentów swojej pracy. Dowodem tego jest fakt, że Libia chce rozszerzyć kontrakty z Polską, a my zawarliśmy umowy do 1990 roku, z tym, że w 1988 roku roddamy rewizji warunki, na jakich zostały zawarte. Jest to uzgodnione z Libijczykami.

Ponieważ co jakiś czas dokonuje się wymiany pracujących tam personelu, wprawdzie w małej części, to nowi ludzie mają kłopoty z adaptacją. Ale teraz już i tak jest lepiej niż było, gdy większość była nowa. Ci starsi uczyli nowych i pomagali im zaadaptować się do zupełnie innych warunków kulturalnych i obyczajowych.

— Co mógłby pan powiedzieć o libijskiej służbie zdrowia?

— Same dobre rzeczy. Libijczycy z dużym rozmachem zbudowali nowe szpitale. Starają się ściągnąć do nich dobrze wyszkolonych lekarzy. Ci lekarze uczą przecież ich personel. Nasi lekarze pracują w takich ośrodkach szkolenia w Tripolisie i Benghazi. Poza tym w szpitalach pracują obok cudzoziemców miejscowi lekarze i miejscowe pielęgniarki. Mają więc okazję też się uczyć.

— Czy to są szpitale, w których na przykład pracują tylko Polacy i Libijczycy, czy są też szpitale innych narodowości?

— Załogi szpitali są na ogół mieszane. Tylko w Darnie pracują Polacy i Libijczycy.

Poza tym Libia tworzy silne centra medyczne. Jest już między innymi centrum neurochirurgii, szpitali nerki, a tworzy się centrum klatki piersiowej. Do takiego centrum ściga się najlepszych specjalistów i najdoskonalszy sprzęt. Libia nie oszczędza na służbę zdrowia. Chociaż ostatnio wprowadzono niewielką opłatę za leki, które do tej pory były bezpłatne. Sądzę, że słusznie zrobiono.

— Czy leków brakuje?

— Nie. Jest wszystko, co potrzeba.

— Na co Libijczycy przede wszystkim chorują? Czy można to porównać ze stanem zdrowia Europejczyków?

— I tak, i nie. Rozpowszechniona jest tam jaglica. Nie umiem powiedzieć, skąd się tam ta choroba bierze w takiej skali. Dla naszych lekarzy to raczej rzadkość. Często są tam choroby nerek i stąd centrum sztucznej nerki i znakomite urządzenia do dializy. Jest sporo różnych zwyrodnień narządów. Są choroby układu krążenia i nowotwory, ale nie w takiej skali jak u nas czy w innych krajach Europy. A poza tym wszelkiego rodzaju urazy.

— Skutek szybkiej jazdy samochodami?

— Przede wszystkim. Libijczycy jeżdżą szybko i elegancko. Chętnie pomagają w drodze, gdy komuś zepsuje się samochód lub w inny sposób trzeba pomóc. Są grzeczni. Ale jeżdżą szybko, całymi rodzinami i stąd tyle wypadków.

— Drogi mają dobre?

— Znakomite. Wybudowano wiele nowych dróg, mostów, objazdów. Wszystko to dobrze i solidnie wykonane. Budowali je drogi również Polacy, ale nie tylko. Pracowało przy tym wiele firm zagranicznych. Nie tylko zresztą przy budowie dróg.

— Był pan tam poprzednio niespełna 3 lata temu. Dostrzegł pan zmiany?

— Owszem. Sporo się buduje. Sporo już wybudowano. Bardzo ładna jest tam architektura domów mieszkalnych. Proszę jednak zaniechać wszelkich porównań. Inny klimat, tradycja, kultura, obyczaje. W środku takiego domu nie byłbym. Chodził się tam na zaproszenie gospodarzy. Oczywiście Polacy pracujący w Libii są zapraszani i bywają.

— Ale najwięcej może powiedzieć o poziomie medycyny. Znacznie wzrósł poziom wiedzy medycznej i jest to niewątpliwie skutek szkolenia w samej Libii, jakie prowadzi personel obokrajowców, ale też nauki samych Libijczyków w zagranicznych uczelniach. W Polsce też są studenci libijscy.

— Przed trzema laty, w rozmowie dla „Odgłosów”, wymienił pan trzy sprawy, które wymagają uregulowania. Po pierwsze — była to potrzeba opracowania przepisów dla służby medycznej, która pracuje na zagranicznych kontraktach. Korzystano z ogólnych przepisów w tej sprawie. Po drugie — wymagały zmiany zasady rekrutacji do pracy na zagranicznych kontraktach. Po trzecie — istniała potrzeba ustalenia zasad, na podstawie których szpital mógłby korzystać z odpisów dewiz, jakie zarabia nadzorując kontrakt. Czy te wnioski, które wówczas pan sformułował, są nadal aktualne?

— Tak, z wyjątkiem drugiego. Zasady rekrutacji uległy już korzystnym zmianom. Natomiast co do sprawy zasad pracy na kontraktach: nie ma sensu w tej chwili zmieniać przepisów dla grupy 1500 osób, bo tylu polskich lekarzy i pielęgniarek pracuje tam obecnie. Również nie ma nadziei, aby nasze szpitale dostawały wauity zarabiane podczas nadzoru nad kontraktem. Oczywiście jakas skromna część wauity zarabiane. Znajac potrzeby naszego skarbu związane z załatwieniem, nie ma wielkich szans na rozwiązanie tego problemu. Może w dalekiej przyszłości, kiedy nasza sytuacja finansowa ulegnie korzystnej zmianie.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

4 marca (1937 r.) dąbrowszczacy opuścili front Jarama i pod wieczór tego samego dnia rozmiścili się w budynkach dobrze już im znanej podmiasteczkiej miejscowości El Pardo. Parę dni wcześniej batalion wzbogacił się o hiszpańską kompanię z batalionu milicji „Ambiente”, który został w tym czasie rozwiązany i wcielony w szeregi XII Brygady. Do El Pardo przybyli wkrótce dwie kilkadziesiąt osobowe grupy nowych ochotników polskich; zaczęli także napływać liczni ranni, wypisani ze szpitali. Nie upłynął bodaj i tydzień, gdy stan batalionu podniósł się do przepięknej liczby sześciuset ludzi.

Batalion „Ambiente” składał się wyłącznie z ochotników i należał do zasłużonych formacji o wielomiesięcznym stażu frontowym. Milicjanci hiszpańscy przybyli do dąbrowszczaków z mieszanymi uczuciami. Po chlebnie im, że walczyć będą u boku „los internacionales” — z drugiej jednak strony nie byli wcale zadowoleni z rozwiązania swego macierzystego batalionu, którego tradycje były im drogie. Mimo serdecznego powitania, jakie im zgotowano na specjalnie zwołanym wiecu batalionowym, z niejakim niepokojem spoglądali w przyszłość: jak też będzie im się wiodło w międzynarodowej brigadzie?

Decyzja wprowadzenia Hiszpanów do formacji międzynarodowych nie zapadła w sposób przypadkowy. Spowodowały ją wcale względy.

Po pierwsze — wszystkie bataliony międzynarodowe ponosiły dotkliwe straty, których nie równoważył napływ ochotników. Kierownictwo brigad myślało już zresztą o utworzeniu nowych batalionów i brigad międzynarodowych, dla których rezerwowano większość nowo przybywających ochotników. Aby zachować odpowiedni stan liczbowy istniejących już formacji, należało uzupełnić ich szeregi Hiszpanami. Nie sposób było zresztą upierać się przy całkowicie niehiszpańskim składzie batalionów międzynarodowych — mogłoby to doprowadzić do rychłego ich wyniszczenia, na skutek kumulujących się strat.

Po drugie — przyjmując w swe szeregi milicjantów hiszpańskich, bataliony międzynarodowe należały do najlepszych formacji wojskowych, mogły przyczynić się do szybszego wyszkolenia i wysunięcia wielu kadr hiszpańskich.

Po trzecie — przeniesienie międzynarodowców z Hiszpanii miało jeszcze bardziej uwiarygodnić międzynarodowy charakter brigad międzynarodowych. Sprzyjało ono rozpraszaniu nurtujących niektóre środowiska obaw, aby brigady międzynarodowe nie odegrały w Hiszpanii roli formacji elitarnych, podporządkowanych rozkazom Międzynarodówki Komunistycznej i gotowych w każdej chwili do interweniowania w wewnętrzne sprawy hiszpańskie.

Zgodnie ze stanowiskiem sztabu i Sztabu Głównego kierownicze kadry brigad międzynarodowych przystąpiły więc do przekształcania swych formacji w jednostki mieszane, obejmujące również Hiszpanów. Podobna reorganizacja nastąpiła oczywiście niemalże w każdym z batalionów im. Dąbrowskiego.

Najwięcej bodaj kłopotów przysparzała sprawa języka. Komenda w batalionie była dotąd polską i kancelaria batalionowa sporządzała wszystkie dokumenty w języku polskim, z wyjątkiem raportów i innych dokumentów przeznaczonych dla sztabu brigady, redagowanych najczęściej po francusku. Po przybyciu kontyngentu hiszpańskiego sytuacja musiała ulec zmianie. Co prawda słaba jeszcze znajomość hiszpańskiego powodowała, że język ten nie mógł stać się oficjalnym — trzeba było jednak wszystkie rozkazy i ważniejsze dokumenty systematycznie przekładać na hiszpański. Jeszcze większe trudności pow-

stały w pracy polityczno-wychowawczej. Komisarz batalionu Matuszczak zmuszony był stworzyć specjalną funkcję — swego zastępcę do spraw hiszpańskich; sprawował ją komisarz hiszpańskiej kompanii, pracujący w praktyce samodzielnie. Stwarzało to w pierwszych tygodniach faktyczny dualizm politycznego kierownictwa.

Uzbrojenie i umundurowanie hiszpańskiej kompanii przedstawiało się zgola nieświeżo, szczególnie w porównaniu z dąbrowszczakami, szczycącymi się od czasu reorganizacji w Vicalvaro pełnym nieomal żołnierskim rynsztunkiem. Wypaźnie nie posiadali broni automatycznej, ich karabiny były odmiennego typu. Żołnierze chodzili w płóciennych sandałach, a zamiast płaszczy nosili peleryny, sporządzone ze zwykłych koców z wykrojonymi otworami na głowę. Zmiana tego stanu rzeczy wymagała dłuższych zabiegów w brigadzie i dywizji (...)

bataliony naszej brigady ruszają w drogę. Marszruta będzie następująca: batalion Garibaldi... batalion Dąbrowski... batalion André Marty...

W drodze powrotnej Barwiński i Matuszczak zaczęli się niespokojnie naradzać. Zdziwili się zapewne generał Lukacs, gdyby mógł usłyszeć pierwsze słowa komisarza wypowiedziane z denerwowanym, a zarazem przygnębionym głosem:

— No i co teraz, Janek? Aleśmy wpadli...

Sytuacja była rzeczywiście nie do pozazdroszczenia. Obaj wierzyli dotąd święcie, że pobyt w miasteczku przeciwnie się znacznie dłużej, toteż poprzedniego dnia wieczorem wyrazili zgodę na wydanie wielkiej ilości 24-godzinnych przepustek do Madrytu. Blisko połowa żołnierzy i oficerów wyjechała z El Pardo. Powiedzieć o tym Lukacowi po prostu nie śmiali, nie mówiąc już o tym, że podobna „spowiedź” w niczym nie poprawiłaby sytuacji.

przechodzącym uderzającym zniechęceniu w faszystowskie czołgi. Wystrzał w czołgi był sygnałem dla całej linii. Zaterkotały karabiny maszynowe, zahuczało od strzałów, zagremiało od rozniewających się pocisków...

Faszyści przyjęli tak niespodziewanym ogniem zatrzymali się. Niektórzy rozciągnęli się na ziemi tam, gdzie stali, inni zaczęli uciekać, lecz kula położyła ich, zmuszając do padania. Niewielu pozostało żywych i całych. Karabiny maszynowe ostrzeliwały każdy metr ziemi. Faszyści nie próbowali nawet odpowiadać ogniem.

A czołgi ich — śmieszne to było widokowo — niezdarnie zaczęły się cofać. Lecz nie uszłyście. Pięć pierwszych stało nieruchomo. Złoty następny próbował zawrócić polem i utknął w lepkiej glinie, za resztą pomknęły trzy czołgi republikańskie, strzelając za siebie.

Piechota Mussoliniego utknęła w wodzie. Dopiero przy pomocy drugiej linii, ostrzelanej okopy dąbrowszczaków, włoscy faszyści zaczęli powolnie, skokami, wycofywać się z niefortunnego ataku.

Nie inaczej powiodło się nieprzyjacielowi po lewej stronie drogi, gdzie leżeli garibaldzcy. Gdy ustąpiła już walka, kilkadziesiąt legionistów, wziętych do niewoli przez żołnierzy obu batalionów, skierowanych zostało do sztabu brigady.

Następnego dnia wojska włoskie atakowały na całej linii frontu, usiłując za wszelką cenę złamać niespodziewany opór. Na odcinku sąsiadującym z pozycjami XII Brygady udało im się, po silnym przygotowaniu artyleryjskim i przy udziale kilkadziesiąt czołgów, zająć wioskę Triunfo — lecz dalszy ich awans został zatrzymany. Front krępił z kądzi godziną: nadechodzili coraz to nowe hiszpańskie brigady, przybyły też XIV i XV Brygady Międzynarodowe.

Nacisk nieprzyjaciela dął się we znaki i na odcinku broniowym przez XII Brygadę. Po dwugodzinym przygotowaniu artyleryjskim i lotniczym legionści włoscy ruszyli do ataku, wspierani przez kilkadziesiąt czołgów. Walka trwała do późnego wieczora i zakończyła się pełnym sukcesem XII Brygady. W czasie boju wywiał się emocjonujący pojedynek czołgów: czołgi republikańskie, aczkolwiek mniejsze, rozbiły bądź zmusiły do ucieczki czołgi nieprzyjaciela. Wśród dąbrowszczaków bohaterem dnia stał się sierżant Stanisław Złoda, plutonowy kompanii cekaemów, który zniszczył ogniem swego karabinu trzy czołgi nieprzyjaciela.

12 marca zakończyła się koncentracja wojsk republikańskich. Niebezpieczeństwo przerwania frontu znikło ostatecznie. Dywizję włoską, ściśniętą ze skrzydeł, straciła możliwość manewrowania. Ich arterie komunikacyjne znajdowały się pod ogniem artylerii republikańskiej i nie mogły zapewnić regularnego dopływu zaopatrzenia.

Zaskoczony rozwojem wydarzeń, sztab włoski okazał się niezdolny do wykorzystania dotychczasowej przewagi. Silne ataki na różnych odcinkach frontu nosiły odłam charakteru nieskoordynowany i konczyły się niepowodzeniem. Dowództwo włoskie źle znało rozmieszczenie pozycji przeciwnika: ciężarówki z żywnością i amunicją oraz samochody osobowe wiozące faszystowskich oficerów raz po raz myliły drogę i wpadały w ręce żołnierzy republikańskich.

Pierwsi jęczy włoscy opowiadali o dezorganizacji i zamieszaniu w szeregach „czarnych koszu”. Wszyscy oni twierdzili, że nastąpił powszechny upadek ducha — nie tylko wśród szeregowych żołnierzy, lecz i oficerów (...)

13 marca inicjatywa na froncie zaczęła przechodzić w ręce republikańskie. Dywizja Listera i XI Brygada Międzynarodowa atakowały wioskę Triunfo, najdalej wysunięty punkt przeciwnika. Faszyści stawili słaby opór i wycofali się w popłochu, ściągani ogniem artylerii i broni maszynowej. W ręce zwycięzców wpadło osiem armat, kilkanaście cekaemów, znaczne ilości amunicji i żywności. Około stu legionistów powędrowało do niewoli.

14 marca bataliony hiszpańskie oraz bataliony włoski i francuski z XI Brygady zaatakowały lewe skrzydło nieprzyjaciela i szturmem zdobyły „Palac barra” — wielki kompleks budynków, położonych w lesie i otoczonych wysokim murem.

Oba te działania ofensywne potwierdziły pierwszą — ygnali o głębokiej demoralizacji przeciwnika. Żołnierze jego bili się niechętnie, poddawali się po krótkiej walce, a niekiedy przechodzili grupkami na stronę republikańską. Mnożyły się także dezercje legionistów, nie zaangażowanych jeszcze w bezpośredni walce. Wielu, jednak, wyrażało chęć przejścia w szeregi garibaldczyków, większość zaś pozostałych — z chwałą, gdy rozwiązyły się obawy o życie — głośno manifestowała zadowolenie ze „szczęśliwego” końca ich hiszpańskiej eskapady. Ciężarówkami wiozące jeńców do Madrytu wywierały dziwne wrażenie: jęczy pokazujący najcięższą rozdrabnianą twarz, śpiewali „Międzynarodówkę”, „Bandiera rossa”, pozdrawiali ludność piesciami wianuszkami w górę...

Dowództwo frontu postanowiło przejść do ogólnego natarcia. Na pierwszy obiekt ataku wyznaczono miasteczko Brihuega, stanowiące główny punkt oparcia nieprzyjaciela. W operacji miały wziąć udział trzy brigady hiszpańskie oraz XII Brygada Międzynarodowa. Po raz pierwszy w historii wojny dowództwo republikańskie było w stanie skoncentrować na niewielkim stosunkowo odcinku 60 czołgów oraz zapewnić współdziałanie 80 bombowców i myśliwców (...)

Ruszyli wkrótce czołgi, a za nimi piechota.

Odległość między liniami okopów nie przekraczała kilkuset metrów. Teren był zupełnie równy, nieco spadzisty, tylko gdzieś tam poprzeczony murkami z kamienia, które kruszyły czołgi.

Linia faszystowska, spowita czarnym dymem, nagle zżyła, buchnęła ogniem gęsto ustawionych cekaemów, motocykli i dział przeciwpancernych. Artyleria faszystowska zaczęła „wymacać” czołgi. Te ostatnie — a każdy z nich był uzbrojony w makiolabrowe działo i karabin maszynowy — pedziły jednak w pełnym gale i skutecznie niszczyły gniazda oporu.

Wkrótce dąbrowszczacy znaleźli się o kilkadziesiąt metrów od okopów przeciwnika i zaczęli rzucać granaty. Legionistów ogarnęła panika. Uciekali, pozostawiając broń i granaty, do pocisków, jakie wysyłały za nimi maszyny ciężkiej kompanii. Inni podnosili ręce do góry i oddawali się w niewolę.

Linia nieprzyjacielska została zdobyta. Gdzieś tam tylko trzeba było zlikwidować gniazda oporu. W kilku wypadkach doszło do walki wręcz na bagnety (...)

O godzinie 17 opór legionistów został ostatecznie złamany i zwycięzcy zaczęli schodzić ze wzgórz w stronę miasteczka. Pierwsi wpadli do Brihuegi dąbrowszczacy, a wkrótce za nimi Hiszpanie z batalionu „Madrid”, żołnierze formacji Listera, Campesino i Mery. Rozlokowani w miasteczku faszystowskie oficerowie sztabowi i żołnierze służb pomocniczych, nie stawiali żadnego oporu; szli do niewoli, podnosząc ogólną liczbę jeńców do kilkuset.

Zapadł już zmierzch, lecz opuszczały domy i uliczki Brihuegi budziły się do życia. Z pianie i szychów, z pobliskich pieczer górskich wychodziły gromadami kobiety, dzieci i starcy. Zawsząz rozlegały się radośne głosy i płacz radości. Ku dąbrowszczakom wyciągały się życzliwe ręce. Ofiarowywano im gościnę, noclegi, gorącą strawę, wino i mleko.

Zdobycie wojenna była obłata. Kilka ciężarówek nalaadowało tylko broń maszynową, nie mniejszy udział przypadł innym formacjom. Zdobyto składy amunicji, oficjalne zapasowe magazyny intendentury. W ciągu wielu jeszcze tygodni pelili dąbrowszczacy wyłączenie wioskie papierozy, jedli wioskie czekolady i konserwy, pili wioski koniak (...)

Kłeska korpusu ekspedycyjnego nie ograniczała się zresztą do przegranej pod Brihuega. W ciągu dwu następnych dni brigady hiszpańskie oraz XI Brygada Międzynarodowa posuwały się na całym froncie, zajmując wioski Gajanejos, Modue i Ufande przywracając Republice prawie cały utracony uprzednio teren. Na pełne wykorzystanie zwycięstwa nie pozwolił brak dostatecznych odwodów.

Z kręci „Madri-Saragossa”

SEWERYN AJZNER

Kłeska czarnych koszu

Dąbrowszczakami dowodził teraz Jan Barwiński, mianowany na miejsce ranego Sakimara. Był to mężczyzna w siłę wieku, niewysoki i krepy, o powolnej wymowie i oszczędnych ruchach. Twarz jego, zszpeczona śladami przebytej ospy, miała wyraz skupienia, trochę jakby nieruchomy; po trafila jednak rozjaśnić się szerokim uśmiechem, jak również przybrać wyraz wręcz groźny, gdy dowódca był w gniewie. Już przy pierwszym spotkaniu z Barwińskim nie trudno było dojść do wniosku, że jest to człowiek silnego charakteru.

Nowy dowódca, podobnie jak wielu innych ochotników, nosił w Hiszpanii przybrane imię i nazwisko. Nieliczni tylko wiedzieli, że był on w przeszłości członkiem Komitetu Okręgowego KPP w Łodzi, okregowcem Górnego Śląska, kierownikiem Wydziału Wojskowego KC KPP — a po odświeżeniu wyroku za działalność komunistyczną spędził kilka lat w Związku Radzieckim jako emigrant polityczny. Dąbrowszczacy zdawali sobie jednak na ogół sprawę, że nowy dowódca jest działaczem partyjnym na większą skalę. Cieszyli się też szczególnym poważaniem, tym bardziej że swą wojskową „karierę” w Hiszpanii rozpoczął w listopadzie 1936 roku od stopnia podoficerskiego i dał się poznać na frontach jako odważny i doświadczony żołnierz, a później jako wyróżniający się dowódca kompanii (Jan Barwiński — prawdziwe imię i nazwisko Józef Strzelczyk — późniejszy dowódca batalionu i Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego; w Hiszpanii przebywał do kwietnia 1939 roku, kiedy to na wezwanie Międzynarodówki Komunistycznej udał się do Związku Radzieckiego. Pod koniec 1941 roku w jednej z grup desantowych zrzucony został na teren województwa łódzkiego i tam też wkrótce zginął w walce z hitlerowcami).

9 marca o godzinie 14 w siedzibie sztabu batalionowego nagle zawarczał telefon. Dzwoniła brigada. Po krótkiej rozmowie dowódca, trzymając jeszcze słuchawkę w rękach, zawołał do adiutanta:

— Ogłosz alarm w całym batalionie i ściągaj do sztabu dowódców wszystkich kompanii. Zaś do łącznika sztabowego.

— Leć do komisarza i prosz, aby zaraz przyszedł. Powiedz, że mamy natychmiast jechać do sztabu brigady.

W niewiele minut później Barwiński i Matuszczak szybko krokiem wchodzili na stopnie budynku, w którym mieścił się sztab brigady. Do zebranych dowódców i komisarza wszystkich batalionów przemówił generał Lukacs:

— Faszyści rozpoczęli nową ofensywę na froncie Guadala-jara. Na Madryt idą tym razem dywizję włoską. Front został przerwany, nasi się wycofują. Na pomoc wyruszyły formacje Listera, Modesto, Campesino, Mery, Galana, Nanetti XI Brygada jest już na miejscu i próbuje stawić pierwszy opór. O godzinie 20 wszystkie

W 15 minut później ruszyli do Madrytu na pełnym gale batalionowe ciężarówki i wozy osobowe, a także jedyny motocykl prowadzony przez hiszpańskiego łącznika, znajdującego Madryt jak własną kieszeń. Wydelegowane grupy otrzymały kategorię rozkaz: robcie, co chcecie i jak chcecie, lecz najdalej o godzinie wy-marszu batalion musi być w komplecie (...)

Wszystko skończyło się nadszperowaniem dobrze. O wyznaczonej porze batalion znajdował się w komplecie. Brakowało jedynie dwóch oficerów, którzy zresztą doszli do batalionu jeszcze tej samej nocy (...)

O wyznaczonej porze batalion załadował się na ciężarówki i wyruszył w drogę (...)

Na krótko przed świtem ochotnicy zeszli z ciężarówek i rozpoczęli marsz polami na przelaj, idąc po obu stronach drogi prowadzącej do miasteczka Brihuega, odległego o kilkanaście zaledwie kilometrów. Wkrótce straż przednia brigady natknęła się na patrol nieprzyjaciela. Faszyści otworzyli ogień. Dalej posuwać się nie było można i wszystkie bataliony zaczęły się okopywać.

Nastąpił wreszcie dzień — zimny, pochmurny i wielki. Deszcz śnił nieprzerwanie, przenikał przez płaszcze i mundury żołnierskie. Teren był otwarty, bez jednego drzewa; wapiasta gleba rozmočila w małą, gęstą jak gлина. Przeciwnika nigdzie nie było widać, a w dodatku podmuchy wiatru, pędzące fale deszczu prosto w twarz, niesłychanie utrudniały obserwację.

Nie minęła jednak godzina, gdy daleko na horyzoncie ukazały się ciemne punkciki, stopniowo rozlewając się w długą zygawkowatą linię. To posuwała się naprzód nieprzyjacielska piechota. Jednocześnie na szosie, dzielącej dąbrowszczaków od pozycji zajmowanych przez batalion Garibaldi, ukazały się grupy faszystowskich żołnierzy. Oba bataliony jednak milczały. Rozkaz brzmiał: strzelać dopiero wtedy, gdy nieprzyjacieli podejdzie zupełnie blisko.

To, co nastąpiło później, opisał dowódca batalionu w sporządzonej na gorąco zapiskach:

„Nagle zza zakrętu wypadły na szosę faszystowskie czołgi. Pędzą w kierunku linii republikańskiej. Za czołgami szybko posuwa się gruba linia faszystowska piechota. Czołgi zbliżają się na 500 metrów od naszych linii, nie napotykają przeszkód i suną dalej...”

Są już o 200 metrów od linii, ale nie widzą przed sobą wroga, gdyż szarzy jak gлина dąbrowszczacy tworzą z kamieniami, pośród których się ukryli, jakby jedną masę. Nawet twarzą ich nie można rozpoznać. Tylko oczy szeroko otwarte błyszczą jakimś ogniem wewnętrzny i wpatrują się w intruzów, czaiących ciekawo po boku. Tylko dlonie ścisną mocniej kolby karabinów. Milczą i patrzą. Oczekują rozkazu, bo wiedzą, że ich dowódca śledzą każdy krok faszystów. Wtem huk. To nasze armatki.

Wernisaz

Salon wystawowy wypełniał się powoli zaproszonymi gośćmi. Stosownie do wieczorowej pory, wszyscy byli odpowiednio ubrani: panowie w modnych garniturach i krasiastych koszulach, panie w aksamitach ozdobionych srebrną biżuterią z „Desy”. W pewnej chwili pojawił się nieznanym gości w średnim wieku, z włosami zaczesanymi na łysiejące czoło. Jego ubiór kontrastował jaskrawo z otoczeniem: miał na sobie szary, obwisły, przetrarty na łokciach sweter i dzinsy-wycirusy, spod których wylewały sfatygowane i pokrzywione buty-zamszaki.

Zaszył się w kącie salonu. Widać było, że jest wewnętrznie napięty, niepewny siebie. Głodzi nerwowo brodę i ukradkiem zerkał, czy został rozpoznany. Któryś z mężczyzn rzucił na niego raz i drugi wzrokiem, jedna z pań skrzywiła się z niesmakiem, ale potem przestano się nim interesować.

Nagle gwar ucichł i z kularów wyszedł autor wystawy w towarzystwie szefa wydziału kultury. Szef wygłosił krótkie przemówienie, w którym podkreślił rangę kulturalnego wydarzenia i wskazał na wysoki poziom przedstawianego malarstwa, potwierdzony nagrodami i dyplomami zagranicznymi.

Mistrz uśmiechał się z zafascynowaniem, a gdy przemówienie dobiegło końca, rozejrzył się po zebranych. Wytuskał gościa w szarym swetrze i podszedł przywitać się z nim w pierwszej kolejności. I wtedy — nagłe oświecenie. Jak mogliśmy go nie rozpoznać? Toż to przecież znany prezydent telewizyjny! Panowie zaczęli przyglądać mu się z podziwem, panie posyłały w jego stronę uśmiechy. Najpierw lekkie, stonowane, później, w miarę jak krążyły kieliszki z koniakiem, bardziej otwarte i śmiałe.

Prezenter sięgnął od niechcenia po kieliszek, zagryzł słonym paluszkami. Odzyskał pewność siebie, jego ruchy stały się spokojne, wyważone. Cedził słowa przez zęby, chwalił malarza, ale umiarkowanie. Mówił o współczesnych kierunkach i trendach w malarstwie, sytuował w nich artystę. Robił to jednak niedbale, przez cały czas obserwował zebrane towarzystwo i siedział wrażliwie, jakby wywierała na obecnych jego osoba. Unosił się na fali szeptów i uśmiechów.

I wtedy przekroczyła ekipa telewizyjna. Redaktor przeprowadził wywiad z malarzem, a potem wdał się z nim w prywatną rozmowę. Prezenter? Tak, był nim do niedawna, ale podpadł dyrektorowi i został odsunięty. Co teraz robi? Nie wiem, mówiąc szczerze, nikogo to nie obchodzi.

Wiadomość rozeszła się natychmiast. Panowie zajęli się sobą, panie przestały posyłać prezenterowi powłóczęcze spojrzenia. Mistrz wrócił do szefa wydziału kultury, dziękował mu za umożliwienie swojej obecności wernisazu. Prezenter poglądził znów nerwowo brodę, a widząc, że nie zwraca już niczyjej uwagi — wyszedł z salonu wystawowego.

Meandry

Naradę zwołano w trybie nagłym. Przewodniczył jej sam szef od polityki kadrowej w kulturze. Tematem narady była niezdrowa sytuacja w miejscowym teatrze, która domagała się natychmiastowego rozwiązania.

— Zaprosiliśmy was, społeczników i działaczy kulturalnych — powiedział na wstępie szef — aby wspólnie z wami poradzić się, co robić z jedną, przecież w naszym mieście placówką teatralną, która znalazła się, delikatnie mówiąc, w impasie. Nie będę ukrywał, że, według naszej oceny, winę za ten stan rzeczy ponosi kierownik artystyczny teatru, który otoczył się paroma ludźmi o nie najwyższym morale i przy ich pomocy trzyma w szachu resztę zespołu. Sam reżyseruje wszystkie spektakle, nie dopuszczając innych reżyserów, sam grywa wszystkie główne role, nie zawsze odpowiadające jego aktorskiemu emplot, a resztę ról rozdziela pośród tych, którzy go popierają. Ci również otrzymali ostatnio podwyżkę gań aktorskich. Jest to typowy przykład kumoterstwa i nadużywania swego stanowiska, co, jak o tym wszyscy wiemy, zostało ostatnio skrytykowane na najwyższym szczeblu.

Po wystąpieniu szefa ogłoszono dziesięciminutową przerwę. W czasie przerwy, w kularach, instruktorzy przeprowadzili szereg rozmów z uczestnikami narady, dając im dyskretnie do zrozumienia, w jakim kierunku powinny zmierzać ich głosy w dyskusji.

Przeważająca większość dyskutantów poszła w tym kierunku. Jednakże jeden z nich, wiceprezes regionalnego towarzystwa, wyłamał się zaleceniom i wystąpił ni mniej ni więcej z przypomnieniem, że nie dalej jak dwa lata temu na podobnej naradzie szef przekonywał zebranych, że źle się dzieje w miejscowym teatrze, a tym, który

może uzdrowić sytuację, jest człowiek, mianowany wkrótce potem kierownikiem artystycznym placówki.

Szef, trzeba mu to przyznać, nie dał zbić się z tropu. Zabrał natychmiast głos i podziękował mówcy za krytykę, która — tu znowu powołał się na najwyższy szczebel — stanowi nadal niezastąpione narzędzie przeciwdziałania słabości oraz doskonalenia pracy zespołów i jednostek.

Po tym wystąpieniu naradę zakończono, informując uczestników, że wnioski z niej zostaną wnikliwie rozpatrzone.

Wkrótce potem odbyła się druga narada, tym razem w gronie wewnętrznym. Nie analizowano na niej wcale meritum wystąpienia wiceprezesa regionalnego towarzystwa. Zastanawiano się, kto za wiceprezesem stoi, że zdobył on się na taki głos w dyskusji.

W dwa dni później szef zaprosił do siebie rzeczowego dyskutanta i zaproponował mu objęcie stanowiska kierownika artystycznego teatru. Wiceprezes towarzystwa bronił się jak mógł przed objęciem takiej funkcji, tłumaczył, że on jest tylko działaczem społecznym, a zawodowo zajmuje się przecież inną branżą — wszystko to na nic. Został przekonany i opuścił pokój szefa z nominacją w kieszeni.

W jakiś czas po tym wydarzeniu do nowego kierownika artystycznego zadzwonił jego dawny kolega, człowiek niegdyś wpływowi i na wysokim stanowisku, uprawiający w chwilach wolnych od pracy twórczość dramatopisarską. W okresie swej prosperity ignorował wprowadzenie wiceprezesa, raz i drugi, gdy mógł go poprzeć swym autorytetem w jego trudnych poczynaniach — tego nie zrobił, bo nie widział w tym żadnego interesu dla siebie, a innym razem, gdy wiceprezes znalazł się w tarapatach — on po prostu stehorzył — teraz przypomniał sobie nagle o nim.

— Cześć, jak się masz, bardzo się cieszę, serdecznie ci gratuluje! — powiedział z udawaną czułością w głosie. — Coś nie odzywasz się do kolegi, wiem, wiem nie jestem ci potrzebny, bo teraz już mało znaczę... Nieładnie, nieładnie!

— To chyba niezupełnie tak — próbował replikować nieśmiało nowo mianowany kierownik artystyczny.

— No, no, już ja się domyślam, dlaczego nie chcesz widywać się ze mną. A przecież wiem o tym, że napisałem kilkanaście sztuk teatralnych i chętnie zaoferowałbym je właśnie tobie...

Kierownik artystyczny załamał się i przystał na spotkanie z dawnym kolegą.

Komisarz pleneru

Nasz plener malarski zapowiadał się bardzo obiecująco. Zostaliśmy zakwaterowani w rodzajowym budynku z czerwonej cegły, zaadaptowanym dla potrzeb hotelarskich i pamiętajacym czasy cara Mikołaja. Byli to, jak się dowiedzieliśmy, dawne carskie tajnice.

Zaraz pierwszego wieczoru przedstawił nam się komisarz pleneru. Przedstawił się z jak najlepszej strony: jako człowiek rzeczowy i zdyscyplinowany. Oświadczył, że z naszej strony spodziewa się również rzeczowości i dyscypliny i że możemy liczyć na jego pomoc przy doskonaleniu się w tej dziedzinie. W tym celu opracuje nam szczegółowy program pobytu, rozkład zajęć, normatywy prac plenerowych. Bo twórcy twórcami, ale Ordnung muss sein — zakłócał i uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z obcojęzycznego cytatu.

Kolega Górski nachylił się do mnie i powiedział szeptem:

— Stajnie carskie, ale komisarz na wskroś iowoczesny. I ta jego nienaganna niemieczka...

— No, carowie też lubili otaczać się Niemcami — odparłem również szeptem. — Z ta może tylko różnica, że byli to Niemcy arystokratycznego chowu.

— Tak — podjął kolega Górski. — Naszemu komisarzowi nie można tego zarzucić. Ani on Niemiec, ani arystokrata.

Nazajutrz rano, po śniadaniu, komisarz przedstawił nam opracowany przez siebie harmonogram. Przeszedł on nasze najśmielsze oczekiwania. Na wstępie rozkład dnia, ściśle godzinny posiłków, cisza poobiednia i cisza nocna. Ta ostatnia punktualnie od godziny dwudziestej drugiej. Potem plan roboczo-godzin, od którego wykonania uzależniona będzie kaloryczność posiłków: ci z nas, którzy spiszają się dobrze, otrzynają posiłki bardziej kaloryczne, natomiast ci, którzy nie wykonają planu — mniej. Najbardziej opieszale groziło nie otrzymanie deseru. Komisarz określił również ilość zużycia farb na poszczególne obrazy, a także, ile powinniśmy namalować obrazów i jakiego formatu.

Co tu ukrywać, nastrój zapanował minorowy. Ale tylko dopóty, dopóki nie wyruszyliśmy. Jo puszczy Jakież tu bogactwo form i kolorów! Ile utajonego życia! I to słońce przedziwiająco się przez gąszcz starodrzewu! Rozstawiłem szalugi nie opodal sztalug kolegi Górskiego i zabrałszy się do malowania.

Kolega Górski zaczął szkicować wiekowy dąb, ja inny okaz dębu, równie wspaniały. Po obiedzie, podczas wstępnego przeglądu prac przez komisarza, spotkała nas pierwsza przysługą:

— Panowie, po co malujecie te starocie? Co to właściwie ma współczesny? Weźcie sobie raczej za temat drzewa młode, wyrosłe w naszych czasach.

Skonfundowani spuściliśmy głowy. Ale zaraz unieśliśmy je z powrotem, bo innym też dostało się za swoje.

— Zubry? Po co malować zubry, te kołtu-niaste brodacze? Mało to mamy brodaczy spośród nas? To już lepiej malujcie tarpany, nie-duże koniki, ale za to jakże pożyteczne!

Wśród kolegów nastąpił rozłam. Jedni poszli za głosem komisarza, inni — żeby użyć poetyckiego sformułowania — za głosem serca, a właściwie — wyobraźni. Odbiło się to, rzecz jasna, na kaloriach i deserze, a także na ilości i jakości przydzielonych farb. Ale na upór nie ma lekarstwa. Więc ci i owi brnęli dalej, czekając z niepokojem końca pleneru. Komisarz obejrzał wszystkie prace, minę miał zatroskana, niektórym z nas zrobiło się nawet żal komisarza.

— Panowie, miałem was za ludzi poważnych. Weźmy na przykład obraz kolegi Zgrzyza (to było pite do mnie). Nie powiem, jest i konkretnie współczesny, i perspektywa. Podobna mi się ten nowy hotel na ile tasu, te loggie wystawione do słońca. Ale format, format mi się nie zgadza. Przecież kolega Zgrzyz miał malować obrazy innego formatu!

Mileczałem, co jeszcze bardziej rozeźliło komisarza. Przy kolacji trochę zmieknął, zwłaszcza że była ona zakrapiana. Nie odezwał się jednak do mnie. Zwrócił się do kolegi Górskiego i powiedział:

— Wiecie, kolego, zastanawiam się nad tym, ile w tym wszystkim jest waszej, a ile mojej winy. Dzisiaj zrozumiałem, że mój harmonogram był nie dopracowany, miał wyraźne luki. Wyciągnę z tego wnioski. Na przyszłym plenerze przedstawię wam harmonogram ulepszony.

Kolega

— Chciałbym się nie sprawdzić — powiedział kolega redakcyjny.

— Dziwne pragnienie — odburknąłem czytając dalej tekst.

— Chciałbym się nie sprawdzić — powtórzył kolega.

Uniosłem znad maszynopisu głowę.

— Mów — powiedziałem krótko.

— A, to nie szczególnego. Po prostu samą zycie.

— No właśnie. Więc mów.

— No więc mam znajomego. Należałem z nim kiedyś do jednej organizacji młodzieżowej. Ale nie tylko to. Zaczęliśmy wtedy jednocześnie piisać, oczywiście wiersze, jak to bywa z młodymi. Pokazywaliśmy sobie nawzajem te „płody wyobraźni”, dyskutowaliśmy o nich, skakaliśmy sobie do oczu. Ja zacząłem drukować, on nie.

— No i przyjaźń się ochłodziła.

— Tak, ale nie o to mi idzie. On miał trzeźwe spojrzenie. Powiedział kiedyś do mnie: „Wiesz, nie sprawdziłem się”.

— Bardzo chwalebne stwierdzenie. No i co dalej?

— Zaczął robić karierę urzędową. Został dyrektorem poważnej instytucji w naszym mieście.

— Widocznie nadawał się na to stanowisko.

— Powiedzmy. Nie chcę obmawiać kolegi. Ale jako człowiek trzeźwy zadbał przedtem o odpowiednie poparcie.

— To dzisiaj normalne. Małe przyjęcia, drobne przysługi, właściwe wystąpienia na forum itd.

— No tak. Ale znów się nie sprawdził. Pozadzierzał z ludźmi, rozłożył instytucję. Właśnie dowiedziałem się, że odchodzi.

— Nieduży kłopot. Stale zwalnia się jakieś stanowisko, sporo starszych ludzi idzie na emeryturę.

— No tak, no tak. Ale on odchodzi wyżej. Idzie do Warszawy.

— Cóż w tym dziwnego? Ma już doświadczenie, wie, jak pozyskiwać sobie odpowiednie osoby. Poza tym konsekwencje pokoleniowe...

Kolega mruknął coś niezrozumiałego. Po chwili mówił dalej:

— Widziałem się z nim wczoraj. Zaprosił mnie na obłanie awansu. Kiedy trochę wypiliśmy, zaczął mi się zwierzać. Oferowano mu trzypokojowe mieszkanie w stolicy. Ale on go nie przyjął, oświadczył, że wystarczy mu znacznie mniejsze.

— Bardzo uspołeczniona jednostka. Zna nasze trudności mieszkaniowe.

— Być może. Nie powiedziałem ci jednak, że jest to człowiek żonaty i ma dwoje dzieci.

— No, to już rodzaj wyrzeczenia.

— Niezupełnie. Powiedział żonie, że dostaje na razie kawalerkę, a rodzinę będzie mógł sprowadzić za jakieś dwa-trzy lata.

— Widocznie chce się rozejrzeć, zorientować, czy będzie mu odpowiadała nowa praca.

— Co do tego nie ma wątpliwości. Jeśli znów się nie sprawdzi, przeniosą go gdzie indziej, a spaść przecież niżej nie może. On kombinuje co innego. „Podchodzę pod czterdziestkę — powiedział do mnie — trzeba jeszcze użyć trochę życia. A właśnie nadarza mi się okazja...”.

— Hm. I co, chyba mu trochę zazdrościś?

— Może. Ale ja też patrzę już trzeźwo. Nie mam żadnych szans. Widzisz, ja się, niestety, sprawdziłem.

Dwa bieguny

Codziennie — rano uprawiam gimnastykę w trosce o swoje zdrowie. Pozycja wyjściowa, rozkrok, skłony tułowia. Palce rąk zmiernają do palców nóg, jednakże zatrzymują się w połowie drogi. Rozpoczynam więc bieg po pokoju truchcikiem (to wychodzi mi lepiej), potem ćwiczę kręcenie głową, przysiad, nożyce, pompkę. Kończę ćwiczenia, bo czuję się wypompowany.

W ciągu dnia zostaje mi z tych ćwiczeń kręcenie głową (przy produkowaniu tekstów własnych) i nożyce (przy preparowaniu cudzych). Pozycja wyjściowa zamienia się w pozycję siedzącą. Pięć minut ćwiczeń ruchowych i wiele godzin nieruchomego siedzenia. Najpierw przy biurku, potem przed telewizorem. Mając to w świadomości, nazajutrz rano tym energiczniej zabieram się do gimnastyki. W trosce o swoje zdrowie.

Do południa czuję się ospały, więc piję kawę. Po południu, aby utrzymać się w formie, wypijam drugą. Wieczorem, dla większej sprawności umysłu, trzęcia. Mój umysł staje się na tyle sprawny, że w późnych nocnych godzinach, choć ja sam leczę z nóg, on funkcjonuje dalej. Nie daję się zatrzymać niczym motor puszczony w ruch. Rzecz jasna, nie mogę zasnąć, tłukę się po pokoju, wreszcie biorę środek nasenny. Na drugi dzień czuję się ospały, więc piję kawę, a po niej drugą i trzecią.

Przy pracy dużo palę. Kończę jednego papierosa, przez pewną, bardzo krótką chwilę waham się, czy mam zapalić następnego, i bardzo szybko zapalam. Na biurku leżą pestki bani i pestki słonecznika. Palenie jest szkodliwe, sięgam więc po jedną pestkę, a zaraz potem po kolejnego papierosa. Po półgodzinie mój pokój zamienia się w palarnię. Otwieram na oścież okno i wychodzę z pokoju. Wynoszę popielniczkę, by nie zatrzymała mnie niedopałki. Bardzo cenię sobie świeże powietrze, więc jeśli żona pali w sąsiednim pokoju, daję jej reprimendę. Żona jest oburzona, nie przemawia do niej fakt, że upominam ją w jej interesie. Dochodzi do ostrej wymiany zdań, po której sam muszę zapalić. Wracam z pustą popielniczką do wywietrzonego pokoju. Po kwadransie mój pokój zamienia się w palarnię. Otwieram okno i wynoszę niedopałki.

Podobno palenie źle wpływa na apetyt. Jeśli idzie o mnie, na ogół tego nie obserwuję. Lubię zjeść smacznie i dużo. By nie przybierać na wadze, odbywam popołudniowe spacery. Wracam z nich wyglądający jak i zaraz zasiedam do stołu. Otyli żyją krócej, więc odchudzam się aż do kolacji. Stosuję te praktyki od wielu lat z dobrym skutkiem. Wszyscy mówią mi, że doskonale wyglądam. A ja jeden wiem tylko, ile to wszystko kosztuje mnie nerwów i zdrowia.

Ze zbioru opowiadań współczesnych „Wawóz Belzebuba”, który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

W korytarzu nie zapalił światła, gdyż doskonale orientował się w rozkładzie pokoi. Pachniało ugotowanym w południe obiadem. Od razu wszedł do łazienki i tutaj zapalił światło, ponieważ okno w aluminiowej ramie było malutkie i wychodziło na ślepe podwórko. Yvette nie zmieniła nic we wnętrzu łazienki, tyle tylko, że to jej wyprane rajstopy wisiały na sznurze nad niebieskawą wanną, którą kupiła Bernadetta. Ostrzem sprężynowego noża usunął dwa blachowkręty, z ulgą odnalazł w skrytce swój paszport i zobaczył szarą kopertę. Ją też postanowił zabrać — zawierała wymuszone torturami wyznania Malajczyka i Yvette, że naszpikowali Bernadettę prochami, a potem namówili ją do jazdy samochodem. W skrytce znajdowała się także strzykawka i fiolki z ketaminą, ale te rzeczy już nie interesowały Bullowa. Zabrał się do zamykania skrytki.

I wtedy — tak, coś dziwnego poczuł w sobie Bullow. Jak gdyby zabrakło mu nagle tchu. Odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył w nich młodego człowieka ze sklepu. Mierzył z rewolweru prosto w głowę Bullowa. Jak i kiedy zauważył przemijającego się tutaj człowieka? Nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać, otworzył usta, aby powiedzieć coś uspokajającego, choćby to, że nie jest żadnym wamiywcem, ale Kristopherem Bullowem, o którym tamten musiał wiedzieć od Yvette. Chłopak jednak przycisnął języczek spustu, Bullow usłyszał suchy trzask spadającej iglicy Tykry że nie padł strzał, kula nie uderzyła w głowę Bullowa, który stał o dwa metry od wylotu lufy.

Zaskoczyło to chłopaka. Zanim drugi raz przycisnął język spustowy, Bullow już go dopadł, kantem prawej dłoni wytrącił mu rewolwer, a potem oszalały ze strachu i wściekłości bił chłopaka w żołądek, aż tamten skurczony upadł na posadzkę łazienki. Wtedy Bullow dysząc z wysiłku wybiegł na korytarz i zamknął na łańcuch drzwi mieszkania. Nie chciał aby go zaskoczyła Yvette. Być może czekała w sklepie albo sieni aż jej kochanek rozprawi się z Bullowem.

Wrócił do łazienki, zerwał sznur z wanny, związał chłopakowi ręce za plecami i nogi w kostkach. Następnie wziął go na ręce i wciąż nieprzytomnego zaniósł do dawnej sypialni Bernadetty. Położył chłopaka na łóżku i chwilę przy nim posiedział, zastanawiając się, czy nie zakleić mu plastrem ust. Nie chciał jego jęków lub wołania o pomoc.

Czekał tak dziesięć minut, Yvette nie nadchodziła. To było zrozumiałe. Jeśli ten chłopak dał jej znać, że zauważył kogoś, kto otwiera kluczem ich bramę, to ona musiała najpierw spuścić żaluzje w oknach, zamknąć sklep. A może wołała przysię tu już po wszystkim, gdy chłopak ostatecznie rozwiąże problem Bullowa?

Wrócił do łazienki i podniósł z posadzki rewolwer. „Gówniarz” — pomyślał o chłopaku. Być może, kiedy zaplanowali z Yvette zabójstwo Bullowa i ona (bo ona zawsze była w tych sprawach najbardziej sprytna) kazala mu okazać tym zabójstwem swoją mekosko — chłopak poszedł na Pchli Targ i kupił rewolwer. Nie znał się na broni, nigdy nie strzelał, nie zabijał. Wcisnął mu starego rupiecia bebenkowego, kaliber 9 milimetrów. Naoliwiony, wyczyszczony, prezentował się nieźle. Ale miał chyba tępa iglicę. To był nie niewarty grata. Ten gówniarz nawet nie sprawdził czy rewolwer w ogóle strzela. Co najwyżej zabawił się strzelaniem bez naboju, tak sobie pukał siedząc przy Yvette i podniecając ją opowieściami jak to on rozprawi się z Bullowem.

Zachrobiał łańcuch przy drzwiach. Bullow kopnął rewolwer pod wannę i na czubkach palców przebiegł ciemnym korytarzem. Zdjął łańcuch i gdy Yvette weszła, nagle zapalił światło.

Ta kobieta umiała ponać nad sobą. Nawet nie przybladła. To byłoby zresztą trudne. Jak wszystkie rude kobiety miała bardzo jasną cerę.

— Gdzie Harry? — zapytała, patrząc prosto w oczy Bullowa. — W sypialni Bernadetty. Poturbowałem go trochę. Chciał mnie zabić.

Ruszyła prosto do sypialni, zapaliła tam światło, zobaczyła na tapczanie związanego chłopaka, który jeszcze nie odzyskał przytomności. Nie powiedziała ani słowa. Podeszła tylko do leżącego, pochyliła się nad nim i upewniła się, że oddycha.

— Dlaczego? Do diabła, dlaczego postanowiliście mnie zabić? — powiedział z gorczy Bullow. — Przecież nie zrobiłem wam nic złego. Można się było ze mną dogadać.

Wzruszyła ramionami.

— Nikt cię nie zamierzał zabijać. Harry wyszedł na podwórko z kubelkiem śmieci i zauważył światło w łazience. Wbiegł do sklepu i powiedział mi, że do domu chyba zakradł się wamiywc. Pobiegł na górę, a ja zaczęłam zamykać sklep.

Bullow pokłwał głową.

— Lubię cie. Yvette za twoje kłamstwa. Za twoją chorą wyobraźnię. On po prostu wyjął rewolwer i strzelił mi prosto w głowę, nawet nie pytając kim jestem i po co przyszłem. Na szczęście miał starego grata, który nie wypalił. Poturbowałem chłopaka. Nic mu nie będzie.

Odwróciła się gwałtownie do Bullowa, oparła mu dłoń na ramionach. Może ta sytuacja podnieciła ją? Była trochę zboczona, najsilniejsze pożądanie wrzuciło w niej okrucieństwo i ból. Zyla z tym swoim Malajczykiem, dopóki tamten miał dość siły, aby ją torturować w jakiś wyrafinowany wschodni sposób. Bullow też ją musiał bić przed każdym stosunkiem.

— Lubisz mnie? Naprawdę, trochę mnie lubisz?

— Tak.

— I okazesz mi to?

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Dwa okrągłe ceglaste place. Jak na białej twarzy cyrkowego arlekina.

— Najpierw musimy załatwić twojego chłopaka — powiedział. — Dam mu zastrzyk ketaminy. Będzie spał. To da nam czas dla siebie.

Kiwnęła głową, choć nie bardzo pojmowała jak to się odbędzie. Wzięła ją delikatnie pod rękę i zaprowadził do łazienki. Skrytka wciąż pozostawała otwarta, wyjął z niej strzykawkę i kilka fiolek ketaminy, które schował do kieszeni.

— A więc po to wróciłeś — stwierdziła patrząc na skrytkę. — Miałeś tu schowaną forszę.

— Tak. Niepotrzebnie zaplanowaliście zabójstwo. Mogliście się ze mną dogadać. Postanowiłem zabrać forszę i nigdy tu nie wracać.

— Nie wierzę ci. Z takimi jak ty nie można się dogadać. Próbowaliśmy wiele razy i nic z tego nie wyszło.

— Lubilem nie tylko ciebie. Lubilem też twojego męża. Nie chciałem jego śmierci.

— On i tak umarł. Jak tylko zlikwidowali nasz statek, umarł.

— Zaprowadzisz mnie jutro na jego grób. Lubilem go. Kupię kwiaty.

Westchnęła.

— To duży cmentarz. Nie trafię do grobu. Nigdy tam drugi raz nie byłem.

To było bardzo głupie kłamstwo. Bullowowi niemal zrobiło się żal tej dziewczyny. Poglaskał ją po policzku.

— W porządku Yvette. Nie pójdziemy tam. On leży w kanale z jakimś żelastwem u nóg.

— O nie, nie. Nie mów tak. Naprawdę umarł. Szkoda było pieniędzy na pogrzeb. Ty nie masz pojęcia, ile teraz kosztuje miejsce na cmentarzu, trumna, przewóz, pochówek.

— Kto to zrobił?

— Co takiego?

— Kto go wrzucił do kanału? Ty czy on? — zrobił ruch w stronę sypialni.

— Oczywiście, że on. Ja jestem na to za słaba.

— Lubię cię, ale w tej sprawie nie ci nie wierzę. Ten gówniarz nie byłby do tego zdolny. Kupił starego grata sprzed dziesięciu lat, żeby mnie zabić. Nie ma smykałki do takich spraw.

Nic nie powiedziała. Bullow znowu wziął ją delikatnie pod rękę i zaprowadził do sypialni. Chłopak odzyskał przytomność, mrugał powiekami. W milczeniu i bez ruchu obserwowała jak Bullow podciąga rękaw koszuli chłopaka, napienia strzykawkę, a potem robi mu zastrzyk. Prawdopodobnie jej wyobraźnia zaczęła była już tym, co ona i Bullow będą potem robić ze sobą.

— Świnie — wymamrotał chłopak.

Bullow wzruszył ramionami. Władował sporą porcję ketaminy; on zaraz się uspokoi, zamknie powieki, zaśnie. Chciał się jednak o tym upewnić i dlatego wciąż stał przy łóżku.

Wielki las

(40)

ZBIGNIEW NIENACKI

— Nie musieliście planować zabicia mnie — znowu powtórzył — i po co wprowadziliście się tutaj? To moje mieszkanie. Należało się ze mną dogadać.

To chyba nie podniecime, ale po prostu złość i gorzycz wzbierały w Yvette. Aż krztusiła się od swoich pełnych gniewu słów.

— Dogadać się z tobą? Czy nie próbowałam tego po śmierci Bernadetty? Naslałeś na nas zbira, który wymusił nieprawdziwe zeznanie, że to my spowodowałyśmy śmierć Bernadetty. A tymczasem to ona sama naćpała się prochów i pojechała samochodem. Żadne z nas nie miało z tym nic wspólnego. Ale ty wymusiłeś na nas fałszywe zeznania i potem miałeś nas w ręku. Pewnego razu ruszyłam w ślad za tobą, śledziłam cię. Aż do Debowej Aitany, która jest zwykłym domem schadzek. Może uważasz mnie za głupią, ja jednak potrafiłam się dowiedzieć, że ten motel jest własnością twoją i niejakiego Ivo Bundera. Takich moteli pewnie macie więcej w różnych krajach. Robicie na tym grubą forszę, ale ani myślałeś odstąpić mi sklep i ten dom, który się nam należał, ponieważ Bernadetta pożyczyla od nas wiele pieniędzy. Ty przecież wiesz, że sklep z rowerami nie przynosi prawie żadnych zysków. Skazałeś nas na nędzę i nie cię to nie obchodziło. I jeszcze do tego zabrał statek na kanał. Gdzie miałam mieszkać? I jak się z tobą dogadać? Czy z takim człowiekiem jak ty w ogóle można się jakoś dogadać?

Zaniepokoiła go wiadomość, że wpadła na trop motelu Debowej Aitany i Ivo Bundera. To już jednak teraz nie miało żadnego znaczenia. Ale świadczyło, że zarówno Bullow jak i Bunder, nie byli tacy ostrożni, jak to sobie wyobrażali Bullowowi nawet przez myśl nie przeszło, że ta dziewczyna może go śledzić, a on tego nie zauważył. A przecież to musiało być oczywiste, że ona przecież próbuje się wywieźć dokąd wyjeżdża tak często i czym się naprawdę zajmuje.

— To nieprawda — odrzekł. — Przyjechałem tu, aby się z tobą dogadać. Postanowiłem zostawić wam cały dom.

— Wróciłeś po swoją forszę i zakradłeś się do tego mieszkania jak złodziej.

— Nie jest się złodziejem we własnym mieszkaniu i zabierając własną forszę.

Chłopak miał zamknięte oczy, oddychał równo. Spał. Ten sen powinien trwać przynajmniej dziesięć godzin. Bullow ponownie ujął pod rękę Yvette i zaprowadził ją do swojego dawnego pokoju, który zresztą nadal był jego pokojem; nie się tu nie zmieniło od chwili, gdy go opuścił. Sklep rzeczywiście nie przynosił prawie większych zysków i ta para, Yvette i Harry, nie miała pieniędzy, aby cokolwiek w tym mieszkaniu zmienić.

— Śladaj — popchnął ją na swój stary tapczan.

Usiadła i zaraz podciągnęła spódnice, ukazując swoje bardzo krągłe uda w jasnych rajstopach.

— Będziesz mnie rznął? — ucieczyła się.

— Tak — skinął głową — Ale za chwilę. Najpierw musimy się dogadać.

— Jak chcesz — uśmiechnęła się i słuchając go, zaczęła ściągać przez głowę sweter. Tak, trochę przytępiła i stała się przez to bardziej ponętna. Jej bardzo białe ramiona pokryte gęsto piegami — były krągłe, a wązkie biustonosz dźwigał dwie ogromne białe bryły. Na plecach jak zwykle nosiła krwawe podługie podbiegnięcia. Rzuciła sweter na podłogę i wyczekując patrzyła na Bullowa. Tak, wydawała się ponętna, twarz jej się zaokrągliła, nie widzieli się ani jednej zmarszczki w kącikach oczu, czerwone, lekko odęte usta przydawały jej uroku.

— Wyjeżdżam stąd jeszcze tej nocy i nigdy tu nie wrócę — przez cały czas mówił do niej Bullow wciąż trzymając w ręce strzykawkę. — Mam swoje powody, aby tak zrobić. Zostawiłem ci mieszkanie i sklep. Będziesz tu mogła żyć z tym chłopakiem. Robię tak, ponieważ jestem twoim przyjacielem.

— Wiem — mruknęła i ściągnęła rajstopy, a potem figi. Jeszcze bardziej zadziła spódnice. Usiadła po turecku na tapczanie, rozchylając uda i obnażając łono porośnięte jasnym zarostem.

— Niestety, to jest jednak mój dom i mój sklep, nie mam czasu, aby prawo własności przenieść u notariusza na twoje nazwisko. Nie będziecie więc mogli sprzedać ani domu, ani sklepu, a nie posiadacie pieniędzy. To was zmusi do tego, aby dalej tu mieszkać i prowadzić sklep. Nigdzie stąd nie uciekniecie.

— Dlaczego mielibyśmy uciekać? — zaniepokoiła się. Scisnęła uda.

— Sprawa tak wygląda, Yvette, za kilka miesięcy a może za pół roku, pojawi się w tym mieście ktoś, kto do ciebie zatelefo-

nuje i zapyta cię: „Czy to pan Feldman?” Ty odpowiesz mu: „Nie. Omyłka”. Nie włajemnicząc w to Harrego, ponieważ to gówniarz. Otóż zaraz po telefonie pójdziesz do hotelu, gdzie kiedyś cię rzucił i tam podejdzie do ciebie jakiś człowiek. To będzie twój nowy przyjaciel i opiekun. Nie bój się, nie żąda od ciebie pieniędzy, sklepu, mieszkania. Kto wie, może to ty dostaniesz od niego pieniądze, żeby go zatrudnić w swoim sklepie tak, jak mnie zatrudniła Bernadetta. Zacznie wyjeżdżać po zakupy, krecić się tu i tam, robić swoje interesy. Zresztą, może to tobie zleci jakies wyjazdy i załatwienie jakichś intratnych interesów. W każdym bądź razie to na pewno będzie przyjaciel i radę ci mu zaufać. Powtórz więc za mną: „Czy to pan Feldman?” „Nie. Omyłka”.

— Bzdura. Nic takiego nie powiem i nikogo nie chcę spotykać. Słuchaj, będziesz mnie rznął czy nie, bo mnie w środku aż pali...

— Za chwilę. Musisz mnie wysłuchać i zrozumieć. Nie masz pieniędzy. Tylko ludzie, którzy mają bardzo duże pieniądze mogą sobie kupić przeszłość, a tym samym przyszłość. Ty też masz przeszłość. On, ten nowy przyjaciel, otrzyma ode mnie twoje zeznanie w sprawie śmierci Bernadetty oraz jeśli nie przyjdiesz na spotkanie, napisze list do policji z troską o los pewnego starego Malajczyka. Po co ci to? On naprawdę nie będzie miał żadnych wymagań. Mnie zatrudniła Bernadetta, gdyż też brakowało jej pieniędzy, aby zmienić swoją przeszłość. A ty podobnie zrobisz z tym, który się pojawi.

— Nie chcę tego zrozumieć...

— Musisz. I powtórz. „Czy to pan Feldman?” „Nie. Omyłka”.

Dlaczego nie wymyślił jakiegoś innego równie głupiego hasła. Każde inne hasło mogło być dobre. Ale przez tyle lat okazywało się szczęśliwe dla niego i Bundera i przywiązał się do niego. Był pewien, że tego hasła Bunder nie zdradzi policji, tak jak nie zdradził Bullowa i jego firmy.

— Nie chce i nie będę powtarzała tych bzdur.

— Musisz. Bo inaczej zginięsz w więzieniu.

— Dobrze — odezwała się polubownie. — „Czy to pan Feldman?” „Nie. Omyłka”.

— A jednak można się ze mną dogadać, prawda? — uśmiechnął się.

— Co robisz? — zawołała, widząc, że obtłukuje szyki dwóch ampułek i ich zawartość wlewa do strzykawki.

— Muszę mieć trochę czasu, aby się stąd oddalić. Nie mogę sobie pozwolić, abyś zrobiła jakies głupstwo. Dlatego zaśniesz na kilka godzin. Chodź się znowu Harrego, otworzysz sklep i o wszystkim zapomnisz. Zgoda?

— Nie — zerwała się z tapczanu.

— Nie rób awantur. Naprawdę, muszę cię uspić. Nie zmuszaj mnie do powtórzenia tego samego, co z twoim chłopakiem. Połóż się, słyszysz?

Położyła się na tapczanie. Kazał jej się obrócić na brzuch i obnażyć pośladki.

— Będziesz mnie rznął? — upewniała się.

— Zacznieś zasypiać, a ja cię będę rznął i to się stanie cudowne — powiedział i wbił igłę w białe krągłe pośladki.

— Znowu zapasiliś sobie wasy i brode, masz długie włosy. Jak kiedyś. Teraz mi się znowu bardzo podobasz, bo wtedy też mi się podobales. Zgadła znowu obróciwszy się na plecy i rozchylając nogi w oczekiwanu, że się na niej połozą.

Przez krótką chwilę Bullow poczuł podniecenie. Pobudziła jego wyobraźnię myśl, że będzie mógł rznąć zasypiającą, martwiącą kobietę. Odłożył strzykawkę na stolik koło tapczanu. Miał silny wzród, sięgnął ręką do rozporoka. Nagle jednak przypomniał sobie przerażający dźwięk — suchy trzask iglicy rewolweru. Gdyby Harry kupił sprawną broń, Bullow już by nie żył. Wrzuciłby jego zwłoki do kanału, albo zamurowali w piwnicy tego domu. Zaplanowała to Yvette. Dlaczego? Czy ją kiedyś tak naprawdę skrzywdził.

Pożądanie zniknęło tak samo nagle jak się pojawiło. Ogarneło go uczucie podobne do gorczy. Czemu stary Weber też go chciał zabić, stracając do rzeki razem z autem? Dlaczego — odkąd tu powrócił — był jak wilk, którego wszyscy usiłują zabić.

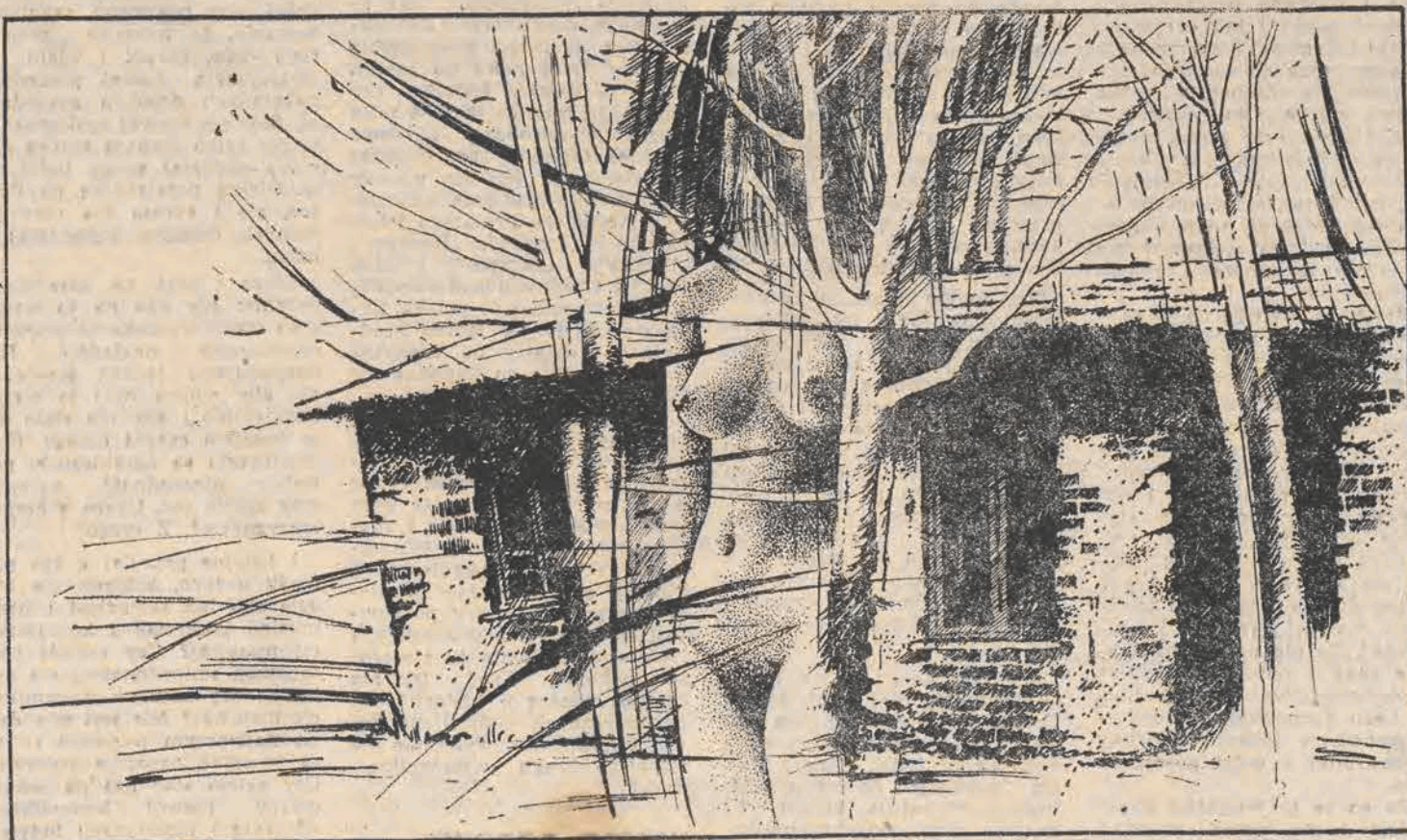
Usiadł obok Yvette, ściągnął z niej biustonosz i poglądził pierś z ogromnymi jasnopigmentowymi sutkami. Myślał: „Ty wstrętna zboczona dziewczyno. Śledziłaś mnie, a tym samym narażałaś na śmiertelne niebezpieczeństwo. Chciałaś mnie zabić”.

— Szkoda, że nie będziesz już jak dawniej. Harry nie jest taki dobry jak ty. To młody chłopak, trzeba go wszystkiego uczyć — mamrotała powoli tracąc świadomość.

Włożył jej palce między nogi, a ona uśmiechnęła się, a właściwie w jakimś brzydkim grymasie rozchyliła wargi i wyszczerzyła zęby. Poglaskał jej wilgotne wargi sromowe, a potem włożył dwa palce w pochwę. Nie zareagowała. Powieki zakryły oczy, oddech stał się równy trochę chrapliwy.

— A jednak może należało dotrzymać obietnicy i ją zerznąć? Po co ma być wroga wobec mnie i tego co po mnie tu przyjdzie? — pomyślał. Jego oczy notowały każdą wypukłość jej bujnego ciała, piękną pierś i uśmiejącą twarz z rudymi włosami na niebieskawym pokryciu tapczanu. Widział odrobine wypukły bruch z wklęsłością pępka, rudawe włosy między nogami, gładkie uda, i świadomość mówiła mu, że powinien tę kobietę pożądać. Ale przecież nie czuł pożądania. Dlatego, że była nimfomanka, którą podniecał zadawany jej ból. Być może to krwawe podbiegnięcia na plecach napieniały go grozą. A może po prostu przestał już na zawsze być maszyną do rżnięcia kobiet na każde ich życzenie.

CDN



Rys Janusz Szymański Głano